



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

WRZESIEŃ-PAŹDZIERNIK 5 (88) 2005

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH · WROCŁAW



Fot. A. Parzywara

JM Rektor-elekt Politechniki Rzeszowskiej prof.dr hab. Andrzej Sobkowiak wraz z delegacją studentów w staropolskich strojach składają kwiaty pod Tablicą Pamięci poświęconą profesorom lwowskim zamordowanym na Wzgórzach Wuleckich 4 lipca 1941 r. Relację z tej uroczystości zamieszczamy na str. 3.

Spis treści

Protest Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich	1
Tomasz Cieszyński – List otwarty do Prezydenta Republiki Ukrainy Pana Wiktora Juszczuki	1
Władysław Łukaszyński – W hołdzie profesorom lwowskich uczelni – Rzeszów	3
Leszek Duszeńko – Jubileusz w Gródku Jagiellońskim	8
Piotr Marek Stański – Konkurs na kościół św. Elżbiety we Lwowie	10
Czesław Bednarski – Moja droga z Zimnej Wody pod Lwowem do dalekiego Gdańska	11
Eugeniusz Dmytrów – Ocalić od zapomnienia. Kosaczów – dzielnica Kołomyi (I)	15
Władysław Bohr („Sas”) – Obóz (I)	19
WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO	
Zbigniew Umański – Kronika Kresowa	23
Janusz Ragankiewicz – Wypędzeni (I)	28
Janusz Ragankiewicz – Jedziemy – wiersz	32
Zbigniew Kabata – Nasza kresowa Granada – wiersz	32
Jerzy Petryński – Słowo o autorze	33
UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLIKPW	
Zbigniew Grata – Trzynasty Zjazd Koła Przyjaciół Brodów	33
Alicja Wolowicz – Wieści z Sanoka	34
Remigiusz Węgrzynowicz – XVII Zjazd Harcerzy Weteranów Obrońców Lwowa 1939 r.	37
Remigiusz Węgrzynowicz – Młodzież polska z Wołynia na obozie harcerskim organizowanym przez Szczeciński Oddział TMLIKPW	40
Maria Jarema – Informacja z Gdyni	42
Małgorzata Wawrzuta – Szkolne Koło Miłośników Lwowa w hańcowskim Gimnazjum	43
Janina Oparowska – „W Hodowicy Tyś wstawiona...”	44
Janina Oparowska – Jestem stamtąd... – wiersz	44
Janina Oparowska – Morituri sunt... – wiersz	44
Stanisław Czerkas – Moje serce zostało we Lwowie	45
Bogusław Maziak – Wspomnienia	45
Jerzy Stokłosa – A było tak (ja też jestem ze Lwowa)	56
Jerzy Duda – Łopatyn. Dzieje miasta i zabytki	58
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	
Stanisław Grossmann – Jeszcze o śp. Romanie Ostoję-Chrząstowskim (1906-2005)	59
Jerzy Duda, Franciszek Dzionek – Śp. inż. Janusz Paszkiewicz (14 VIII 1925 – 21 III 2005)	61
Bolesław Broś – Śp. profesor Zbigniew Stuchły (1907-2005)	62
Jerzy Duda – Śp. mgr Marian Roman Wasylenko (20 IX 1948 – 10 VII 2005)	63
Bolesław Broś – Śp. Antoni Żychiewicz (1919-2005)	63
Tadeusz Dobrzański – List do TMLIKPW we Wrocławiu	64
Andrzej Michniewski – Przepraszam	64
Informacja o prenumeracie „SF”	64
Gdzie kupić „Semper Fidelis”	64
Lista Ofiarodawców	65
Jan Lechicki – Orłom Lwowskim – wiersz	IV strona okładki
Jan Lechicki – Przed pomnikiem Adama Mickiewicza w truskawieckim parku – wiersz	IV strona okładki

Pismo finansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI
Redaguje Kolegium: Danuta ŚLIWIŃSKA, Jerzy PETRYŃSKI, Zbigniew UMAŃSKI.
Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,
50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33, tel./fax 344-88-93; konto bankowe
Nowe konto: PKO-BP O/Wrocław Nr 53 1020 5242 0000 2102 0131 9631

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów,
zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych. Nie płacimy honorariów autorskich.

Protestujemy!

Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich stanowczo protestuje przeciwko nieustającym szykanom wobec Sekretarza Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzeja Przewoźnika – ze strony Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej, niektórych polityków i mass mediów. Dezawuuują Jego osobę i przeszłość posługując się ubeckimi fałszywkami, domniemaniami i insynuacjami. Andrzej Przewoźnik, który stanął do konkursu na szefa IPN, nie został do niego dopuszczony przez Kolegium IPN z powodów dotąd dla nas niezrozumiałych, także zakończenie Jego procesu lustracyjnego jest odwołane.

Podtrzymujemy w pełni nasze stanowisko w tej sprawie podjęte przez Zarząd Główny TMLIKPW zamieszczone w nr. 4/2005 „Semper Fidelis”.

1 października 2005 r.

**Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników
Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich**

**Związek Potomków Lwowskich Profesorów
Zamordowanych przez Gestapo
w Lipcu 1941 roku**
ul. Modrzewiowa 20, 55-120 Oborniki Śląskie, Polska

**Prezydent Republiki Ukrainy
Pan Wiktor Juszczenko**

**za pośrednictwem
Ambasadora Republiki Ukrainy
w Warszawie**

Wielce Szanowny Panie Prezydencie,

Objęcie przez Pana najwyższego urzędu państwowego w Republice Ukrainy zostało uznane w Polsce i wielu krajach świata za sukces prawdy i sprawiedliwości, który daje podstawę dla pomyślnego rokowania w sprawie przyszłości Europy, zwłaszcza w obszarze zajmowanym przez nasze kraje.

Świadomość tego faktu stwarza bowiem możliwość nowego spojrzenia na potrzebę i sposób odtworzenia warunków wzajemnego zaufania podciętego przez tragiczne wydarzenia II wojny światowej.

Tym bardziej jest rzeczą ogromnej wagi, ażeby podkreślić, że wydarzenia te były inspirowane i sterowane przez dwie amoralne ideologie polityczne: III Rzeszy Niemieckiej i Związku Sowieckiego i były już obmyślane w dalekosiężnych planach tych państw przed wybuchem wojny.

Wymazanie wiary w Boga z działań i decyzji politycznych spowodowało w latach dwudziestych minionego wieku w Ukraińskiej Republice Socjalistycznej, stanowiącej część państwa sowieckiego, eksterminację kilku milionów Ukraińców pod oficjalną nazwą „walki z kulactwem”.

W czasie II wojny światowej idea niemieckiego „Herrenvolku” odrzucająca chrześcijańską kontrolę moralną w połączeniu z sowieckim kultem nienawiści pod nazwą „walki klas” spowodowały diafartę kilku milionów Polaków.

W odniesieniu do ludności żydowskiej krajów europejskich idea „czystości rasy” wyznawana przez kilkanaście milionów członków NSDAP doprowadziła Niemców do wymordowania kilku milionów Żydów.

Niestety, od chwili zaistnienia tych ludobójczych zbrodni w czasie trwania II wojny światowej, a następnie po jej zakończeniu, narody odgradzone „żelazną kurtyną”, podlegały perfidnej, nieprzerwanej indoktrynacji pole-

gającej na zatajaniu prawdy o zbrodniach ludobójstwa oraz na wzajemnym obciążaniu się odpowiedzialnością za ich dokonanie przez adherentów obu patologicznych ideologii.

Powodowało to zamęt w świadomości kolejnych pokoleń młodych ludzi nie mogących z natury rzeczy mieć właściwego obrazu minionej rzeczywistości.

Mając na uwadze stosowane przez szereg dziesięcioleci mechanizmy propagandowe utrwalające fałszywą informację łatwiej zrozumieć, dlaczego członkowie społeczeństwa ukraińskiego, którzy ulegli fascynacji ideologią zbrodni nazistowskich i tworzyli w tym duchu organizacje terrorystyczne, byli i są nadal przedstawiani społeczeństwu ukraińskiemu w aureoli fałszywej chwały.

Dlatego uważamy za nasz moralny obowiązek przedstawienie Panu okoliczności ludobójczej zbrodni popełnionej 4 lipca 1941 r. na polskich profesorach uczelni Lwowa: Uniwersytetu Jana Kazimierza, Politechniki Lwowskiej, Akademii Weterynaryjnej i Akademii Handlu Zagranicznego popełnionej przez formację polowego gestapo pod dowództwem Hauptsturmführera Hansa Krügera i Obersturmführera Waltera Kutschmanna z pomocą ukraińskiego batalionu „Nachtigall” pod komendą ukraińskiego oficera Gestapo Romana Suche-wycza, którzy jako funkcjonariusze Gestapo współdziałali w aresztowaniach, a następnie na niemiecki rozkaz osobiście rozstrzelali aresztowanych, tj. 22 profesorów, w tym dwóch z żonami, 8 synów tychże profesorów i 1 wnuka, 1 spokrewnionego księdza katolickiego oraz ośmiu ich przyjaciół. W następnych dniach 12 i 26 lipca 1941 r. zamordowali następnych trzech profesorów.

Dokładną imienną listę wszystkich ofiar przedstawiamy poniżej:

**Zamordowani 4 lipca 1941 r. w kotlinie Wzgórz
Wuleckich i tam okresowo pogrzebani:**

1. Prof. dr Antoni Cieszyński, l. 59, kier. Kl. Stomatologicznej UJK,
2. Prof. dr Władysław Dobrzański, l. 44, ord. Oddz. Chirurgii PSP,
3. Prof. dr Jan Grek, l. 66, profesor przy Kl. Chorób Wewnętrznych UJK,
4. Maria Grekowska, l. 57, żona profesora,
5. Doc. dr Jerzy Grzędziński, l. 40, kier. Kl. Okulistycznej UJK,
6. Prof. dr Edward Hamerski, l. 43, kier. Kl. Chorób Wewnętrznych AWL,

7. Prof. dr Henryk Hilarowicz, I. 51, profesor przy Kl. Chirurgii UJK,
8. Ksiądz dr teologii Władysław Komornicki, I. 29, krewny żony prof. Ostrowskiego,
9. Eugeniusz Kostecki, I. 36, mąż gospodyni prof. Dobrzanieckiego,
10. Prof. dr Włodzimierz Krukowski, I. 53, kier. Kat. Pomiarów Elektrycznych PL,
11. Prof. dr Roman Longchamps de Bérier, I. 56, kier. Kat. Prawa Cywilnego UJK,
12. Bronisław Longchamps de Bérier, I. 25, absolwent PL, syn profesora,
13. Zygmunt Longchamps de Bérier, I. 23, absolwent PL, syn profesora,
14. Kazimierz Longchamps de Bérier, I. 18, absolwent liceum, syn profesora,
15. Prof. dr Antoni Łomnicki, I. 60, kier. Kat. Matematyki PL,
16. Adam Mięśowicz, I. 19, absolwent liceum, wnuk prof. Sołowija,
17. Prof. dr Witold Nowicki, I. 63, kier. Kat. Anatomii Patologicznej UJK,
18. Dr med. Jerzy Nowicki, I. 27, st. asystent Kat. Higieny UJK, syn profesora,
19. Prof. dr Tadeusz Ostrowski, I. 60, kier. Kl. Chirurgii UJK,
20. Jadwiga Ostrowska, I. 59, żona profesora,
21. Prof. dr Stanisław Pilat, I. 60, kier. Kat. Technologii Nafty i Gazów Ziarnnych PL,
22. Prof. dr Stanisław Progulski, I. 67, profesor przy Kl. Pediatrii UJK,
23. Inż. Andrzej Progulski, I. 29, syn profesora,
24. Prof. dr Roman Rencki, I. 67, kier. Kl. Chorób Wewnętrznych UJK,
25. Dr med. Stanisław Ruff, I. 69, ord. Oddz. Chirurgii Szpitala Żydowskiego, zabrany wraz z rodziną z mieszkania prof. Ostrowskiego,
26. Anna Ruffowa, I. 55, żona dr. Ruffa,
27. Inż. Adam Ruff, I. 30, syn dr. Ruffa,
28. Prof. dr Włodzimierz Sieradzki, I. 70, kier. Kat. Medycyny Sądowej UJK,
29. Prof. dr Adam Sołowij, I. 82, emerytowany ord. Oddz. Położniczo-Ginekologicznego PSP,
30. Prof. dr Włodzimierz Stożek, I. 57, kier. Kat. Matematyki PL,
31. Inż. Eustachy Stożek, I. 29, asystent PL, syn profesora,
32. Emanuel Stożek, I. 24, abs. Wydz. Chemii PL, syn profesora,
33. Dr prawa Tadeusz Tapkowski, I. 44, zabrany z mieszkania prof. Dobrzanieckiego,
34. Prof. dr Kazimierz Vetulani, I. 52, kier. Kat. Mechaniki Teoretycznej PL,
35. Prof. dr Kacper Weigel, I. 61, kier. Kat. Miernictwa PL,
36. Mgr prawa Józef Weigel, I. 33, syn profesora,
37. Prof. dr Roman Witkiewicz, I. 55, kier. Kat. Pomiarów Maszyn PL,
38. Prof. dr Tadeusz Żeleński-Boy, I. 66, literat, kier. Kat. Literatury Francuskiej Uniwersytetu, aresztowany w mieszkaniu prof. Greka.

Zamordowani na dziedzińcu bursy Abrahamowiczów 4 lipca 1941 r.:

39. Katarzyna Demko, I. 34, nauczycielka języka angielskiego, zabrana z mieszkania prof. Ostrowskiego,

40. Doc. dr Stanisław Mączewski, I. 49, ord. Oddz. Położniczo-Ginekologicznego PSP,
41. Maria Reymanowa, I. 40, pielęgniarka, zabrana z mieszkania prof. Ostrowskiego,
42. Wolish, I. 40-45, kupiec, zabrany z mieszkania prof. Sieradzkiego.

Zamordowani 12 lipca 1941 r.:

43. Prof. dr Henryk Korowicz, I. 53, kier. Kat. Ekonomii AHZ,
44. Prof. dr Stanisław Ruziewicz, I. 51, kier. Kat. Matematyki AHZ.

Zamordowany w więzieniu 26 lipca 1941 r.:

45. Prof. dr Kazimierz Bartel, I. 59, były trzykrotny Premier RP, kier. Kat. Geometrii Wykreślnej PL (aresztowany jako pierwszy z Profesorów w dniu 2 lipca 1941 r.)

Zauważamy, że żyją jeszcze naocznymi świadkami okoliczności ludobójstwa na polskich profesorach uczelni akademickich Lwowa i osobach im najbliższych.

Mając na uwadze cel nadrzędny, jakim jest przyszłość obu naszych krajów w aspekcie losów Europy i świata, zwracamy się do Pana, jako Prezydenta Ukrainy, o:

1. oficjalne potępienie dokonanej przez Ukraińców – na rozkaz niemiecki – zbrodni ludobójstwa na 25 polskich profesorach oraz członkach ich rodzin i przyjaciół we Lwowie w lipcu 1941 r.,

2. spowodowanie zaprzestania gloryfikacji osób narodowości ukraińskiej winnych udziału w tym strasliwym wydarzeniu przez usunięcie popiersia i ich nazwisk z nazw ulic leżących we Lwowie w bezpośredniej bliskości miejsca zbrodni.

Jesteśmy przekonani, że bierne stanowisko poprzednich władz ukraińskich, zatajające prawdę o ludobójstwie popełnionym na 25 polskich profesorach i osobach im najbliższych w połączeniu z jednoczesną gloryfikacją terroryzmu w osobach współautorów tej zbrodni, stanowi istotną przeszkodę dla normalizacji stosunków między społeczeństwem polskim a społeczeństwem ukraińskim i podważa aspiracje Narodu Ukraińskiego w staraniach o wejście do rodziny Narodów Europy i struktur obronnych współczesnego świata.

Z wyrazami wysokiego poważania

*Sekretarz Andrzej Chuweń
wnuk prof. Stanisława Progulskiego
zamordowanego wraz z synem Andrzejem*

*Członek Związku Stanisław Grzędzielski
syn zamordowanego doc. Jerzego Grzędzielskiego*

*Prezes Tomasz Cieszyński
syn zamordowanego prof. Antoniego Cieszyńskiego*

*Członek Zarządu Jakub Cieszyński
wnuk zamordowanego prof. Antoniego Cieszyńskiego*

*Wiceprezes Joanna Domańska
wnuczka prof. Włodzimierza Stożka zamordowanego
wraz z synami: Eustachym i Emanuelem*

Wyrażam osobistą nadzieję, że prezydent Republiki Ukrainy Wiktor Juszczenko, który jest człowiekiem niepospolitym, nie zaprzepaści tej wyjątkowej chwili dziejowej danej przez Opatrzność.

Tomasz Cieszyński

4 lipca 2005 r.

Władysław Łukaszyński

W hołdzie profesorom lwowskich uczelni – Rzeszów

W dniu 3 lipca 2005 r. w Rzeszowie odbyła się uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej poświęconej profesorom lwowskich uczelni, zamordowanym we Lwowie, na Wzgórzach Wuleckich przez Niemców, przy współudziale ukraińskich nacjonalistów – żołnierzy z ukraińskiego batalionu „Nachtigall”.

Honorowy patronat nad tą uroczystością objęli: JE ks. bp Kazimierz Górny – Ordynariusz Diecezji Rzeszowskiej, JM Rektor Uniwersytetu Rzeszowskiego – prof. dr hab. Włodzimierz Bonusiak (autor książki pt. „Kto zabił profesorów lwowskich”) i JM Rektor Politechniki Rzeszowskiej im. I. Łukasiewicza – prof. dr hab. Tadeusz Markowski.



Tablica ta, z brązu, o wym. 59 x 82 cm, ufundowana została przez Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział Rzeszów, ze środków finansowych otrzymanych od: Politechniki Rzeszowskiej, R-press sp. z o.o. (wydawca G.C. Nowiny) i Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie.

Formę artystyczno-plastyczną tej tablicy wykonał artysta-rzeźbiarz Marek Tadeusz Sycz z Malborka wg projektu autora niniejszego artykułu – wiceprezesa Zarządu Oddziału TMLiKPW w Rzeszowie.

Uroczystość odsłonięcia i poświęcenia tablicy odbyła się w kościele Świętego Krzyża w Rzeszowie przy ul. 3 Maja. Dzięki przychylności proboszcza – ks. prał. Władysława Jagustna, tablica ta umieszczona została

na frontowej ścianie (fasadzie) tego zabytkowego (wybudowanego w 1645 r.) kościoła, będącego w chwili obecnej w remoncie, podobnie jak dwie tablice poprzednie ufundowane przez Oddział TMLiKPW w Rzeszowie, poświęcone Obrońcom Lwowa i Kresów Wschodnich (odsłonięta w 1998 r.) i Polakom pomordowanym przez bandy UON-UPA w latach 1939-1947 (odsłonięta w 2003 r.).

O terminie i miejscu mającej się odbyć uroczystości odsłonięcia tej tablicy mieszkańcy Rzeszowa dowiedzieli się tylko z afiszy-plakatów rozwieszonych przez członków naszego Towarzystwa w ruchliwych punktach oraz informacji przekazywanych przez ks. prał. Wł. Jagustynę na wszystkich nabożeństwach w niedzielę poprzedzającą uroczystość. O terminie i programie tej uroczystości nie informowały w Rzeszowie media: prasa, radio i telewizja. Milczenie to mówi jednak bardzo dużo!

Przed uroczystością tablica została udekorowana białoczerwonymi szarfami, a pod tablicą zapalono znicze. Obok tablicy stanęła warta honorowa, którą pełnili „Strzelcy” ze Związku Strzeleckiego „Strzelec” OSW Rzeszów, którego dowódcą jest Marek Strączek, wielce życzliwy i przyjazny wszystkim poczynaniom naszego Towarzystwa.

Dostojności tej uroczystości nadały pocztę sztandarową: Politechniki Rzeszowskiej, Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, Uniwersytetu Rzeszowskiego, Podkarpackiego Związku Piłsudczyków w Rzeszowie i II LO im. Płk. L. Lisa-Kuli w Rzeszowie, a uzupełnieniem tej uroczystej oprawy była orkiestra WSK Rzeszów pod dyr. Jana Bałchana i występ jej solisty Kazimierza Puca.

Uroczystość rozpoczęła się o godz. 11.00 w kościele Świętego Krzyża odśpiewaniem pieśni „Śliczna Gwiazdo miasta Lwowa...”. Mszy świętej przewodniczył ks. infułat Józef Sondej. Przed rozpoczęciem Mszy św. ks. prałat Wł. Jagustyn – proboszcz, zwracając się do uczestników uroczystości powiedział:

„Niedzielną Eucharystia dzisiaj przybiera charakter jeszcze bardziej uroczysty, bo wpisuje się w historyczne wydarzenia, dzięki którym niesiemy dar modlitwy prosząc o wieczne zbawienie dla pomordowanych w 1941 r. we Lwowie profesorów wyższych uczelni lwowskich.

Nasz dar modlitwy, tu przed ołtarzem, w kościele Świętego Krzyża, płynie daleko poza Przemyśl, Mościska, jak nieraz słyszymy głos Radia VIA – transmitującego dzisiejszą Mszę – dociera również do Lwowa. Ten dar modlitwy na ołtarzu składa ks. infułat Józef Sondej i zgromadzeni przy nim kapłani i księża prałaci. Dar modlitwy składają ci najbardziej wierni dla Lwowa i Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, dar modlitwy składa również prof. Stanisław Grzędzielski, syn jednego z zamordowanych profesorów uczelni lwowskich i wnuk zamordowanego profesora.

Cieszymy się tak szerokim gremium, które zgromadziło się przy ołtarzu: pan Marszałek Woj. Podkarpackiego, przedstawiciele Uniwersytetu Rzeszowskiego, Politechniki Rzeszowskiej, Wyższej Szkoły Informatyki



Ks. infułat Józef Sondej z książkami celebrujący Mszę św.

i Zarządzania, młodzież i profesorowie II LO im. L. Lisa-Kuli, młodzież i profesorowie I LO im. St. Konarskiego i ci wszyscy, dla których temat prawdy i sprawiedliwości, ładu moralnego jest tak bardzo ważny, poczty sztandarowe na czele z pocztą reprezentującym Podkarpacki Związek Piłsudczyków i Związek Strzelecki i Oddziały „Strzelców” mobilizują nas do refleksji nad tym, jak podejmować te wartości, które były naczelnymi darami prac i służby Bogu i Ojczyźnie”.

Okolicznościowe kazanie wygłosił ks. prałat Wł. Jagustyn – kapelan TMLiKPW w Rzeszowie. Poniżej zamieszczam pełny, autoryzowany, tekst tego kazania:

„Bierzemy sobie do serca słowa, które kieruje do nas św. Paweł – apostoł pod tchnieniem Ducha Świętego: bracia, jesteście dłużnikami mieszkającego w nas Ducha, jesteście dłużnikami. Chcemy uświadomić sobie jaki dar otrzymaliśmy przez tchnienie życia, przez dar Chrztu Świętego, przez włączenie do społeczności, do rodziny dzieci bożych, do Kościoła Świętego. Jesteśmy dłużnikami Ducha, który pozwala nam uświadomić sobie, że jesteśmy synami, córkami, dziećmi Narodu, który dumny jest ze swej historii, ze swego honoru i z Ofiar, które tyle pokoleń składało i składa, aby Bóg był na pierwszym miejscu i wszystko inne było na właściwym miejscu, na rozwój ludzkiego rozumu.

Chcemy spłacać dług wdzięczności. Z tym długiem wdzięczności przychodzimy do Jezusa Chrystusa, który sam nas zaprasza: przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a ja was pokrzepię. Obciążeni jesteście codziennym krzyżem, codziennymi obowiązkami, troskami, ale także i obciążeni jesteście dziedzictwem Narodu, dziedzictwem, które pisane jest krwią męczenników.

Jesteśmy pod wrażeniem uroczystości przeżywanych na Cmentarzu Orłąt Lwowskich. Pewnie jeszcze nie zwiędły do końca wszystkie kwiaty, które były symbolem żywej i autentycznej miłości i wdzięczności za tych, którzy podjęli walkę o Lwów, o miasto, o ziemię, o tradycję, o kulturę i wiarę. Nie dogasną do końca znicze, bo są, bo są dostawiane nowe. Aby tylko przejazd przez granicę był łatwiejszy, to wielu byłoby takich, którzy niemalże pieszo poszliby, aby zapalić znicze pamięci, bo ta pamięć była, jest i będzie żywa.

A tu, w kościele Świętego Krzyża, znów składają się poczty sztandarowe, znów wiązanki kwiatów i wieńce

biało-czerwone. Dlaczego akurat tutaj, dlaczego w tę niedzielę, dlaczego w lipcu? Staje się lipiec miesiącem ofiar ludobójstwa drugiej wojny, lat okupacji, które rozpoczęły się we wrześniu 1939 r., potwierdzone atakiem ze wschodu 17 września 1939 r. i które jak rozniecony ogień zaczęły płonąć z końcem czerwca 1940 r. i w następne lata, gdy przyszedł czas rzezi i ludobójstwa ludności polskiej na Wołyniu, na Kresach Południowo-Wschodnich Rzeczypospolitej.

Adam Asnyk dzisiaj mobilizuje nas do refleksji, że „każda epoka ma swe własne cele i zapomina o wcześniejszych snach... nieście więc wiedzę pochodni na czele i nowy udział bierzcie w wieków dziele, przyszłości godnie wznosząc gmach”.

Młodzież, dzięki swoim profesorom na rzeszowskich wyższych uczelniach niesie wiedzę pochodni na czele. Ale zanim w Rzeszowie powstały wyższe uczelnie, w Rzeszowie było gimnazjum ze słynnym profesorem ks. Stanisławem Konarskim, było gimnazjum, z którego na pomoc Orłętom Lwowskim w wojnie z bolszewikami i Ukraińcami pofrunęli uczniowie gimnazjum i niektórzy ich profesorowie. O tym wieści nam pamiątkowa tablica w kościele Świętego Krzyża. Ale też nie tylko w bój krwawy poszli do Lwowa rzeszowscy uczniowie. Na lwowski uniwersytet, na Lwowską Politechnikę i na inne wyższe uczelnie Lwowa poszli także rzeszowscy gimnazjaliści.

Zmarł już jeden z wychowanków, absolwent Uniwersytetu Jana Kazimierza, który zostawił jakby testament. W 60 rocznicę zamordowania profesorów lwowskich uczelni, gdy tygodnik „Niedziela” przedstawił ich życiorysy i umieścił fotografie profesorów, on ocierając łzy, jako starzec mówił: widzę ich wszystkich, 25, wchodzących na katedry uniwersytetu, który nosi imię króla Jana Kazimierza, widzę ich wszystkich, szlachetnych ludzi i boleję, że do tej pory prawda o ich męczeńskiej śmierci jest tak jeszcze ukrywana i tak jeszcze fałszowana. Chciałbym doczekać chwili, że jeśli nie ja to społeczność Rzeszowa, społeczność rzeszowskich uczelni skłoni głowę przed tablicą upamiętniającą nie tylko imiona i nazwiska wielkich profesorów, ale i następne pokolenia skłonią głowę przed tymi, którzy zostawili nam prawdę o świetlanej epoce i będą nam przypominać na jakim ołtarzu dziś wznosimy gmach wiary i rozwijamy rozum następnych pokoleń. Mówię więc śmiało, jesteście wykonawcami testamentu absolwenta uniwersytetu lwowskiego, który pracował w Rzeszowie od wojny jako znany i ceniony adwokat. Spłacamy dług wdzięczności, jesteśmy dłużnikami ducha.

Jeszcze raz Adam Asnyk mobilizuje nas, pisząc: „nie depczcie przeszłości ołtarzy, choć macie sami doskonalsze wzniesić; na nich się jeszcze święty ogień żarzy, i miłość ludzka stoi tam na straży i wy winniście im cześć!”.

Czy trzeba i warto wspominać tamtą okrutną noc z 3/4 lipca 1941 r. Henryk Sienkiewicz w powieści „Polski miecz” pisał pięknym językiem o tragicznym smutku i przeżyciu wojen kozackich na Ukrainie: „opustoszała Rzeczpospolita, opustoszała Ukraina, wilcy wyli na zgłiszczach dawnych miast i kwitnące niegdyś kraje były jakby wielki grobowiec. Nienawiść wrosła w serca i zatrąła krew pobratymców”. Dlaczego tak się stało?

Nie była to niestety ostatnia tragedia na polskich Kresach Wschodnich. Gen. Józef Haller, o którym mówiono – człowiek czystych rąk i czystego serca, w swoich Pamiętnikach wyd. w 1964 r. w Londynie, tak pisał na temat mordów ludności polskiej: prosimy Boga, by z tej krwi ofiarnej nie powstał żaden krwawy czy ognisty mściciel, lecz by Bóg – Sam Mściciel – w miłosierdziu swoim połączył bratnie narody w serdecznym uścisku przebaczenia.

My dziś możemy stawiać pytanie – czy tak się stanie?, czy te bratnie narody w serdecznym uścisku przebaczenia rozpoczną nową epokę? Czy tak się stanie? Mam nadzieję, że tak się stanie, ale gdy wola będzie po obu stronach, gdy prawda będzie przypomniana przez obydwa narody, również i przez Moskwę, i przez Białoruś.

Jeden z wychowanków lwowskiego uniwersytetu, ks. bp Wincenty Urban, który życie swoje zakończył jakby na wygnaniu, w Archidiecezji Wrocławskiej, pisząc o „Drodze krzyżowej Archidiecezji Lwowskiej w latach II wojny światowej 1939-1945” tak rysuje refleksję: urywek dziejów niedawno minionych lat z dawnej Archidiecezji Lwowskiej chcemy kreślić w poczuciu wielkiej odpowiedzialności wobec historii z równoczesnym założeniem, iż „winny należy przebaczyć, ale nie można zapomnieć o doznanych krzywdach niekiedy wołających o pomstę do nieba”, bo była to zbrodnia przeciw ludzkości. Należy o tych krzywdach mówić w imię poszanowania godności człowieka, obrony powołania człowieka, dziecka Bożego, niekiedy tak strasznie poniżanego.

25 profesorów lwowskich uczelni: Uniwersytetu Jana Kazimierza, Politechniki Lwowskiej i Akademii Medycyny Weterynaryjnej, to ci, którzy stają się tym pomnikiem, o którym mamy pamiętać i który ma nas powstrzymywać przed wszelkimi aktami fałszowania prawdy historycznej i poniżania godności człowieka.

Profesor Tomasz Cieszyński, w Lublinie przy odsłanianiu tablicy pamiątkowej, podobnej do naszej – rzeszowskiej, w 60 rocznicę zbrodni, jako syn zamordowanego prof. Antoniego Cieszyńskiego, próbował znaleźć odpowiedź na pytanie: jak mogło dojść do takiej zbrodni? Jako świadek okoliczności zbrodni dokonanych na lwowskich profesorach i jako ten, który wiele starań dołożył, aby poznać jej szczegóły i przebieg mam obowiązek, mówił profesor, wskazać na motywy tej zbrodni, która wylęła się z idei suprematyzmu germańskiego dążącego do podporządkowania ziem polskich. Niemcy z systematycznym postanowieniem dążyli do tego, aby zniszczyć naród polski, profesorów, ludzi nauki, oficerów oraz do czasowego pozostawienia przy życiu tylko polskich niewolników pozbawionych wykształcenia, by w końcu całkowicie wypłenić naród polski. Zaczęły im też towarzyszyć myśli ludzi, którzy byli owładnięci żądzą władzy i wprowadzenia życia takiego, w którym człowiek będzie stanowił prawa jakoby Boga nie było.

Obok tych, którzy mieli zaprogramowany plan ludobójstwa, stanęli nieliczni Ukraińcy – nacjonałści, którzy za wzorem gigantycznego ludobójstwa, w celu etnicznego oczyszczenia wschodnich województw Rzeczypospolitej z rdzennej ludności polskiej odważyli się popełnić tak okrutną – kainową zbrodnię.

Cierpienie jest udziałem człowieka na drogach ziemskiej, doczesnej pielgrzymki; w świetle wiary ma ono wielką moc ekspiacyjną i znaczenie jego nigdy nie zgi-

nie – pisze jeszcze raz ks. bp W. Urban. Zachodzi jednak konieczność i nieodzowność utrwalania, przynajmniej w uchwytynych zarysach i dostępnych możliwościach, wielkiego wkładu cierpienia człowieka bezprzykładnie niewinnego, cierpiącego w bezwzględnej większości nie za swoje winy, ale jedynie z powodu wiekowych, dziejowych następstw i układów geograficzno-historycznych i machinacji politycznych.

Dziś krwi nie wołamy, zdobyć nie chcemy, chcemy Bogu polecać tych, którzy niewinnie cierpieli, chcemy prosić, aby krew, którą składamy z Chrystusową Ofiarą na ołtarzu zmobilizowała nas wszystkich i pomogła nam dzisiaj jeszcze bardziej dołączyć się do starań tych wszystkich, którzy pragną zachować prawdę i służyć w imię prawdy Bogu i Ojczyźnie.

Pragniemy na naczelnym miejscu tych ludzkich starań i zabiegów również stawiać tych, którzy umieją ducha ludzkiego wznosić na dwóch skrzydłach – wiary i rozumu. Niech więc nasze spotkanie przy Chrystusowym Ołtarzu będzie krokiem w przyszłość, w tę przyszłość, w której będziemy bronić tych duchowych wartości, które tak wielu lekceważy w jednoczącej się Europie. Chcemy bronić tych duchowych wartości wiary i rozumu, bez których nie ma przyszłości narodów i nie mogłoby być pokoju.

Niech więc dar modlitwy i prawda historyczna pomogą nam jeszcze raz uwierzyć, że Ofiara Chrystusa, do której została dołożona ofiara lwowskich profesorów, ofiara ludności Wołynia i Kresów Południowo-Wschodnich Rzeczypospolitej będzie właściwie doceniona, będzie przez nas uszanowana i równocześnie nas powstrzyma od jakichkolwiek ataków na drugiego człowieka.

Niech dzisiejsza Ofiara Chrystusowa pomoże nam przekazać sobie znak pokoju i podjąć jeszcze raz, na nowo, wielką służbę Bogu i Ojczyźnie. Amen”.

Druga część uroczystości odbyła się na zewnątrz kościoła, przed tablicą pamiątkową.

Tę część uroczystości prowadził Jan Brodziński – członek naszego Towarzystwa. Po odegraniu hymnu udzielił on głosu doktorowi Władysławowi Łukaszyńskiemu – wiceprezesowi Zarządu Oddziału TMLiKPW w Rzeszowie, który w imieniu członków Towarzystwa i współorganizatorów powitał mieszkańców Rzeszowa i wszystkich uczestników tej uroczystości, a szczególnie serdecznie zaproszonych gości:

- ks. infułat Józefa Sondej, ks. kanclerza Jana Szczupaka oraz wszystkich obecnych na uroczystości prałatów i księży, a przede wszystkim ks. prałata Wł. Jagustyna – kapelana TMLiKPW w Rzeszowie,
- Marszałka Województwa Podkarpackiego – Leszka Deptułę,
- Przewodniczącego Rady Miasta Rzeszowa – Andrzeja Deca,
- Wiceprezydenta Miasta Rzeszowa – Marka Koberskiego,
- JM Rektora-elektę Politechniki Rzeszowskiej – prof. dr. hab. Andrzeja Sobkowiaka,
- Prorektora Uniwersytetu Rzeszowskiego – prof. dr. hab. Stanisława Sagana,
- Prorektora Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie dr. Krzysztofa Fereca,
- prof. dr. hab. Stanisława Grzędzielskiego z Warszawy z synem (syn i wnuk zamordowanego we Lwowie prof. Jerzego Grzędzielskiego),
- poczty sztandarowe,
- Prezesa Podkarpackiego Związku Piłsudczyków – Andrzeja Kaźmierczaka, i „Strzelców” z ich dowódcą Markiem Strączkiem,
- delegacje klubów TMLiKPW z Leżajska i Pustkowa,
- dyrekcję I i II LO w Rzeszowie z młodzieżą,

- dyрекcyję i grono pedagogiczne z dziećmi ze Szkoły Podstawowej nr 14 im. Orłąt Lwowskich w Rzeszowie,
- Stanisława Żółkiewicza i Romana Siemaszko z Przemyśla, reprezentujących Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów,
- kierownictwo PKS SA w Rzeszowie: prezesa dr. Czesława Pielę i wiceprezesa inż. Jana Lamparta,
- Marka Tadeusza Sycza, artystę-rzeźbiarza, wykonawcę tej tablicy,
- współorganizatorów dzisiejszej uroczystości,
- orkiestrę WSK Rzeszów pod dyr. Jana Balchana.

Witam serdecznie wszystkich zaproszonych gości, których ze względu na czas nie wymieniałem i których za to przepraszam.



Okolicznościowe przemówienie wygłasza Władysław Łukaszyński – wiceprezes Zarządu Oddziału TMLiKPW w Rzeszowie.

Po powitaniu gości wiceprezes zarządu Oddziału – dr Wł. Łukaszyński wygłosił okolicznościowe przemówienie, którego pełny tekst podaję poniżej:

Szanowni Mieszkańcy Rzeszowa, Dostojni Goście i uczestnicy dzisiejszej uroczystości

Są w dziejach narodu wydarzenia, o których nigdy nie wolno zapomnieć. Jednym z takich wydarzeń jest mord 25 profesorów lwowskich wyższych uczelni dokonany we Lwowie w lipcu 1941 r. przez niemieckich faszystów przy współudziale ukraińskich nacjonalistów.

Dla uczczenia pamięci 64 rocznicy śmierci tych profesorów, staraniem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich – Oddział w Rzeszowie, ufundowano im tablicę pamiątkową, która za chwilę zostanie odsłonięta i poświęcona.

W polskim od ponad 600 lat Lwowie mieszkała wspólnie i w zgodzie ludność różnych narodowości i wyznań: Polacy, Żydzi, Rusini, Ormianie, Niemcy, Czesi, Turcy i inne nacje. I to oni przez te 6 wieków kształtowali historię i kulturę tego miasta, a szczególnie kulturę Kresów Południowo-Wschodnich RP.

W 1939 r. we Lwowie działały 4 wyższe uczelnie: Uniwersytet Jana Kazimierza, Akademia Medycyny Weterynaryjnej, Politechnika Lwowska i Akademia Handlu Zagranicznego.

Lwowski, bardzo liczny kadrowo ośrodek akademicki, posiadał bardzo duży dorobek naukowy i wniósł istotny wkład w rozwój nauki i kultury polskiej i światowej.

Takie nazwiska jak: Stefan Banach (matematyk), Jan Czekanowski (antropolog), Eugeniusz Romer (geo-

graf) czy Rudolf Weigl (zoolog, bakteriolog – twórca szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu) znane były nie tylko we Lwowie i Polsce, ale w całym naukowym świecie.

W czasie II wojny światowej Lwów doświadczył okropnych cierpień zadanych mu przez dwa totalitarne systemy: komunistyczny – sowiecki i faszystowski – niemiecki, wspomagany przez ukraińskich nacjonalistów.

W dniu 22 IX 1939 r. do Lwowa wkroczyły wojska sowieckie. Rozpoczęła się pierwsza okupacja sowiecka, a wraz z nią aresztowania i masowe wywózki Polaków na Sybir do łagrów w głąb Związku Radzieckiego. Do czerwca 1941 r. wywieziono ponad 20 tys. mieszkańców tego miasta, a tysiące aresztowano i osadzono w więzieniach. Sowieci wycofując się ze Lwowa przed Niemcami, pod koniec czerwca 1941 roku, w bestialski sposób wymordowali w więzieniach lwowskich około 7000 osób – Polaków, których wcześniej tam osadzili. Celem niemieckiego totalitaryzmu faszystowskiego było biologiczne wyniszczenie i likwidacja narodu polskiego i jego inteligencji. Do realizacji tego ludobójczego planu przystąpiono z pełną premedytacją już w pierwszych dniach po wkroczeniu Niemców do Lwowa.

W dniu 30 VI 1941 r. do Lwowa wkroczyły oddziały niemieckie. Wraz z Niemcami wkroczył do Lwowa również, będący na usługach Niemców, a składający się z ukraińskich nacjonalistów batalion „Nachtigall” pod komendą oficera Gestapo – Ukraińca Romana Suchewicza. Oddziały te przystąpiły natychmiast do realizacji swych zbrodniczych planów.

Już na drugi dzień żołnierze z ukraińskiego batalionu „Nachtigall” dokonali pogromu Żydów we Lwowie, a następnie wspólnie z Niemcami przystąpili do aresztowania i likwidacji profesorów lwowskich wyższych uczelni.

W dniu 2 VII 1941 r. aresztowano prof. Kazimierza Bartła, trzykrotnego premiera, posła i senatora RP. W nocy z 3/4 VII 1941 r. aresztowano następnych profesorów, a wraz z nimi 11 członków ich rodzin i 9 przyjaciół, wśród których był również ks. dr teol. Władysław Komornicki.

Już w nocy 4 VII 1941 r. o godz. 4 nad ranem, na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie, zamordowano i tam zakopano 22 profesorów oraz wszystkich aresztowanych wraz z nimi członków ich rodzin i przyjaciół. Zamordowano tam również ks. dr teol. Władysława Komornickiego. Pozostali 3 profesorów, w tym i prof. Kazimierza Bartła zamordowano kilka dni później. Część tych profesorów przed rozstrzelaniem poddanych było wyrafinowanym torturom.

Wybór aresztowanych profesorów nie był przypadkowy. Aresztowań dokonano wg listy przygotowanej przez Krakowski Ośrodek Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów na długo przed wkroczeniem Niemców do Lwowa. Autorami tej listy byli członkowie tej organizacji – Ukraińcy, studenci lwowskich uczelni, którzy opuścili Lwów przed wkroczeniem Sowietów w 1939 r., a powrócili do niego 30 VI 1941 r., ale już nie jako studenci i uczniowie tych profesorów, tylko jako ich kaci – ubrani w niemieckie mundury żołnierze ukraińskiego batalionu „Nachtigall”.

To właśnie żołnierze batalionu „Nachtigall” wzięli czynny udział w aresztowaniu i rozstrzeliwaniu profeso-

rów lwowskich wyższych uczelni i to oni, a nie naród ukraiński, są współodpowiedzialni za tę zbrodnię.

Mordercom tych profesorów przebaczymy, chcemy też pojednania oraz dobrosąsiedzkich i przyjaznych stosunków z narodem ukraińskim, jednak o zbrodni tej nie wolno nam zapomnieć i milczeć.

Ofiary tej zbrodni i po śmierci nie zaznały spokoju. Kiedy w roku 1943 Niemcy ujrzeli widmo zbliżającej się klęski, postanowili zatrzeć ślady tej zbrodni i ukryć ją przed światem. W nocy z 6/7 X 1943 r. zwłoki profesorów i innych ofiar pochowanych w lipcu 1941 r. na Wzgórzach Wuleckich wygrzebano i wywieziono do lasu w Krzywczu k. Lwowa i tam je spalono, a niespalone kości zmielono na popiół w młynach żwirowych i rozsypało po lesie.

Mordercom nie udało się jednak zatrzeć pamięci o tej potwornej zbrodni. W wielu miastach ufundowano im tablice pamiątkowe, zaś we Wrocławiu aż 4 tablice i pomnik.

Za chwilę również w Rzeszowie zostanie odsłonięta tablica pamiątkowa poświęcona profesorom lwowskich wyższych uczelni, zamordowanym w lipcu 1941 r. Nazwiska tych profesorów umieszczone są na tej tablicy.

Niech tablica ta będzie symbolem hołdu złożonego wszystkim zamordowanym profesorom lwowskich uczelni, ale i symbolem prawdy historycznej, niech wskazuje rzeczywistych sprawców tej zbrodni, niech trwale przypomina o niej następnym pokoleniom i niech będzie dla nich przestrogą do czego może doprowadzić chorobliwa nienawiść, nacjonalizm, rasizm i fanatyzm.

Świadkowie tej zbrodni odejdą, ale pamięć o niej pozostanie w tej tablicy.

Tablicy tej Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Rzeszowie nie byłoby w stanie ufundować bez pomocy finansowej darczyńców.

Za tę pomoc i życzliwość w imieniu członków naszego Towarzystwa serdecznie dziękuję wszystkim darczyńcom.

W imieniu członków Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Rzeszowie szczególne słowa podziękowania i wdzięczności kieruję pod adresem ks. prałata Wł. Jagustyna – proboszcza tej pięknej świątyni i naszego kapelana za to, że wyraził zgodę na umieszczenie tej oraz dwóch poprzednich tablic przez nas ufundowanych na ścianie tego kościoła.

Dziękuję serdecznie Księżu Prałacie!!! Dziękuję.

Następnie Jan Brodziński poprosił o zabranie głosu prof. dr. hab. Stanisława Grzędzielskiego, syna zamordowanego prof. Jerzego Grzędzielskiego i członka Zarządu Związku Potomków Lwowskich Profesorów zamordowanych we Lwowie w lipcu 1941 r. W swoim bardzo osobistym i refleksyjnym wystąpieniu prof. St. Grzędzielski, bardzo wzruszony, dziękując za zaproszenie na tę uroczystość powiedział m.in.: zbrodnię możemy wybaczyć, ale nie możemy o niej zapomnieć, musimy domagać się też, by i druga strona o niej pamiętała. Prawda o tej zbrodni była przez wiele lat zatajana, przemilczana i fałszowana. Odsłaniania dzisiaj w Rzeszowie tablica jest pierwszą, na której wyraźnie napisano kto jest odpowiedzialny za tę zbrodnię. Jest to jedyna tablica nieocenowana – powiedział prof. S. Grzędzielski.

Z kolei zabrał głos Marszałek Województwa Podkarpackiego Leszek Deptuła, który nawiązując do niedawnej uroczystości otwarcia Cmentarza Orłąt Lwowskich powiedział m.in.: Kiedy się stoi wśród tych krzyży i kiedy się słyszy hymn polski łączy się w oku kręci (...). Taka uroczystość jak dzisiaj ma niezwykłą wymowę i wywołuje refleksje nad przeszłością. Naszej wspólnej historii nie możemy przypudrować, musimy ją budować na prawdzie (...). Jako Marszałek Województwa Podkarpackiego wyrażam podziękowanie Towarzystwu Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich – Oddział Rzeszów za podjęty i zakończony sukcesem trud ufundowania tej tablicy, a także za pielęgnowanie prawdy o historii Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, a następnie przekazał gratulacje i wyrazy uznania na ręce wiceprezesa Zarządu Oddziału Wł. Łukaszyńskiego.

Następnie odczytano adresy (pisma) okolicznościowe nadesłane do TMLiKPW przez:

- Przewodniczącego Sejmiku Województwa Podkarpackiego Krzysztofa Kłaka (odczytał J. Brodziński),
- Prezydenta Miasta Rzeszowa Tadeusza Ferencę (odczytał Wiceprezydent Miasta Rzeszowa Marek Koberski),
- Posła do Parlamentu Europejskiego dr. Mieczysława Janowskiego (odczytał Jacek Adamowicz – asystent posła).

Po odczytaniu nadesłanych adresów, prowadzący Jan Brodziński do odsłonięcia tablicy poprosił:

- prof. dr. hab. Stanisława Grzędzielskiego, syna zamordowanego prof. Jerzego Grzędzielskiego,



Prof. Stanisław Grzędzielski (syn zamordowanego prof. Jerzego Grzędzielskiego) odsłania tablicę pamiątkową

- Marszałka Województwa Podkarpackiego Leszka Deptułę,
- JM Rektora-elektę Politechniki Rzeszowskiej, prof. dr. hab. Andrzeja Sobkowiaka,
- Prorektora Uniwersytetu Rzeszowskiego, prof. dr. hab. Stanisława Sagana,
- Prrektora Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania, dr. Krzysztofa Fereca,

- Wiceprezydenta Miasta Rzeszowa Marka Koberskiego,
 - Honorowego Prezesa TMLiKPW Oddział Rzeszów Bolesława Opalka.
- Aktu poświęcenia tablicy dokonał ks. infułat Józef Sondej, po czym przystąpiono do składania wieńców i kwiatów. Złożyli je:
- Władysław Łukaszyński – wiceprezes i panie Elżbieta Komenda i Elżbieta Synowiec złożyli wieniec od członków TMLiKPW w Rzeszowie,



Wieniec od członków TMLiKPW w Rzeszowie składają: Wł. Łukaszyński – wiceprezes i panie Elżbieta Komenda i Elżbieta Synowiec – członkowie Towarzystwa.

- Leszek Deptuła Marszałek Województwa Podkarpackiego,
- Marek Koberski Wiceprezydent Miasta Rzeszowa,
- Andrzej Kaźmierczak prezes Podkarpackiego Związku Piłsudczyków i Marek Strączek Komendant Związku Strzeleckiego „Strzelec” ze Strzelcami,
- delegacje Klubów TMLiKPW w Leżajsku i Pustkowie,
- delegacje rzeszowskich uczelni, związków, zrzeszeń, stowarzyszeń – współorganizatorów tej uroczystości.

W uroczystości tej uczestniczył również 91-letni absolwent Politechniki Lwowskiej – Tadeusz Tondera (dypl. w 1939 r.).

Na zakończenie uroczystości Jan Brodziński w imieniu jej organizatorów podziękował wszystkim uczestnikom za udział w niej i poprosił orkiestrę o odegranie hymnu „Boże, coś Polskę”, po wykonaniu którego jej solista p. Kazimierz Puc poza programem przy akompaniamencie orkiestry zaśpiewał pięknie pieśń „Barka”.

Wszystkimi pracami organizacyjnymi dotyczącymi tej tablicy od opracowania projektu do jej zamontowania na fasadzie kościoła i odsłonięcia zajmowały się, prawie wyłącznie, tylko dwie osoby: Władysław Łukaszyński – wiceprezes i Antoni Mikluska – prezes Zarządu Oddziału TMLiKPW w Rzeszowie, zaś wszystkie pisma (druki) niezbędne przy załatwianiu spraw z tym związanych (a było ich wiele) wykonywała na własnym komputerze i materiale p. Elżbieta Synowiec.

„Finis coronat opus” – koniec wieńczy dzieło. Osobiście cieszę się z doprowadzenia tego dzieła do końca. Żałuję jednak bardzo, że w końcowym akcie tego dzieła – uroczystości odsłonięcia tablicy i złożenia pod nią kwiatów – nie uczestniczył jej współtwórca, prezes Antoni Mikluska, gdyż nie pozwoliła mu na to nagła choroba.

Kończąc, wyrażam serdeczne podziękowanie i wdzięczność naszemu kapelanowi – ks. prał. Władysławowi Jagustynowi, proboszczowi kościoła Świętego Krzyża w Rzeszowie, za wspieranie od początku do końca naszych zamierzeń i czynności związanych z fundacją i lokalizacją tej tablicy, a także za cenne rady i uwagi oraz serdeczną współpracę.

Współorganizatorami tej uroczystości byli: Uniwersytet Rzeszowski; Politechnika Rzeszowska; Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie; Podkarpacki Związek Piłsudczyków w Rzeszowie; Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej – Oddział w Rzeszowie; Światowy Związek Żołnierzy AK – Okręg w Rzeszowie; Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość” – Oddział w Rzeszowie; Związek Inwalidów Wojennych RP – Oddział w Rzeszowie; Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Kraju – Oddział w Rzeszowie.

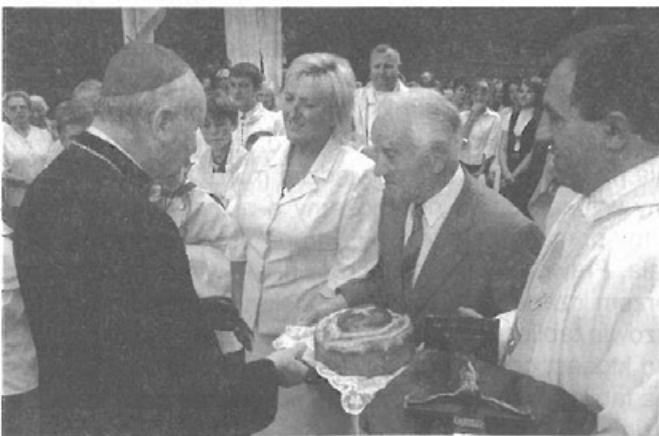
Autorem zdjęć jest A. Przywara. □

Leszek Duszeńko

Jubileusz w Gródku Jagiellońskim

17 lipca br. w Gródku Jagiellońskim koło Lwowa odbyły się uroczyste obchody 15-lecia odrodzenia parafii pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego. Głównym celebrazem uroczystej Mszy św., jak przed 15 laty, był ks. Kardynał Marian Jaworski, Metropolita Lwowski.

Na początku Mszy św. zabrał głos ks. dr Michał Bajcar, proboszcz tego kościoła. Powitał wszystkich gości i mieszkańców miasta przybyłych na uroczystości. Zwracając się do ks. Kardynała ks. Michał powiedział: „Najdostojniejszy księże Kardynale! Nasz Arcypasterzu! Pragnę dzisiaj z tego miejsca w kościele w Gródku gorąco przywitać Cię w imieniu całej naszej wspólnoty parafialnej Gródka, Lubienia i Komarna, księ-



ży, którzy tu pracowali, wszystkich naszych przyjaciół, dobrodziejów i gości. Cieszymy się, że Bóg pozwolił nam jako wspólnocie dziękować Mu za ten jubileusz odrodzenia parafii rzymskokatolickiej w Gródku Jagiellońskim, razem z Tobą, Ojcem naszej diecezji. Życzymy dużo sił i zdrowia, niech Bóg prowadzi na niwie kierowania naszym Kościołem lwowskim, a Matka Boża Łaskawa, Śliczna Gwiazda miasta Lwowa, wyprasza u swego Syna wszelkie potrzebne łaski dla Waszej Eminencji”.

Na Mszę św. przybyli: ks. Andrzej Legowicz, sekretarz ks. Kardynała, ks. Michał Holdowicz, były proboszcz w Gródku Jagiellońskim, a obecnie proboszcz w Strzałkowicach, dekanat Sambor, ks. Jarosław Olszewski, rektor seminarium księży Pallotynów w Brzuchowicach, ks. prof. Tadeusz Pater, salezjanin z Przemyśla, ojciec Wsewołod z cerkwi greckokatolickiej w Gródku Jagiellońskim, diakon Władysław Smolyn z Katedry Lwowskiej, siostry Pallotynki, Ludwika i Grażyna z Warszawy, z Konsulatu Generalnego RP we Lwowie Konsul Beata Dędz-Dobosz z małżonkiem i Konsul Krzysztof Tuleja z małżonką, burmistrz Niska Mariusz Kowalik, burmistrz Gródka Jagiellońskiego Mykoła Sawka i jego zastępca Jarosław Lutak. Byli też obecni dobrodziej parafii: generał Ludwik Kobierski z małżonką, Mieczysław Grzegocki, prorektor Akademii Medycznej we Lwowie, oraz Jerzy Hawajski – prezes Kredyt Banku (Ukraina) we Lwowie, pani Dorota Prokop z USA z siostrą Grażyną Jaworską, radny Stanisław Szarzyński z Przemyśla. Z Wrocławia i z terenu diecezji legnickiej przybyła liczna grupa dawnych mieszkańców Gródka Jagiellońskiego na czele z Franciszkiem Starakiem. Na uroczystość przyjechali mieszkańcy Lubienia Wielkiego, Komarna, Lwowa i Rudek. Parafie w Lubieniu Wielkim i w Komarnie są również obsługiwane przez ks. dr. Michała Bajcara.

W wygłoszonej homilii ks. Kardynał powiedział m.in.: „Wdzięczni Bogu za dar otwarcia tego kościoła przed 15 laty, starajmy się słuchać Słowa Bożego, aby ono kształtowało całe nasze życie. Trzeba ażebyśmy jako ludzie wierzący trwali na modlitwie. Świątynie, które były zamknięte, pozwolono przed kilkunastu laty przywrócić do Kultu Bożego. Moi drodzy, trzeba nam świątyni, żeby ludzie się modlili i upraszali błogosławieństwo Boże dla całego kraju, poczynając od rządców aż do każdego obywatela. Coraz bardziej władze rozumieją, że Kościół i Cerkiew chcą służyć dobru wspólnemu i że trzeba człowieka wychowywać w wierze i moralności

chrześcijańskiej. Dziękujemy Opatrzności Bożej, że tak pokierowała losami tego kraju, że przyszli nowi ludzie, którzy mówią, że kościoły i cerkwie należy zwrócić ich prawowitym właścicielom. Rzecz raz poświęcona Bogu do Niego należy. Na pytanie: „Po co ludzie wierzą”, należy odpowiedzieć: „Bez Boga ani do proga”.

Kardynał poświęcił tablicę pamiątkową ufundowaną przez parafian w dowód wdzięczności za jubileusz odro-



dzenia kościoła. Na tablicy został umieszczony następujący napis: „*Za pontyfikatu Jana Pawła II i Benedykta XVI w 15. rocznicę odrodzenia parafii rzymskokatolickiej w Gródku Jagiellońskim po latach komunistycznego zniewolenia (1946-1990) w duchu wdzięczności Bogu i ludziom tablicę tę poświęcają duszpasterze i parafianie. 14 VII 1990-2005*”. Warto tu zaznaczyć, że w kościele zachowała się w idealnym stanie tablica z 1902 r., umieszczona z okazji 25-lecia pontyfikatu ówczesnego papieża Leona XIII. Od wspólnoty parafialnej ks. Kardynał otrzymał obraz, przedstawiający kościół w Gródku, namalowany przez miejscowych artystów Romana Opalińskiego i Bogdana Rożaka. Burmistrz Niska Mariusz Kowalik odczytał list gratulacyjny z okazji jubileuszu parafii, a na cześć współpracy rady miejskiej i parafii obu zaprzyjaźnionych miast burmistrz polskiego miasta Niska wręczył ks. Michałowi Bajcarowi ornat koloru czerwonego. Na zakończenie Eucharystii został odśpiewany hymn „Ciebie, Boga, wysławiamy”. Na pamiątkę 15-lecia odrodzenia parafii goście i mieszkańcy Gródka Jagiellońskiego otrzymali obrazki bł. Józefa Bilczewskiego, Arcybiskupa lwowskiego oraz jubileuszowe widokówki kościoła. Po Mszy św. na placu przykościelnym dla wszystkich uczestników uroczystości był przygotowany posiłek.

Warto wspomnieć, że Gródek Jagielloński liczy ponad 18 tys. mieszkańców, a parafia Podwyższenia Krzyża Świętego – blisko 400 osób, tj. około 130 rodzin. Należy zaznaczyć, że parafianie dbają o swój kościół. W ubiegłym roku przez Piotra Sochę z Gródka i Piotra Bałuszcza z Obroszyna został wykończony kamienno-boczny ołtarz Serca Pana Jezusa. Warto tu wspomnieć, że wybuch wojny nie pozwolił Bronisławowi Wiktorowi ze Lwowa, który był projektodawcą, zakończyć budowy tego ołtarza. Wykonawcą zaś był Franciszek Duszeńko, w latach powojennych rektor Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku, który ponadto wraz z Adamem Hauptem jest współautorem pomnika na Westerplatte.

Z ofiar parafian zakupiono figurę św. Stanisława Kostki. Figurą św. Wincentego Pallottiego, z okazji rozpoczęcia pracy w parafii sióstr Pallotynek, Marii i Felicjany, ufundował ks. Jarosław Olszewski, Rektor Seminarium Pallotyńów ze Lwowa-Brzuchowic. Od ubiegłego roku w kościele znajdują się obrazy św. Teresy od Dzieciątka Jezus, św. Andrzeja Boboli, św. Joanny Beretty Molli oraz św. Matki Teresy z Kalkuty. Szczególnie jest tu czczony kult Miłosierdzia Bożego. W bocznej nawie kościoła znajduje się figura i obraz Pana Jezusa Miłosiernego oraz obraz św. Faustyny. W każdy pierwszy czwartek miesiąca jest odprowadzane nabożeństwo do Miłosierdzia Bożego, a wierni mogą uczcić relikwie św. Faustyny przez ucałowanie. Od września dla dzieci z parafii będą prowadzone lekcje języka polskiego. Będzie uczyła Teresa Letniowska z polskiej szkoły w Mościskach. W końcu sierpnia do pracy w parafii przyjadą trzy siostry Pallotynki.

Tradycją już się stało, że obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy, który został poświęcony przez o. Edwarda Ryndaka, redemptorystę ze Skarżyska Kamiennej w 2002 roku, w pierwszą rocznicę misji w Gródku, nawiedza domy wszystkich rodzin w parafii. W przyszłości ksiądz Michał chce wykonać renowację ambony oraz zamówić wykonanie wielkiego obrazu św. Królowej Jadwigi, na pamiątkę Jej pobytu w Gródku. Jak poinformował mnie przy okazji ks. Tadeusz Ślipko, że po lewej stronie na ścianie w prezbiterium przed wojną znajdowały się dwa wielkie malowidła przedstawiające postacie króla Władysława Jagiełły oraz św. Królowej Jadwigi. Ksiądz proboszcz i parafianie starają się o zwrot plebanii. Warto zaznaczyć, że w kościele filialnym w Lubieniu trwa obecnie remont kapitalny wnętrza świątyni.

Z kart historii wiadomo, że Grek należy do najstarszych ośrodków miejskich na Rusi, istniał już w 1213 r.

(a więc ma metrykę wcześniejszą od Lwowa). Parafia łacińska w Gródku powstała w 1372 r. dzięki fundacji księcia Władysława Opolczyka, natomiast kościół został ufundowany przez Władysława Jagiełłę w 1419 r. Król Jagiełło zmarł tu w 1434 r. Po śmierci złożono serce Króla w miejscowym klasztorze Franciszkanów. Do końca XVIII w. przy kościele znajdował się cmentarz. Kościół był rozbudowany na przestrzeni XVII-XVIII wieku, a swój obecny wygląd zawdzięcza pracom prowadzonym w latach 1938-1944 przez ówczesnego proboszcza ks. Pawła Mikulskiego. W wyniku rozbudowy kościół został przedłużony od strony zachodniej, uzyskal nawy boczne, nową zakrystię, fasadę. Wewnątrz kościoła na parapecie chóru muzycznego zachowano już wcześniej tam obecne herby wielu miast Polski, Ukrainy i Litwy. Kościół zamknięty w 1946 r. służył jako magazyn przeznaczony do użytkowania przez różne instytucje. Dzięki staraniom komitetu złożonego z 20 osób pod przewodnictwem Michała Łobodzica 15 V 1990 r. wierni odzyskali klucze do kościoła, duchowym zaś patronem był i czynną posługą kapłańską służył ks. Ludwik Kamieński. 14 VII 1990 r. miało miejsce ponowne poświęcenie kościoła.

Akcje pomocy dla kościoła zainicjowało i prowadziło kilku księży pochodzących z Gródka. Dzięki temu udało się przeprowadzić wiele prac remontowych wspieranych materialnie przez dawniejszych parafian gródeckich zamieszkałych obecnie w Polsce. Dzięki pośrednictwu ks. Tadeusza Ślipki kościół gródecki otrzymał w darze od pani Ruth Jost zamieszkałej w Monachium pięknie grające organy. Kielich i puszkę do sprawowania i przechowywania Eucharystii ofiarowała pani Katarzyna Lis.

Kościół na nowo stał się ośrodkiem duszpasterskim dla miejscowej społeczności polskiej. □

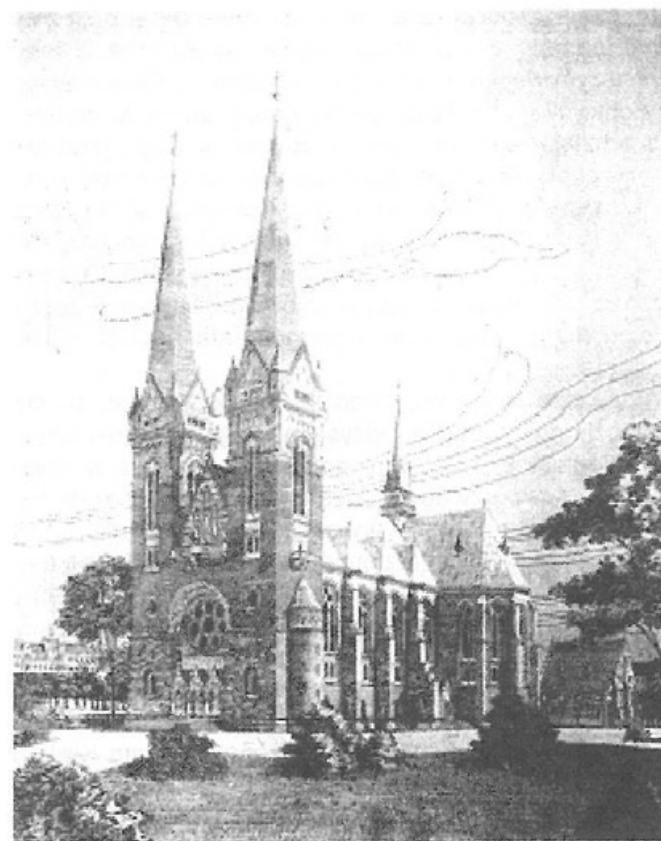
Piotr Marek Stański

Konkurs na kościół św. Elżbiety we Lwowie

Na przełomie XIX i XX wieku Lwów, jako stolica autonomicznej Galicji, przeżywał okres ożywionej koniunktury. W coraz szybszym tempie rozbudowuje się wówczas dzielnica Nowy Świat, utworzona wzdłuż ulicy Leona Sapiehy, pierwotnie tak się właśnie nazywającej i przebiegającej obok nowego gmachu Politechniki, w kierunku dworca. Znajdujący się na jednym z jej końców kościół Marii Magdaleny przestał wystarczać dla zaspokojenia potrzeb okolicznych wiernych. Na porządku dziennym stała więc w 1899 r. kwestia budowy nowej świątyni, której lokalizację przewidziano na przeciwległym krańcu arterii, położonym u jej zbiegu z ulicą Gródecką placu Solarnia. W tym celu rozpisano konkurs na projekt monumentalnego obiektu z cegły lub kamienia, w stylu nawiązującym do romańszczyzny lub gotyku, zdolnego pomieścić 2200 osób. Do udziału w nim zaproszono wyłącznie architektów polskich. Termin nadsyłania prac upływał 1 marca 1903 r. w południe. Do tego czasu zgłoszono 19 prac.

Wyniki ogłoszono 17 marca. Jury, w którym zasiadali m.in. Zygmunt Gorgolewski (dyrektor Szkoły Przemys-

slowej, twórca Teatru Wielkiego), Julian Hochberger (dyrektor budownictwa miejskiego), Józef Pius Dziekoński (współautor warszawskiego kościoła Zbawiciela), przyznało ex aequo dwie pierwsze nagrody wysokości 3500 koron lwowianinowi Teodorowi Talowskiemu oraz krakowianinowi Sławomirowi Odrzywolskiemu, a trzecią (2000 koron) krakowskiemu tandemu: Tadeusz Stryjeński – Franciszek Mączyński. Ponadto zdecydowano się zakupić po 800 koron prace: Wincentego Rawskiego oraz ponownie Teodora Talowskiego, albowiem – jak się okazało po otwarciu kopert – przestał on dwa projekty pod różnymi godłami. Obydwa utrzymane były w stylu neogotyckim i przewidywały dwie lub trzy wieże, nakryte strzelistymi hełmami, oraz trójnawowy podział wnętrza. Sławomir Odrzywolski ze swej strony odwołał się do stylu romańskiego, choć dwie, symetrycznie rozmieszczone wieże, miały być zakończone spiczastymi hełmami, podobnie jak sygnaturka przy zbiegu naw i transeptu. Zakładał też wystawienie z tyłu świątyni neogotyckiego budynku plebanii. O wiele skromniejszą bryłą odznaczał się projekt Stryjeńskiego i Mączyńskiego,



Projekt konkursowy na kościół św. Elżbiety we Lwowie. Nagroda pierwsza ex aequo, arch. S. Odrzywolski w Krakowie.

przy czym wieże miały być różnej wysokości i tylko jedna strzeliście zwieńczona. Podobny charakter posiadało ujęcie, zaproponowane przez Jarosława Mariana Wojciechowskiego z Warszawy, z jedną wieżą umieszczoną obok głównego korpusu, tyle że przeładowane było nadmierną ornamentyką rzeźbiarską. Z kolei wizja architektoniczna Rawskiego reprezentowała styl przejściowy: wieże przywodziły na myśl gotyk płomienisty wileńskiej św. Anny, podczas gdy potężna kopuła nad zbiegiem naw, transeptu i prezbiterium nawiązywała do romańskiej katedry z niemieckiej Wormacji. Wszystkie prace zaprezentowano na wystawie w auli lwowskiej Politechniki.

21 marca komitet budowy postanowił przeprowadzić balotaż w gronie ścisłych laureatów. Ostatecznie stanęli do niego: Teodor Talowski oraz Stryjeński i Mączyński. 21 czerwca rozstrzygnięto, że świątynia powstanie według zmodyfikowanego projektu Talowskiego.

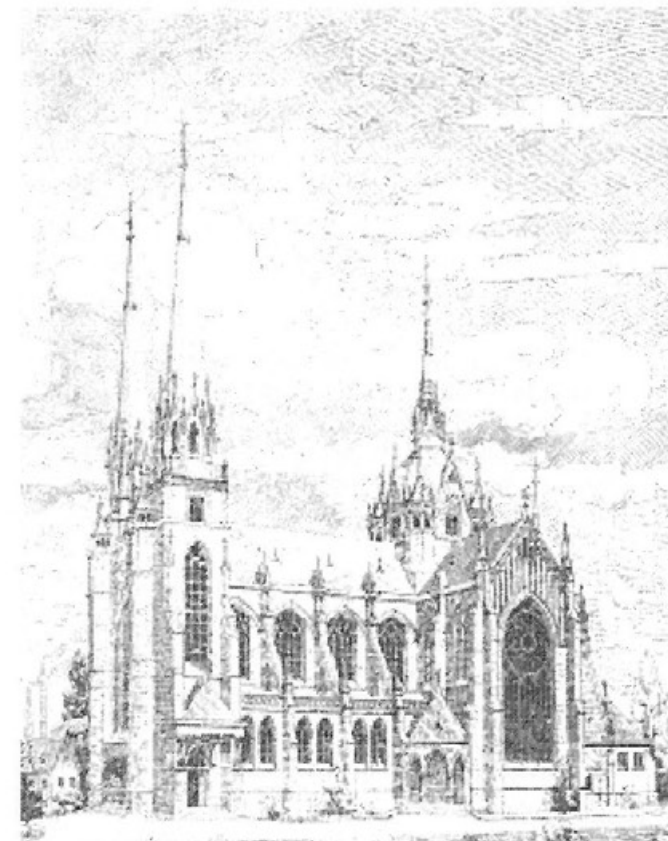
Czesław Bednarski

Moja droga z Zimnej Wody pod Lwowem do dalekiego Gdańska

Druga część wspomnień po pierwszej napisanej w 2001 r. pt. „Zimna Woda – moja Mała Ojczyzna”.

Wstęp

Droga ta, zanim dotarłem do Gdańska nad Bałtykiem, wiodła przez Przemyśl, Kraków, Katowice, Kędzierzyn, Wodzisław Śl., Rybnik, Bytom i Częstochowę.



Projekt konkursowy na kościół św. Elżbiety we Lwowie. Arch. T. Talowski we Lwowie. Projekt zakupiony.

Kościół św. Elżbiety wznoszony był z indywidualnych składek wiernych. Organizowano również na ten cel najrozmaitsze imprezy, jak np. koncert urządzony 10 kwietnia 1906 r., a złożony wyłącznie z utworów Feliksa Nowowiejskiego (polskiego kompozytora z Warmii), który osobiście poprowadził zespoły orkiestry i chóru galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego w swojej II Symfonii h-moll oraz oratorium „Znalezienie krzyża świętego”.

Oddany do użytku w 1912 r. kościół św. Elżbiety stał się charakterystycznym składnikiem lwowskiej panoramy, zwłaszcza dla przyjeżdżających koleją będący wizytówką miasta.

* *Pragnę wyrazić słowa podziękowania pod adresem pani Karoliny Grodzkiej, dyrektor Biblioteki PAU i PAN w Krakowie za życzliwe umożliwienie dokonania reprodukcji prezentowanego w tekście unikalnego materiału ikonograficznego.* □

nie żałuję, gdyż dzięki niej osiągnąłem cele swego życia. Poprzez studia w Katowicach zdobyłem zawód ekonomisty, potem pracę, by wreszcie dotrzeć do Gdańska, gdzie wcześniej zapoznałem kobietę swego życia, z którą po dziś dzień jestem szczęśliwy.

Teraz powracam do punktu wyjścia mojej drogi, czyli do mojej kochanej Małej Ojczyzny – Zimnej Wody, w której przyszedłem na świat i przebywałem ponad 14 lat.

Za moich czasów, jak i o wiele wcześniej, Zimna Woda składała się z dwóch części – starej, gdzie mieszkali przeważnie rolnicy, gdzie stał nasz dom oraz nowej części willowej pod stacją kolejową. W tej części jakby powiedzieli Szczepko i Tońko – mieszkało lepsze państwo, a więc lekarze, adwokaci, urzędnicy pracujący we Lwowie itp.

Nikt nie przypuszczał i nikomu się nie śniło, że w wyniku II wojny światowej będziemy musieli opuścić nasze rodzinne strony, ziemię ojczystą naszych przodków i jechać gdzieś w nieznane na zachód.

Układ Jaltański z lutego 1945 r. podpisany przez J. Stalina i uległych mu naszych zachodnich „sojuszników” (Roosevelta i Churchilla) zrobił z nas Kresowiaków po prostu wygnanców.

W drugiej połowie lipca 1944 r. władze ZSRR powiadomiły nas, iż musimy wyjechać z tych ziem, bo stanowią one część Sowieckiej Ukrainy, a kto nie wyjedzie musi podpisać obywatelstwo Ukrainy.

Pamiętam jakie pogłoski rozpowszechniali lwowscy patrioci, że jeśli wszyscy postanowimy zostać to nic nam nie zrobią i nie wyrzucą nas. Słyszałem również, że przeciw tym, którzy przygotowywali się do wyjazdu układali obraźliwe wiersze i piosenki.

Jednak presja ze strony władz sowieckich w miarę upływu czasu zmagała się coraz bardziej, a na początku 1945 r. podstawiano już pierwsze pociągi towarowe z odkrytymi dachami do wyjazdu na tzw. Ziemię Odzyskaną. Przez całe lato 1945 r. w Zimnej Wodzie słyszał było stukot młotków, były to odgłosy zbijanych skrzyń drewnianych.

Deski najczęściej pochodziły z tzw. zagat zimowych czyli otulin ścian domów mieszkalnych. Zimy wówczas u nas były bardzo srogie, a temperatura dochodziła czasami do minus 30-40 stopni mrozu.

Mój ojciec Michał też przystąpił do zbijania skrzyń, bo szykowaliśmy się na jesienny transport. Nadszedł wreszcie wrześniowy słoneczny poranek. Ojciec wraz ze szwagrem Antonim załadowali nasz dobytek na wynajęty wóz konny i zawieźli wszystko na stację kolejową w Zimnej Wodzie. W godzinach popołudniowych ja z matką Julią żegnaliśmy nasz ukochany dom, by za chwilę znaleźć się na drodze do stacji kolejowej, gdzie czekała na nas reszta rodziny. Pamiętam jak Matka odwracała się spoglądając na nasz dom i kościół św. Katarzyny i ocierając łzy. Na pewno ze smutkiem przeżuwała, że już nigdy nie zobaczy tego widoku – tak się niestety stało.

Teraz opiszę przykry incydent, jaki wydarzył się, gdy siedzieliśmy na skrzyniach w wagonie oczekując odjazdu pociągu. W pewnej chwili córka mojej siostry Pauliny (Jadzia w wieku 5 lat) nagle zaczęła płakać i głośno

krzyczeć. Okazało się, że użądliły ją dwie pszczoły wychodzące z ula, który zabrał mężczyzna jadący w naszym wagonie. Szwagier mój, Antoni, zdenerwowany chwycił ul i wyrzucił go na rampę przed wagonem. Ul odbijając się od kamieni uderzył w nogę jednego z przechodniów. Po chwili na peronie słychać było krzyki i awanturę. Matka moja zaczęła wzdychać do Boga i modlić się, ażeby pociąg jak najszybciej odjechał, aby nie aresztowano zięcia, bo wówczas musielibyśmy odjechać bez niego. Z ulgą wszyscy odetchnęliśmy, gdy wszystko się uspokoiło i po godzinie pociąg ruszył z miejsca.

Jeszcze przed wyjazdem ojciec postanowił, że nie pojedziemy na Ziemię Odzyskaną, lecz na Górny Śląsk do Wodzisławia Śl., tam gdzie pojechał już w maju 1945 r. nasz szwagier Józef Horoszczak z rodziną. Szwagier Józef przed wyjazdem tłumaczył nam, że trzeba jechać bliżej na ziemię rdzennie polskie, bo niedługo może wybuchnąć III wojna światowa i będziemy wracać na swoje ziemie.

Jadąc towarowym pociągiem, na szczęście w krytym wagonie, spaliśmy na pakach przykrywając się kocami. Po trzech dniach mijaliśmy Kraków spoglądając przez małe okienko wagonu na zabytki miasta Kraka i Wisłę. Gdy dojechalismy do Katowic, to ujrzeliśmy straszny obraz. Ludzie, bydło i dobytek pomiędzy torami – komuś urwało nogę. Obok stały skrzynie z amunicją, których pilnowali rusczy żołdacy i tylko patrzyli, aby komuś coś ukrąść. Ojcu mojemu, jak i szwagrowi Antoniemu, mimo iż obaj byli kolejarzami, nie udało się załatwić, aby wagon nasz odczepiono i skierowano na Rybnik i Wodzisław Śl. A więc pojechalismy dalej na zachód w kierunku Opola i Wrocławia. Gdy dotarłismy do Kędzierzyna wreszcie udało nam się uzyskać zgodę na odczepienie wagonu, w którym już byliśmy sami – współpasażerowie wyładowali się wcześniej. Po kilku godzinach podczepiono nasz wagon do pociągu osobowego, aby w końcu jechać w kierunku Wodzisławia Śl. Jednak jak się okazało nie było to takie proste – wagon nasz odczepiono na węźle kolejowym w mieście Nędza. Tam staliśmy kilkanaście godzin – szwagier nadał telegram do naszej rodziny mieszkającej w Wilchwach koło Wodzisławia o treści: „Stoimy w Nędzy – czekajcie na nas na stacji”. Dopiero później zorientowaliśmy się, że treść tego telegramu może być źle zrozumiana. Po wyładowaniu się na stacji w Wodzisławiu dotarłismy w końcu do Wilchwu, gdzie jako „repatrianci” otrzymaliśmy dwa domy – tzn. jeden my, a drugi mój szwagier z rodziną.

Na Śląsku przyjęto nas bardzo nieprzychylnie – mówiono na nas „Gorole” – pytano po co do nich przyjechalismy i zajmujemy ich domy i posiadłości – nie docierało do nich to, że z Kresów Wschodnich zostaliśmy wypędzeni. Pamiętam, że przy domu, który otrzymaliśmy, była mała obora i kawałek ziemi z ogrodem. Mieliśmy kozę, kury i króliki. Inwentarzem tym zajmowała się matka, bo ojciec jako kolejarz pracował jeszcze przed emeryturą na stacji w Wodzisławiu. Ja natomiast od 1946 r. uczęszczałem do Gimnazjum Handlowego, a potem do Liceum Administracyjnego w Rybniku. Droga do szkoły była utrudniona, bo z Wilchwu do Wodzisławia (ok. 3 km) musiałem iść pieszo, by później jechać pociągiem do Rybnika (ok. 12 km). Mieszkając

na Śląsku nie miałem roweru (były wówczas drogie) i zazdrościłem Ślązakom, że oni jeżdżą na rowerach, a ja muszę chodzić pieszo.

W czasie wakacji w 1948 r. postanowiłem pojechać do mojej siostry Marii Baranowskiej, która osiedliła się z rodziną na Dolnym Śląsku, we wsi Łazany koło Żarowa. Byłem synem kolejarza, więc miałem 80% zniżki oraz kilka darmowych biletów rocznie.

Niesamowite wrażenie odniosłem dojeżdżając pociągiem do Wrocławia. Po jednej i po drugiej stronie trasy pociągu rozlegały się strasznie wyglądające rumowiska domów, gruzy zalegały ulice prawie we wszystkich dzielnicach miasta. Sytuacja zrujnowanego Wrocławia i zaledwie początek odbudowy nie przeszkadzały władzom PRL w zorganizowaniu Wystawy Ziem Odzyskanych, którą miałem okazję zwiedzić jadąc do siostry.

U siostry w Łazanach pomagałem szwagrowi przy pracach polnych – były żniwa – relaksując się od ciągłej nauki.

Teraz kilka słów o incydencie jaki wydarzył mi się, gdy byłem właśnie u siostry w tych Łazanach. Na strychu domu siostry i pustym sąsiednim spotkałem pełno części rowerowych, postanowiłem za zgodą szwagra zebrać je, celem skompletowania pojazdu. Zebrałem więc komplet tych części, zapakowałem w stary koc i postanowiłem wysłać to jako bagaż koleją do Wodzisławia. Gdy wiozłem to na dwukółowym wózku w kierunku stacji w Żarowie, podszedł do mnie milicjant i zaczął wypytywać – co ja wiozę, gdzie i po co. Po chwili powiedział, że muszę z tym jechać na komisariat. Szybko domyśliłem się, że zostałem uznany za szabrownika. Po spisaniu protokołu milicjant powiedział mi, że bagaż ulega likwidacji, a odzyskać go będę mógł dopiero po dokonaniu odpowiedniej opłaty w urzędzie miejskim. Byłem wczas wściekły i chciało mi się płakać. Wszystko jednak szczęśliwie zakończyło się dla mnie, bo szwagier zlitował się nade mną i wykupił zarekwirowany bagaż. I w ten oto sposób, dzięki wyjazdowi do siostry, złożyłem sobie rower i przestałem zazdrościć Ślązakom.

Na początku lat pięćdziesiątych zacząłem myśleć o maturze i oczywiście o balu maturalnym, który wówczas nazywano komerssem. Martwiłem się nie tylko maturą, ale też tym, że jeszcze nie umiem tańczyć i jak dam sobie radę na tym komersie. Pomógł mi w tym kolega, nasz sąsiad, nazywał się Alfons Piechaczek, był również moim kolegą szkolnym. Pamiętam, że chodziłem do niego do stodoły i tam na klepsku uczył mnie tańczyć. Magnetofonu nie mieliśmy, więc Alfons nucił jakąś piosenkę np. w takt walca i kierował moimi nogami trzymając mnie jak partnerkę. W liceum administracyjnym lubiłem lekcje geografii i księgowości, z tych przedmiotów miałem zawsze same piątki. Czasami bywało tak na lekcji księgowości, że kilku kolegów po kolei otrzymało ocenę niedostateczną. Wówczas pani nauczycielka – byłem jej ulubionym uczniem – powiedziała: – a teraz niech kolega Bednarski podejdzie do tablicy i wyjaśni to zagadnienie. Uczęszczając do szkoły na Śląsku i mając za kolegów tylko Ślązaków stopniowo zanikał mój akcent kresowy i lwowski.

Nasza klasa licealna w całości bez wyjątku należała do ponadstuosobowego chóru szkolnego, więc i ja się w nim znalazłem, ale nie mając w tym kierunku zdolno-

ści, śpiewałem cicho, aby dyrygent nie usłyszał mego głosu, bo by mnie wyrzucił za fałszowanie melodii.

Po zaliczeniu matury w Rybniku postanowiłem uczyć się dalej. Pojechałem do Katowic, gdzie udało mi się załapać do Wyższej Szkoły Ekonomicznej. Problem jednak tkwił w tym, że nie mogłem zdobyć miejsca w akademiku. Z opresji tej wybawiła mnie moja kochana siostra św. pamięci Honorata. Po opuszczeniu Wilchwu koło Wodzisławia zamieszkała wraz z rodziną w Bytomiu, szwagier (jej mąż) otrzymał pracę w Katowicach. Do tej pory nie mogę nadziwić się, że siostra przyjęła mnie do mieszkania w Bytomiu mając jeden pokój i kuchnię, nie było łazienki, a ubikacja była wspólna na klatce schodowej. Było ich wówczas sześcioro, a ja byłem siódmym i spałem z siostrzeńcem na jednym łóżku tłocząc się w ciasnym mieszkaniu. Całe szczęście, że w połowie 1952 roku szwagier Józef otrzymał służbowe mieszkanie na nowym osiedlu Koszutce w Katowicach. Trudno mi opisać tę radość, gdy przeprowadziliśmy się do nowego mieszkania, w którym były dwa pokoje, kuchnia i łazienka z ubikacją. Cieszyliśmy się niesamowicie tymi wygodami, łazienka była z prysznicem, był duży przedpokój, a ponadto mieliśmy z siostrzeńcem bliżej do uczelni. Siostrzeńiec Wojtek – byłem jego wujkiem będąc od niego młodszy o rok – właśnie ukończył pierwszy rok nauki w WSE w Katowicach. Ja, aby mi było łatwiej, poszedłem w jego ślady, wybrałem też wydział ekonomiki ze specjalnością hutnictwa.

Studiując na uczelni szło mi dobrze, za wyjątkiem jednej wpadki jaką miałem zaliczając pierwszy rok studiów. Zdając egzamin z ekonomii politycznej u niezbyt miłej i nie lubianej asystentki profesora nie potrafiłem prawidłowo określić prawa wartości. Oblany egzamin zaliczyłem w sesji poprawkowej we wrześniu 1952 roku. Do nie lubianych – nie tylko przeze mnie – przedmiotów, o ścisłym zabarwieniu politycznym był marksizm-leninizm oraz historia Komunistycznej Partii Bolszewików. Ponadto uczono nas ekonomii socjalizmu, na którym to przedmiocie wmawiano nam, że gospodarką socjalistyczną rządzi prawa ekonomii socjalistycznej, a nie kapitalistycznej – czyli z tego wynikało, że istnieją w świecie dwie odrębne ekonomie.

Opiekunem naszej grupy studenckiej był wówczas asystent profesora Zbigniew Messner – późniejszy premier PRL-u. Pochodził ze Stryja, czyli z Kresów Południowych II Rzeczypospolitej, i nie ukrywał tego faktu, że zalicza się do grona wygnanców z tych stron.

Z naszym opiekunem uczestniczyliśmy w kilku pracach społecznych podejmowanych przez uczelnię z inicjatywy ZMP. Nie zapomnę nigdy jak podjęto czyn pracowania przez studentów naszej grupy jednej dniówki w Kopalni Katowice – oczywiście pod ziemią, przy wydobywaniu węgla. Było to wówczas niesamowite przeżycie – węgiel rozsadzano za pomocą materiału wybuchowego. Cofaliśmy się wówczas za boczna ścianę, a z chwilą wybuchu gasły górnikom wszystkie latarki karbitowe. Po wybuchu i zapaleniu latarek wracaliśmy na dawne miejsce, by szuflami rzucać węgiel na taśmociąg. Podczas tych prac ze stropu oderwała się bryła węgla i uderzyła w ramię jednego z kolegów – na szczęście nic poważnego się nie stało. Do bardziej przyjemnych chwil spędzanych na uczelni należy zaliczyć za-

bawy akademickie. Na tych balach śpiewała z zespołem „Wagabunda” młoda wówczas Maria Koterbska – oczarowała nas swym przebojem „Brzydula i Rudzielec”. Często też występował solista Janusz Gniatkowski śpiewając modną wówczas „Cichą Wodę”. Na zabawy akademickie chętnie chodziłem, bo miałem wspaniałą partnerkę do tańca, na imię miała Janeczka, świetnie mi się z nią tańczyło. Jednak poza przyjaźnią i tańcami nic więcej nas nie łączyło, a po studiach utraciłem z nią kontakt.

Zajęcia, które podobały mi się na uczelni, to było tzw. Studium Wojskowe, które odbywało się często w terenie poza uczelnią. Władze ówczesnego PRL wyszły z założenia, że student po ukończeniu uczelni i odbyciu ćwiczeń wojskowych musi uzyskać stopień oficerski – co najmniej podporucznika. Do rewelacyjnych wydarzeń podczas moich studiów należała zmiana nazwy Katowic na Stalinogród – miało to miejsce w marcu 1953 r., po śmierci Stalina. Wówczas to PZPR zmusiła pisarza śląskiego Gustawa Morcinka, aby niby to z własnej inicjatywy wystąpił z wnioskiem w Sejmie o zmianę tej nazwy. Ludzie wysiadający z pociągu na stacji Katowice zmienionej na Stalinogród byli zaszokowani i nie mogli zrozumieć co się stało. Na pamiątkę tej zmiany pozostał mi dyplom z napisem (cytuję): „Czesław Bednarski otrzymał w dniu 28.01.1955 roku dyplom ukończenia studiów wyższych stopnia pierwszego na Wydziale Ekonomiki WSE w Stalinogrodzie”. Swoją nazwę Katowice odzyskały po dojściu do władzy W. Gomułki w 1956 roku. Po ukończeniu studiów na WSE otrzymałem trzyletni nakaz pracy do Huty im. Bolesława Bieruta w Częstochowie na stanowisko planisty.

A więc odbyłem następny etap swej życiowej drogi z Katowic do Częstochowy. Pracując w hucie otrzymałem pokój w hotelu robotniczym, gdzie mieszkałem z kolegą Włodkiem. Kolegę Włodka polubiłem i zaprzyjaźniłem się z nim do tego stopnia, że gdy później urodził mi się syn przekonałem żonę, by mu dać na imię Włodzimierz.

Latem 1955 roku zostałem powołany na trzymiesięczne ćwiczenia wojskowe do Śremu pod Poznaniem. W mojej kompanii zaprzyjaźniłem się z dziennikarzem po studiach Witoldem Duńskim, bratem złotej medalistki olimpijskiej w skoku w dal – Duńskiej-Krzesińskiej. Z Witoldem po południu, gdy był wolny czas po ćwiczeniach na poligonie, przesakawaliśmy przez płot koszar i szliśmy nad staw niedaleko koszar, aby popływać sobie.

W czasie mojej pracy w Hucie B. Bieruta wciągnięto mnie do pisania artykułów do gazety zakładowej, która nosiła tytuł „O Stal i Socjalizm”. Przed pierwszym maja w 1955 roku na pierwszej stronie tej gazety umieszczono mój artykuł zatytułowany następująco: „Setkami ton ponadplanowej produkcji załoga wita święto klasy robotniczej”.

Wracając jeszcze do czasów studenckich, to w sierpniu 1954 roku postanowiłem pojechać do Gdańska, aby wreszcie po raz pierwszy zobaczyć morze. W Gdańsku zatrzymałem się u mojej kuzynki, gdzie spotkałem kuzyna z Wałbrzycha, który wybierał się na wczasy do Jastarni. Kuzyn zaproponował mi, abym udał się razem z nim statkiem do tejże Jastarni, gdzie mnie biednemu studentowi zafunduje kilkudniowy pobyt. Propozycja ta bardzo mi się podobała, była dla mnie wielką

atrakcją i z radością postanowiłem z niej skorzystać. Na drugi dzień w słoneczne sierpniowe przedpołudnie płynęliśmy obaj statkiem białej floty „Barbara” do Jastarni. Kuzyn miał z sobą aparat fotograficzny, więc zaczęliśmy robić sobie zdjęcia z widokiem na uroczyste falujące morze. Widząc spacerujące po pokładzie młode ładne dziewczyny, powiedziałem do kuzyna – słuchaj może takie dwie cizie zaprosimy do wspólnego zdjęcia. Kuzyn zgodził się, a zaczepione przeze mnie dziewczyny podchwyciły moją propozycję i w ten sposób zrobiliśmy razem kilka zdjęć. Po chwili podszedłem do jednej z tych dziewcząt, tej która mi się bardziej spodobała i poprosiłem ją o adres celem przysłania im odbitek. Jak się później okazało obie dziewczyny były gdańszczankami, uczestniczkami wycieczki do Jastarni. I w ten oto sposób – było to na pewno moim przeznaczeniem – zapoznałem miłą i ładną dziewczynę, która po trzech latach znajomości (raczej korespondencyjnej) została moją żoną. Latem 1956 r. dowiedziałem się z listu Zosi – takie imię nosiła moja wybranka – że w lipcu pojedzie na wczasy do Karpacza, nie podała mi jednak w jakim ośrodku wczasowym będzie przebywać. Chcąc się tam spotkać z Zosią natychmiast poszedłem do Rady Zakładowej w hucie i załatwiłem sobie wczasy w Karpaczu, mniej więcej w tym samym terminie.

Po dotarciu do Karpacza, przez trzy dni szukałem mojej gdańszczanki po całym uzdrowisku, zanim ją znalazłem. Od tej pory z Karpacza Górnego do Dolnego biegałem codziennie uczestnicząc z Zosią w wycieczkach lub w wieczorkach tanecznych. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy siedzieliśmy oboje nad szumiącym potokiem i całowaliśmy się, pomyślałem, że wreszcie nadszedł czas moich oświadczeń. Ku mojej wielkiej radości oświadczyły moje zostały przez Zosię przyjęte pozytywnie.

Mając zamiar ożenić się z Zosią i zamieszkać w Gdańsku wystąpiłem z wnioskiem do Kadr w Hucie Bieruta o skrócenie okresu nakazu pracy. Z dniem 31.07.1957 r. uzyskałem zwolnienie z pracy i udałem się do Grodu Neptuna, a więc musiałem odbyć ostatni etap mojej długiej drogi.

W Gdańsku napotkałem kolejne przeszkody, okazało się, że miasto to nie meldowało już nowych mieszkańców, a tym samym nie mogłem dostać pracy. W tej sytuacji sprawę załatwiać trzeba było z drugiej strony, od końca.

A więc 3 sierpnia 1957 roku wzięliśmy z Zosią ślub cywilny i wówczas jako małżonek zostałem zameldowany w Gdańsku. Pomimo ślubu cywilnego na tzw. „kocią łapę” nie żyliśmy ze sobą, mieszkaliśmy osobno w wynajętym mieszkaniu na tej samej ulicy.

Następny etap to poszukiwanie pracy w Gdańsku. Wydawało mi się, że zgodnie z moim wykształceniem – ekonomika przemysłu – dobrym zakładem byłaby Stocznia Gdańska. Niestety odszedłem z kwitkiem – stocznia nie potrzebowała ekonomistów, więc nadal przez dwa miesiące poszukiwałem pracy. Wreszcie w końcu znalazłem ją w Zakładach Mięsnych w Gdańsku. Wyszedłem z założenia, że ekonomista może pracować w każdym resorcie. W Zakładach Mięsnych pracując na różnych stanowiskach czułem się dobrze, szczególnie gdy mięso i wyroby wędliniarskie były na kartki, a my mieliśmy dość duży deputat i tzw. śniadaniówkę. Pamiętam jak jeden z naszych dyrektorów robił

zaocznie magistra – kiedy jechał na kolejny egzamin zawsze brał ze sobą dwie torby wypełnione naszymi najlepszymi wyrobami eksportowymi.

Wracając do mojego małżeństwa, to ślub kościelny odbył się w Pogódkach, a wesele w Głodowie, rodzinnej wsi panny młodej, 5 stycznia 1958 roku. Głodowo to wieś znajdująca się na pograniczu Kaszub i Kociewia w powiecie kościerskim. Moi rodzice i rodzinka z całej Polski przyjechali na nasze wesele. Pamiętam jednak jak na długo przed naszym ślubem rodzice robili mi wymówki – gdzie ty na drugim końcu Polski szukasz narzeczonej, przecież masz dziewczyny o wiele bliżej. A jednak na falach Zatoki Gdańskiej na statku „Barbara” znalazłem przez pomyślny los lub Opatrzność Boską kobietę swego życia.

Epilog

W małżeństwie jestem szczęśliwy, przeżyliśmy z sobą już 47 lat, może Bóg da zdrowia i niedługo doczekamy złotych godów. Mamy dwoje dzieci, córkę Joannę i syna Włodzimierza oraz dwie wspaniałe wnuczki – Olę i Martę, którymi się często szczycimy.

Eugeniusz Dmytrów

Ocalić od zapomnienia.

Kosaczów – dzielnica Kołomyi (I)

Wprowadzenie

Ludzie z Kresów są na ogół porażeni chorobą. Chorują właśnie na Kresy. Jest to choroba nieuleczalna, a jej natężenie nie zmniejsza się z upływem lat. Co więcej, często jest to choroba dziedziczna. Jednym z objawów choroby jest utrata prawidłowej oceny ówczesnych realiów, wszystko we wspomnieniach jest piękne, sympatyczne i mile. I nie sposób rozstrzygnąć, czy tak działa urok Kresów Wschodnich, czy przyzmat dzieciństwa i młodości, czy też oba czynniki wspólnie. Dążenie do ocalenia tego, co pozostało w ludzkiej, z natury raczej zawodnej, pamięci i szczątkowych dokumentach, związanych z rodzinnym miastem, znalazło swój wyraz w niniejszej publikacji. Intencją było przywołanie tamtego klimatu, zapachów, barw i dźwięków. Wspomnienie, aczkolwiek mocno niepełne, tamtych ludzi, mieszkańców Kosaczowa. Ludzi osiadłych od wielu pokoleń, wrosłych w miasto, które każdy uważał za swoje. A jednocześnie jest to odpowiedź na totalne łgarstwo publicystów sowieckich i – niestety – współczesnych ukraińskich. Według nich na Kresach właściwie nie było Polaków (ani Żydów), a dorobek kulturalny i cywilizacyjny był zasługą wyłącznie Ukraińców. Weźmy pierwszy z brzegu przykład. W broszurce „Kołomyja” – wydawnictwa Karpaty, Użgorod 1991, wydanej na okoliczność 750-lecia powstania miasta, niejaki Stepan Andryjiszyn pisze o okresie międzywojennym, cyt.: „Nad Galicją znów na 20 lat nastał ciężar okupacji. Kołomyję zapełnili cudzoziemcy (w domyśle Polacy). Do nich należał potencjał ekonomiczny, cała administracyjna i sądowa władza, a także większość budownictwa w centrum

Na zakończenie moich wspomnień z życia na drodze z Zimnej Wody pod Lwowem do Gdańska, wspomnę jeszcze o moich korzeniach.

Tu zacytuję słowa piosenki o Lwowie:

*„Gdy ktoś się urodził we Lwowie
Nie bajtłuj co chcesz to mów.
Ten serce ma tylko w połowie
Bo drugą połówkę wziął Lwów”.*

Pomimo, że nie urodziłem się we Lwowie, tylko pod Lwowem, to jednak teraz w podeszłym wieku odczuwam brak części mego serca. Przekonałem się o tym lecząc się na dolegliwości sercowe u kardiologa.

Moją kochaną Zimną Wodę odwiedzałem po roku 1945 trzykrotnie. Najbardziej przeżywałem ten pierwszy raz w 1966 roku, w pierwszych chwilach mej wędrówki po wiosce nie mogłem sobie uświadomić, że jestem tu na tej ziemi, o której tyle myślałem i która przewijała mi się we snach. Marzy mi się – póki nogi jeszcze noszą – pojechać jeszcze raz w te strony z moim bratankiem, który miał pięć lat, gdy ostatnio widział Zimną Wodę i Lwów. □

miasta. Ludność ukraińska została zmuszona do zamieszkania w okolicach.” – koniec cytatu. Absurd goni absurd, łgarstwo – łgarstwo. Niech więc ta publikacja przypomni, że na Kresach żyli jednak Polacy, Kołomyja od połowy XIV w. wchodziła w skład I Rzeczypospolitej, a mieszkańcy Kosaczowa to realni ludzie w realnym, ówczesnym polskim mieście Kołomyi.

Niech mi będzie wolno w tym miejscu podziękować trzem Kołomyjankom, od których udało się uzyskać sporo informacji o Kosaczowie. A mianowicie p. Józefie Bilińskiej z Kołomyi, p. Marii Kisielewskiej z Koszalina i p. Helenie Szypułowej z Wałcza.

Topografia

Kosaczów to dzielnica, a jak kto chce – to przedmieście Kołomyi, położone na północnym wschodzie miasta. Na planie miasta, wydanym przez austriackiego zaborcę pod koniec XIX w., przedmieście nosi nazwę KOZACZÓW.

Zewnętrzne granice Kosaczowa są łatwe do określenia, bowiem pokrywają się z granicami miasta. Te zaś biegną zgodnie z nurtem rzeki Kosaczówki, od mostu kolejowego na kierunku Stanisławów, do mostu kolejowego na kierunku Horodenka. Ta granica jest widoczna na planie miasta, pieczołowicie odtworzonym przez Bożenę Krupską w 1996 r. we Wrocławiu. Ten plan będzie nam towarzyszył w tekście pod nazwą plan 96. Trudności, a właściwie wątpliwości, występują przy próbie ustalenia granicy pomiędzy Kosaczowem, a resztą miasta. Ulica Jagiellońska kończyła się na przejeździe kolejowym, wówczas nazywanym rampą. Od rampy aż

do drewnianego mostu na Kosaczówce prowadziła ulica Kosaczowska. Teoretycznie można by więc uznać, że obszar między liniami kolejowymi do Stanisławowa i Horodenki a Kosaczówką był właśnie Kosaczowem. Ale to za daleko idące uproszczenie. Przynajmniej w odniesieniu do ówczesnych pojęć. Nikt nie nazywał terenu dalszego odcinka ul. Zygmuntowskiej Kosaczowem. Spore osiedle pomiędzy ulicami Podtorową, Wspólną i Magazynową nazywano Kanadą. Były to domy pobudowane przed I wojną, należące do pracowników rafinerii. Być może, iż obiegowa nazwa osiedla łączy się z dobrobytem właścicieli, bowiem przemysł naftowy należał zawsze do rentownych i bogatych przedsięwzięć. Małą grupkę domów przy krótkiej ul. św. Teodora nazywano Syberią bądź Abissynią. Tak więc rozróżniano wówczas mieszkańców Kosaczowa, Kanady lub Syberii. Jednoznaczne rozstrzygnięcie tych pojęć nie jest po latach chyba sprawą pierwszej wagi.

Kosaczów leży na terenie płaskim. Dopiero 100-200 m przed Kosaczówką teren opada łagodnie w kierunku rzeki i w nielicznych miejscach, tuż przy rzece, załamuje się w niewielkie, strome urwiska. Kosaczów jest najwyższą położoną dzielnicą Kołomyi. Przy średniej wysokości Śródmieścia 293 m nad poziomem morza, Kosaczów leży na poziomie 300 m n.p.m. Z wielu punktów Kosaczowa był dobry widok na góry za Prutem, w tym górę Oskresiniecką. Czasami, przy dobrych warunkach atmosferycznych, np. po deszczu, góra Oskresiniecka wydawała się leżeć bardzo blisko, można było rozróżnić pojedyncze drzewa. Później to złudzenie zniknęło. Choć gleby na Kosaczowie nie różniły się zasadniczo od takowych w innych dzielnicach miasta, były jednak nieco żyzniejsze. Pewien wpływ na to miała większa odległość od doliny Prutu. Kosaczów charakteryzował się brakiem naturalnego zadrzewienia. Pewnym wyjątkiem był niewielki kompleks łągów, łąziny, nazywany laskiem. Znajdował się on nad prawym brzegiem Kosaczówki, na prawo od ul. Magazynowej (plan 96). Lasek zajmował obszar około 1 ha i był znakomitym miejscem dla zabaw w Indian, podchodów, chowaniek itp. dla dzieciarni, głównie chłopców. Był także miejscem, gdzie organizowano ogniska, na których pieczono raki złowione w przyległej rzece. W połowie lat trzydziestych lasek zlikwidowano.

Brak zadrzewienia i płaski teren sprawiał, że w wielu punktach wzrok ogarniał większe przestrzenie, perspektywa widzenia była szeroka, ograniczona tylko odległymi domostwami, lub wręcz sięgająca poza granice miasta.

Wspominając dawny Kosaczów nie można pominąć jego granicznej rzeki – Kosaczówki. Na planie 96 rzeka nosi dwie nazwy. Najpierw jest to Kosaczówka, a w dolnym biegu Kołomyjski Potok. Zaś lewe dopływy według planu 96 – to Wołczkówka i Dobrowódka. Zapewne są to nazwy wzięte z jakiejś przedwojennej mapy, ale wówczas wg obiegowych nazw Kosaczówką nazywano rzekę aż do ujścia do Prutu, zaś lewe dopływy to Rudka i Prysiczówka. Gdyby ktoś powiedział o miejscu, gdzie Kołomyjski Potok wpada do Prutu, żaden mieszkaniec miasta nie wiedziałby, o które miejsce chodzi. Kosaczówka, właściwie mała rzeczka, miała swoisty urok. Na górnym odcinku, przed mostem kolejowym i stanisławowskim, biegła leniwym nurtem, często pełnym zakoli. Teren tu miejscami grząski, bagien-

ny, pokryty turzycą lub innymi bagiennymi trawami. Od wspomnianego mostu rzeka przybierała charakter nizinny. Lewy dopływ był płaski, prawy źródnicowany, często wysoki, a miejscami urwisty. Nurt był trojakiemu rodzaju. Większą część stanowiły spokojne plosa, szerokości 3-4 m i długości kilkadziesiąt metrów, gdzie woda wydawała się stojąca. Te plosa były łączone bystrzynami, gdzie woda toczyła się wartko po oślizgłych kamieniach – otoczekach, wydając charakterystyczny dźwięk, jakby miniaturowych dzwoneczków. Była to muzyka zupełnie inna niż przysłowiowy szum Prutu. Na tych bystrzynach – szypotach woda była płytka i stąpając po większych kamieniach można było przekroczyć rzeczkę suchą nogą. Trzecią formą były jamy. Pomiedzy obu mostami kolejowymi tych jam było kilka. W tych miejscach rzeka przybierała formę okrągłych oczek – stawów o średnicy kilkunastu metrów. Najślawniejsza z jam, u wylotu ul. Wołoskiej, nosiła nazwę „Piskozubka”. A najślawniejsza dlatego, że była kąpieliskiem kosaczewskiej dzieciarni obojga płci, często też odwiedzany przez dorosłych. Aby uzyskać pożądaną głębokość wody, umożliwiającą pływanie i nurkowanie, na początku każdego sezonu młodzież męska budowała tamę spiętrającą. Do budowy tamy używano naturalnego budulca, rzecznych kamieni, drewnianych kółków i łożyny, uszczelnianych tasiemą. Czasami w ciągu lata trzeba było tamę remontować. Innym miejscem kąpielowym była okolica mostu drogowego. Tam były spore plosa, jednak głębokość nie dochodziła 1 m. Tym niemniej, szczególnie w upalne niedziele, to miejsce było gromadnie odwiedzane przez dorosłych i dzieci. Decydowała chyba łatwość dojścia do kąpieliska wygodną ulicą. Brzegi Kosaczówki do „Piskozubki” były pozbawione zadrzewienia. Dalej jednak rosło sporo olch i topoli. Zadrzewienie brzegów kończyło się na horodeńskim moście kolejowym. Dalej brzegi były gołe. Ciemne dno plos i kamieniste dno jam i bystrzyn sprawiało wrażenie nieprzejrzystości wody, bo w istocie woda w Kosaczówce była bardzo czysta. Rzeka miała swój zapach – aromat. Trudno przesądzić, czy był to zapach dennej mikroflory, czy zapach brzegowej roślinności. Można powiedzieć, że był to zapach świeżości, odczuwalny także wyraźnie po wyjściu z kąpeli. Inny zapach wydawały całe polacie kwiatów, które upodobały sobie teren przybrzeżny pomiędzy mostem stanisławowskim a ul. Nowowiejską. W czerwcu te tereny przybierały fioletową barwę od kwiatów osadzonych na wysokich mięsistych łodygach. Te kwiaty nosiły wówczas nazwę „Kawa”. A przecież była to odmiana dziko rosnącego lubinu. Nieco dalej w dół rzeki pojawiały się splachetki innych kwiatów. Na równie wysokich łodygach rosły spore wiechy kwiatów sokich, ale cienkich łodygach rosły spore wiechy kwiatów o wydłużonych płatkach ostrego, czerwonego, wręcz ognistego koloru. I też te kwiaty nosiły nazwę „ogień”.

Oba dopływy (lewe) Kosaczówki różniły się wyglądem dość znacznie. Rudka była właściwie rowem możliwym do przeskoczenia przez dorosłego człowieka. W Rudce w ogóle nie było ryb. Znacznie większa Drysiczkówka (Dobrowódka) swym nurtem i rodzajem brzegów nie różniła się od opisanej już Kosaczówki. Kosaczówka i w mniejszym stopniu Drysiczkówka były rzekami często odwiedzanymi przez wędkarzy. Współcześnie miłośnikom wędkarstwa może się wydać, że w tym miejscu można było złowić więcej ryb. W rzeczywistości było inaczej. W tym miejscu żyło 11 gatunków ryb. Co dziw-

niejsze, tylko cztery z nich można było spotkać również w Prucie. Wymieńmy te gatunki od najmniejszych uzupełniając miejscowe nazwy biologicznymi:

maryśnica – ?	koubel – kielb
śliz – śliz	szwajka – ukleja
karaś – karaś	plotka – płoć, plotka
karp – sazen, karp dziki	lin – lin
klin – kleń	szczupak – szczupak
mniuch – miętuch	

Większość gatunków jest powszechnie znana, ale niektórym warto poświęcić kilka słów komentarza. I tak maryśnica to mała rybka, długości 3-5 cm, bardzo kształtna, o pięknym oliwkowo-srebrnym ubarwieniu. Z kolei śliz miał kształt okrągłego ołówka. Ta rybka lubiła przebywać pod kamieniami-otoczekami na bystrzynach. Przy bardzo ostrożnym uniesieniu kamienia i sporej zręczności można było rybkę schwytać w dłonie. Po chwilowym nacieszeniu się jej widokiem i zrozumiałej dumie, że udało się schwytać taki okaz – rybkę wypuszczano. Jej uśmiercenie uważano by za barbarzyństwo. Mniuch (miętus) był bardzo pożądaną rybą łowną. Większe okazy osiągały długość kilkudziesięciu cm i wagę ponad 1 kg. Te drapieżniki, żerujące ciemną nocą, były pozbawione łuski i dlatego nie były spożywane przez Żydów. Inaczej mówiąc były trefne. Miały smaczne, białe, chociaż nieco chude mięso pozbawione zupełnie ości. Oprócz ryb w rzece były całe kolonie raków. Chłopcy łowili je bądź rękami, bądź na przynętę z żabich udek. Oszczędzając wrażliwość Czytelnika pominię opis pozyskiwania udek. Rzeczna faunę uzupełniały żaby i szczury wodne.

I na koniec jeszcze jedna informacja, może nie tyle o rzece, lecz o okolicy. W pobliżu rzeki, blisko mostu drogowego, znajdowało się źródło. Było ono ujęte w kamienne obmurowanie i miało znakomitą wodę spływającą strumieniami do Kosaczówki. Woda ponoć miała właściwości lecznicze, ale strome zejście z ulicy do źródła stanowiło istotną przeszkodę dla użycia źródłanej wody dla innych niż pitne potrzeb. To tyle informacji o tym, czym natura obdarzyła Kosaczów. A co było wynikiem działalności rąk ludzkich?

Rzeczywisty układ ulic na Kosaczowie jest z grubsza zgodny z planem 96. Na planie brak jest tylko jednej ulicy (nazwa?), odchodzącej od ul. Zygmuntowskiej jeszcze przed terenem cegielni. Główna ulica – Kosaczowska – była według ówczesnych standardów drogą bitą. Nawierzchnia była pokryta warstwą tłuczka ubitego i wyrównanego walcem drogowym. Z biegiem czasu, gdy w jezdni powstawały wyrwy, były one szybko uzupełniane i wyrównywane. W przewidywaniu napraw na skraju jezdni gromadzono przemyślnie tłuczni. Ulica nie miała chodników, tylko udeptane pobocza. Deszcze lub wiosenne roztopy sprawiały pieszym pewne trudności, tym bardziej, że błoto kołomyjskie nie schodziło łatwo z obuwia czy odzieży. Boczne ulice były w zasadzie drogami gruntowymi, ale przy minimalnym ruchu drogowym były w miarę gładkie i równe. Wyjątkiem była ulica Zygmuntowska, pokryta żużlem. W wyniku pulweryzacji żużla na wierzchu powstawał czarny pył, który po deszczu stawał się czarną mazią, błotem. Ale jakoś skrajem udawało się przejść.

Zabudowa całego przedmieścia była w zasadzie parterowa. Tylko nieliczne budynki miały pięterka. Wiele

domów posiadało ganki lub werandy, niektóre oszklone. Charakterystyczna była gęstość zabudowy mieszkalnej. Na prawej stronie ul. Kosaczowskiej ponad połowa jej długości była w ogóle niezabudowana, stał tam tylko samotnie jeden dom. Później, aż do końca, występowała zabudowa zwarta, zaś po jej lewej stronie luka była pomiędzy ul. Nowowiejską a Wołoską. Także brak było budynku na ostatnich kilkuset metrach. Wprawdzie zdarzały się posesje ubogie lub zaniedbane, ale poza wyjątkami domy na Kosaczowie były schludne, elewacje czyste i kolorowe, a przydomowa roślinność, kwiaty i drzewa świadczyły dobrze o mieszkańcach.

Oprócz budynków mieszkalnych było na Kosaczowie kilka innych obiektów. Po lewej stronie ul. Kosaczowskiej mieściły się zabudowania rafinerii ropy naftowej, zespół budynków o pierwotnym przeznaczeniu na stajnię kawalerii austro-węgierskiej i budynek szkolny. Po prawej zaś stronie dworzec autobusowy PKP, hala fabryczna Braci Plezia i cegielnia wg potocznej wówczas nazwy – Wimmera. Przy ul. Nowowiejskiej znany pomnik-obelisk. No i wreszcie rozległe tereny placu ćwiczeń 49 h.p.p. i kompleks stawów. Poświęćmy tym obiektom trochę uwagi. Rafineria powstała w XIX wieku i była eksploatowana aż do wyczerpania pokładów ropy w Słobodzie Rungurskiej. Należała ona do Pierwszej Galicyjskiej Spółki Akcyjnej Przemysłu Naftowego. W okresie międzywojennym pozostały opustoszałe hale, wiaty i resztki sprzętu. Cały teren był przesiąknięty wyciekami ropy o charakterystycznej woni. Podczas II wojny niektórzy próbowali wykorzystać ziemię nasyconą ropą do palenia w piecach, jednak z miernym efektem cieplnym, ale dużym zanieczyszczeniem palenisk i kominów. Około 150 m za ul. Nowowiejską mieścił się kilkuhektarowy, ogrodzony obszar – plac, otoczony z trzech stron halami-barakami, pierwotnie przeznaczonymi na stajnię kawalerii austro-węgierskiej. W początkach listopada 1918 r. znaczna część Galicji, w tym Pokucie, została opanowana przez bojówki ukraińskie. We wspomnianych barakach Ukraińcy stworzyli obóz dla jeńców polskich i internowanych Polaków. Dramat i tragedia internowanych, nieludzkie warunki bytowania, setki śmiertelnych ofiar – były dość szczegółowo opisywane w różnych publikacjach, także w wydawanej w Warszawie „Gazecie Kołomyjskiej” w latach 1998-99, nr 20-24. W tym miejscu warto jedynie przypomnieć, iż do pomocy uwięzionym włączyli się powszechnie mieszkańcy Kosaczowa. Pomoc była z reguły utrudniona przez ukraińską straż obozową. Wystarczyło znaleźć się w pobliżu obozu, aby narazić się na ostrzał. Na szczęście trafiali się też strażnicy wyrozumiali, a nawet wręcz współczujący, co stwarzało możliwość przekazania żywności, odzieży, obuwia i lekarstw. Nawiasem mówiąc, wygłodzeni strażnicy też z tej pomocy korzystali. Obóz trwał od początków listopada 1918 r. do 26 maja 1919 r., gdy na teren Pokucia wkroczyły wojska rumuńskie. W latach trzydziestych baraki zostały wydzierżawione przez Polski Monopol Tytoniowy i przeznaczone na magazyny surowego tytoniu.

Tuż obok omawianego terenu mieścił się budynek, w którym dla mieszkańców Kosaczowa zorganizowano dwuklasową szkołę koedukacyjną, będącą filią szkoły męskiej im. Tadeusza Kościuszki. W szkole była jedna sala lekcyjna, szatnia i kancelaria.

Przy ul. Nowowiejskiej, w odległości około 1 km od Kosaczowskiej, widoczny był nieduży kurhan z obeliskiem na szczycie. Ten monument ufundowało społeczeństwo polskie na przełomie XIX i XX w. Obelisk usiłował bezskutecznie zniszczyć w 1919 r. Ukraińcy, zrobili to jednak wojska rumuńskie. Został on odbudowany i odsłonięty w dniu 11 listopada 1928 r., w dziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości. Na obelisku mieścił się napis: „Tu w tym miejscu w 1485 r. Kazimierz Jagiellończyk, król Polski, Wielki Książę Litewski odbierał hołd wierności od Stefana, hospodara wołoskiego”.

Dworzec autobusowy PKP, po prawej stronie Kosaczowskiej, powstał w połowie lat trzydziestych. Był to spory teren z wjazdem od ul. Zygmuntowskiej. Na placu był parking autobusowy i kasy biletowe. Pojazdy tam zgromadzone były różnych wielkości, od kilkunasto- do 60-osobowych kolosów. Transport autobusowy był znakomitym uzupełnieniem linii kolejowych na całym Pokuciu.

Hala fabryczna Braci Plezia, o wymiarach ok. 20 x 60 m była usytuowana skośnie do ul. Kosaczowskiej, równolegle do przedłużenia ul. Wimmera. Na początku lat trzydziestych w wyniku wielkiego kryzysu w hali przerwano produkcję. Pozostały tam nieczynne już, przestarzałe obrabiarki, elementy centralnego napędu i różne rupiecie. Hala, podobnie zresztą jak nieczynna rafineria, sprawiała przykre wrażenie opuszczenia i minionej lepszej przeszłości.

Cegielnia Wimmera – pod taką nazwą działał największy w mieście zakład ceramiczny, produkujący głównie cegły i dachówki. Zajmował on teren, razem ze stawem, kilkudziesięciu hektarów pomiędzy ulicami Kosaczowską, Zygmuntowską i Wimmera. Ustalenie właścicieli zakładu jest dziś trudne, bowiem występują nazwiska Homolaes, Radziwiłł, Wimmer, Żeleńscy, Zieleniewscy, Zielińscy. Zapewne zmieniały się nazwiska udziałowców spółki, jak i ich wzajemne powiązania. Pod koniec lat trzydziestych nad bramą wjazdową widniał szyld: Radziwiłł, Wimmer, Żeleńscy SA. Cegielnia funkcjonowała od XIX w. od boomu naftowego. Surowiec – glinę grancarską – wydobywano na miejscu, w wyniku czego powstał spory staw-glinianka w formie regularnego prostokąta 30 x 500 m. Później kopano glinę na terenach bliższych ul. Kosaczowskiej. Tu glinianki były małe, poprzedzielane nieregularnie groblami. Gdy surowiec uległ wyczerpaniu, w połowie lat trzydziestych odkryto nowe złoża bliko Kosaczówki, przy końcu ul. Wołoskiej. Doprowadzono tam tor kolejki wąskotorowej, przecinający ul. Kosaczowską i biegnący dalej tuż przy ul. Wołoskiej. Robocze budynki cegielni składały się z wiat produkcyjnych, pod którymi formowano ręcznie cegły i dachówki, z dużych wiat suszarniczych oraz z pieców do wypalania surowych wyrobów. Cegły i dachówki formowane z dobrego surowca przy ścisłym zachowaniu receptury i dobrym rzemiośle robotników były najwyższej jakości. Bliżej ul. Zygmuntowskiej był spory budynek administracyjny oraz kilka okazałych domów mieszkalnych dla urzędników.

Prawie wszystkie stawy, a wszystkie starsze, były zarośnięte wysokimi szuwarami, szczególnie przy brzegach i groblach. W stawach żyło mnóstwo żab i kumaków – kumek. Żaby emitowały potężne koncerty chóralnego rechotu, nagle zaczynając i nagle kończąc, według jakiegoś klucza, tylko im znanego. Sympatyczne były

odgłosy kumaków. A dlaczego? Bo kumkały tylko w ciepłe przedwieczera przełomu maja i czerwca, tylko w dni ciepłe i pogodne i zwiastowały bliskie nadejście wakacji i uroków lata. W stawach żyło też dużo ryb – sazanów, łowionych przez wędkarzy. W niektórych małych stawach żerowały szczupaki-olbrzymy, ale były to miejsca trudno dostępne dla pieszego wędkarza, a łódki tam nie było.

Wracając na lewą stronę ul. Kosaczowskiej, teren pomiędzy ul. Kosaczowską, Nowowiejską i Wołoską, ograniczony Kosaczówką, był placem ćwiczeń 49 h.p.p. Była to spora powierzchnia około 200 hektarów, pokryta krótką trawą. W wyniku wieloletnich ćwiczeń piechoty wykopano tam mnóstwo małych rowów, okopów, z których część była już wypełniona wodą i pokryta sitowiem, stanowiąc naturalne wylęgarnie żab. Blisko Kosaczówki, na stoku, tam gdzie na planie 96 jest napis „teren ćwiczeń”, zbudowano rzutnię granatów z betonowym, ochronnym stropem.

Pisząc o Kosaczowie nie sposób pominąć obiekt, znajdujący się poza granicami miasta, na terenie wsi Pładyki, ale związany z Kosaczowem. Chodzi o Zakład Doświadczalny Uprawy Tytoniu, potocznie nazywany fabryką tytoniu. Kompleks budynków administracyjnych i laboratoriów, ogrodzony siatką, był posadowiony na lewym brzegu Kosaczówki, pomiędzy wylotami ulic Wołoskiej i św. Jadwigi. Sporą część terenu zakładu stanowiły poletka hodowlano-doświadczalne. Sezonową pracę znajdowali tu mieszkańcy Kosaczowa.

Ludzie

Szanowny Czytelnik łatwo zauważy, że informacje o mieszkańcach Kosaczowa nie mają jednolitego charakteru, są fragmentaryczne i mało spójne. W wielu przypadkach zabrakło możliwości weryfikacji danych. Nie udało się, poza małymi wyjątkami, odtworzyć numeracji posesji. Możliwe są nieścisłości w kolejności przedstawianych rodzin. Numeracja w tekście jest umowna, tylko numery lewej strony Kosaczowskiej z grubsza odpowiadają rzeczywistości. Niekiedy budynki były zasiedlone przez dwie rodziny, czego z braku wiarygodnych danych nie uwzględniono w tekście. Zupełnie pominięto okupacyjną przynależność do Volkslisty właśnie z braku możliwości weryfikacji danych, a łatwo tu po latach kogoś skrzywdzić. Po prostu tu zostawiono informacje, które udało się zdobyć i uratować z zawodnej ludzkiej pamięci. Chyba jednak zasadne jest wyrażenie poglądu, że mimo zastrzeżeń i ograniczeń dawni mieszkańcy dzielnicy z satysfakcją i zadowoleniem odnajdą swoje nazwiska. Zaś ewentualne sprostowania uzupełnią tylko obraz minionego świata. I jeszcze jedno – przy niektórych osobach podano w nawiasie orientacyjny rok urodzenia. To tyle gwoli wstępu.

Ziemie kosaczowskie, począwszy od ul. Wołoskiej, należały do zasiedlonych tu od pokoleń rodzin. W sposób naturalny rodziny te łączyły się z sobą tworząc poprzerplatane koneksje. W okresie międzywojennym można odnotować powtarzające się nazwiska Becków, Szklarzów, Szmidtów (Schmiedtów?). Warto też zwrócić uwagę na sporo rodzin o dawnych korzeniach niemieckich, mocno lub w pełni spolonizowanych. Było to zjawisko cechą charakterystyczną dla tej części zaboru austriackiego. Żydzi nie wchodzili w związki z Polakami-chrześcijanami. (c.d.n.)

Władysław Bohr („Sas”)

Obóz (I)

Po kilkudniowej podróży przez Konotop, Orzeł, Wronieź 12 października 1944 roku zatrzymaliśmy się na stacji w Riazaniu, około 250 kilometrów na południowy wschód od Moskwy.

Sformowano kolumnę czwórkową i pod konwojem bojów rozpoczęliśmy marsz w nieznane. U nas w październiku drzewa często są strojne koroną złotych liści, tu stały bezlistne i smutne. Pola pokryte śniegiem, droga zmarzniętą grudą. Jakaś grupa wyrostków obrzuciła nas kawałkami zmarzniętego błota. Większość z nas miała na sobie niemieckie płaszcze, więc mogli nas wziąć za niemieckich jeńców. Zabrano nas w pełni lata i dopiero po nastaniu chłódów wydano nam z magazynów płaszcze i kurtki fińskie i niemieckie. Lola Głowackiego we Lwowie poproszono jako eksperta-księgowego na godzinę w celu wyjaśnienia jakichś zawitych spraw bankowych (poszedł więc w sandałkach na boso nogi, w koszulce z krótkim rękawem i w letnich spodniach – wrócił w jesieni po z górą trzech latach).

Po drodze minęły nas dwa samochody ciężarowe pełne żołnierzy w polskich płaszcach koloru khaki, w polskich „polówkach”. To podchorążowie z armii Berlinga – w Riazaniu mieściło się centrum wyszkolenia kadr oficerskich piechoty i artylerii.

Po półgodzinnym marszu doszliśmy przed drewniany budynek. Wysoki dwumetrowy płot z kolczastym drutem ograniczał widoczność. Kiedy przeprowadzono nas przez bramę, okazało się, że na niedużej przestrzeni stoi kilka baraków i że jest to łagier 178 „interniowanych Palaków”. Ten gościnny przybytek dla „sojuszników” był już zaludniony. Naszą grupę (około 70 osób) skierowano do osobnego baraku na okres kwarantanny, ale mogliśmy obserwować ruch na obozowym placu. Oto równym żołnierskim krokiem maszeruje trzech tęgich chłopców. Polówki z orłem i koroną założone z fantazją na bakier, ciepłe ruskie „fufajki” ściągnięte wojskowym pasem, na nogach wysokie buty. Po trzech „Budrysów” z 36 brygady wileńskiej – Kazik Krauze „Wawrzecki”, Czesiek Budrewicz „Topór” i Witek Ginejko.

A oto inna grupa – idą wzięwszy się pod ręce i śpiewają partyzanckie piosenki. Wśród nich różnie ubranych wybija się idący na prawym skrzydle rudobrody mężczyzna – na głowie futrzana papacha, chłopski kożuch ściągnięty pasem, rozsznurowane buty – to chłopcy z 30 brzeskiej dywizji AK, a ten rudy to Mirek Kuźnicki.

Inna grupa w długich kawaleryjskich płaszcach z ulańskimi prporczykami na kołnierzach lub polówkach z orłami to także wilniuki z akowskich brygad. Wśród nich rotmistrz Janusz Kozakiewicz „Kozak” z 4 pułku ulańców zaniemeńskich, ppor. Władek Mackiewicz „Mackiek”, ppor. Jerzy Błachowicz „Żoraka” z 18 pułku ulańców pomorskich, por. Andrzej Hryniewicz z 13 p. ulańców Jazdy Tatarskiej.

Mieszkańcy obozu pomimo zakazu kontaktują się z nami. Teraz do tamtych doszła nasza lwowska grupa, lwowiaków co prawda jest niewielu, reszta to grupy z Przemyśla, Sambora, Łańcuta i z rzeszowszczyzny.

W obozie jedzenie podłe, w barakach zimno – dno. Ja osobiście czuję się kiepsko. Jeszcze w czasie podróży miałem silną gorączkę (39°), krwawią mi dżiśła, nie mogę nic jeść. Idę więc do „sanczastii”. Wracz, wysoki Ukrainiec, przygląda mi się z wyraźnym zainteresowaniem. „Bor – mówi – eto wy diełali powstanie w Warszawie?” Nie, nie ja. Dostaję wywar z chwoi (igliwo) do płukania, ale poprawy nie ma. Dopiero cebula, którą podwędził w kuchni „Jasny” Wójtowicz, a którą pocierałem krwawiące dżiśła, pomogła mi na tyle, że mogłem jeść. Rano dostajemy 300 g. chleba, porcję cukru, na obiad zupka b. cienka, na kolację „kipiatok”. Wot i wsio. Teraz potoczyło się moje obozowe życie. Nastala mroźna zima – do minus 30 stopni. W komendaturze sowieckiej poza komendantem majorem Platonowem jeszcze kilku oficerów, z których zapamiętałem lejtnanta Kozłowa (z racji wybaluszonych oczu „Rybi glaz”) i Kalnickiego. Ci dawali nam w kość, przetrzymując nawet dwie godziny na mrozie w czasie apelu. W tym czasie zarobiłem pierwszy „bunkier” – areszt w ziemiance. Otóż obcinając kawałek „kazionnego” koca zrobiłem sobie szalik. Kozłowa orzekł, że jest to niszczenie państwowego dobra i posadził na 24 godziny. Po powrocie do baraku obciąłem następny kawałek i teraz musiałem spać „w kucki”, bo koca nie starczało na całą moją długość.

Najgorsze były długie jesienno-zimowe wieczory. Salę, gdzie mieściło się około 100 ludzi oświetlały przybite do ścian „kopciłki”, które światła dawały niewiele, za to znakomicie zadymiały płuca. Rano odkasliwałeś na czarno. Pluskwy w kosmicznych ilościach żarły nas bez litości. Wieczory długie, ludzie nerwowo wykończeni lub zupełnie apatyczni, bliscy załamania. Tylko kilku próbuje temu zaradzić.

Czasem na środku izby zasiada mjr Grekowicz, wspaniały gawędziarz, znawca literatury francuskiej. Opowiada Balzaka, Stendhala, Hugo i innych. Kończy zawsze tak samo: „A teraz, panowie, pomówimy poważnie – o dupie Maryni...”. Kpt. Jan Mickunas, kiedyś reprezentacyjny jeździec polskiej ekipy, opowiada barwnie o międzynarodowych konkursach hippicznych. Mjr „Borek” (Tomasz Zan, potomek filarety Zana) zawołany myśliwy opowiada z wielką swadą o myśliwskich przygodach i podróżach (także w Afryce). Jest też wśród nas spora grupa cichociemnych. Adaś Kmiec (Tadeusz Nowobilski), wspaniały chłopak, streszcza swoje dzieje od 1939 roku, o przejściu granicy węgierskiej, o bojach we Francji, gdzie był ciężko ranny i uznany za zabitego, o ucieczce z obozu jenieckiego, o pobycie w Anglii, o szkoleniu i o locie do Polski. Mówią też inni zrzutkowie: Lech Rydzewski, Łoś, Fred Whitehead, oryginalny Anglik wychowany przez matkę Polkę na polskiego patriotę. Każdy z nich ma inną drogę do Polski. Te opowiadania ciągną się długimi wieczorami, co pozwala wyrwać ludzi z otępienia.

Zaczynają też działać zespoły artystyczne, o czym dokładniej piszę w opowiadaniu „Nasza Buda”, co stanowi ważną część moich wspomnień.

Doczekaliśmy świąt Bożego Narodzenia 1944 roku. Smutne to były święta. Na świecie szalała wojna, my pozbawieni kontaktu z bliskimi, głodni, zmarznięci i zniechęceni. Wielu z nas gnębiła beczynność, pozbawienie nas możliwości walki z wrogiem. Brzmi to może

patetycznie i nieprawdziwie, ale większość z nas tak właśnie myślała. W ten pierwszy w obozie wieczór wigilijny nierzadko można było zobaczyć zapłakanych dorosłych mężczyzn – bardzo przykry widok.

Pierwsza w obozie pasterka. Na barakowym korytarzu, przy zaimprovizowanym ołtarzu ksiądz Antoś Piotrowski odprawia mszę świętą. Nagle z sali tzw. „rycerskiej” słychać chórem śpiewane przez zespół zorganizowany ad hoc przez Julka Chmurę (Tomasz Sieroń) tak bliskie sercu nasze polskie kolędy. Było wielkie zaskoczenie i wielkie wzruszenie!

W lutym 1945 roku przybywa do obozu nowa grupa z samego Lwowa. Wśród kilkunastu mężczyzn jest też kilka kobiet – Gienia, Julcia, Marysia i Krysia – to także żołnierze Armii Krajowej. Razem z nowoprzybyłymi jest nas teraz w obozie około 400 oficerów i 200 podoficerów i szeregowych. Jest także nieliczna grupa cywilów – z konspiracyjnej administracji.

„Pajok”, czyli dzienny przydział żywności, był różnicowany – dla oficerów większy, dla podoficerów i żołnierzy mniejszy. Bez żadnych oporów uchwaliliśmy, że cały „pajok” idzie do wspólnego kotła.

Tymczasem państwo, które przecież propagowało równość, uznawało jeszcze jedną niepodważalną wartość tj. „Zakon”, czyli uświęcone prawo, że oficerowie muszą dostać to, co im się należy i nie wolno im tego odbierać, więc rozkazem komendatury sowieckiej zabroniono wspólnego kotła. Od tego czasu dzieliliśmy nasz „pajok” z żołnierzami niejako prywatnie.

„Zakon” przewidywał dla nas także pożywkę duchowo-kulturalną. Dostawaliśmy na salę po egzemplarzu „Prawdy” lub „Izwestii”, o co starał się gorliwie politruk z sowieckiej komendy. Gazety szły na skrety, bo już nauczyliśmy się palić machorkę w gazecie. Krążyła też po obozie zagadka: jaka jest różnica między „Prawdą” a „Izwestiami”? Ano taka, że w „Prawdzie” nie ma izwestii, a w „Izwestiach” nie ma prawdy. Byliśmy spragnieni wiadomości ze świata, na którym wciąż była wojna, ale nie trudno było dostrzec, że dobiega końca. A koniec wojny, jak nam się wydawało, oznaczał dla nas powrót do kraju. Wśród różnych wiadomości, które z racji doskonałej znajomości języka rosyjskiego odczytywał nam kapitan Kickunas, była też informacja, że internowani przez Anglików członkowie lewicowych ugrupowań greckich „Elas” zaprotestowali przeciw ich internowaniu głodówką. Istniała duża analogia z naszą sytuacją. I tak 5 marca 1945 roku obóz rozpoczął głodówkę protestacyjną. I tu znów muszę się odwołać do „Zakonu”. Mówił on, że jeżeli do 3 dni incydent nie zostanie zlikwidowany, należy powiadomić centralę w Moskwie. Tak też się stało. Z Moskwy przyjechał „kakoito gienerał” i zaczął po kolei odwiedzać sale, wypytując o co właściwie nam chodzi. Podenerwowani, głodni ludzie rąbali wszystko do spodu. A więc za co i jakim prawem trzymają nas za drutami, dlaczego pozbawiono nas możliwości kontaktu z rodzinami, dlaczego tak podle nas karmią, dlaczego nie dają opału itd. „Gienerał” orzekł, że nie może rozmawiać ze wszystkimi, więc wybierzmy po trzech delegatów z każdej kompanii i w komendaturze, a za drutami będą prowadzone rozmowy. Wybrano więc 12 delegatów, którzy poszli na „pieregawory”, a tam... aresztowano ich i wywieziono do tury w mieście. Doszedł więc jeszcze jeden postulat – zwolnić delegatów. Głodówka

trwała łącznie tydzień. Ale gdy po 4 dniach zmarło 2 starszych panów, ludzie się zestrachali i zaczęli – jedni oficjalnie, inni po kryjomu chodzić na stołówkę. W szóstym dniu już tylko 25 procent obozu głodowało. Wtedy sprowadzono kompanię wojska i na noszach przeniesiono tych ostatnich głodujących do osobnego baraku i tu usiłowano karmić. Nie było już sensu głodować dalej, tym bardziej, że wrócili bulionikami, białym chlebkiem i czym tam jeszcze. Nasz pajok również się polepszył. Na sale przyszedł „wracz” – mały czarny Żydek Mitrofanow (zwany przez nas Fortepianowem) i w otoczeniu paru siostr badał każdego z nas, często zapewniając: „nie bezpokoj się, żyć budzisz”. A gdy któryś uzupełnił, że do samej śmierci, ten zapewniał, że jeszcze „bolsze”... Dla słabszych stworzono osobny barak „sanczasć”, ale gdy Fortepianow uznał, że pacjent ozdrowiał, wysyłał go z powrotem do dawnego baraku. Przeleżałem w tym „sanatorium” do jego likwidacji kilkanaście dni. Tak zakończyła się pierwsza głodówka, po której mówiło się tak jak w przypadku znanego: – „po narodzeniu, czy przed narodzeniem Chrystusa” – po czy przed głodówką...

Dziś już nie pamiętam dokładnie, ale wydaje mi się, że w połowie kwietnia długą kolumną wymaszerowaliśmy z obozu w Riazaniu. Szliśmy błotnistymi drogami kilkanaście kilometrów. W powietrzu czuć było wiosnę. W południowych godzinach z daleka zobaczyliśmy nasze nowe em pi (miejsce postoju). W płaskim stepowym terenie stało kilkanaście baraków otoczonych podwójnym rzędem drutów z wieżyczkami strażniczymi po rogach. Obóz miał kształt prostokąta. Od zachodu widać było duże zbożowe elewatory, od północy na horyzoncie majaczyły małe chatynki, łukiem od strony zachodniej, prawie pod sam obóz biegł tor kolejowy ślepo zakończony bocznica. Po rozgardiaszu, jaki zawsze panuje przy zajmowaniu miejsc w barakowej izbie, przysła pierwsza noc w obozie Riazan-Diagilewo.

Z tej nocy pamiętam dobrze chłód, nagie prycze i niezliczoną ilość pluskiew. Już nigdy potem nie spotkałem takiej masy tych wstrętnych owadów, które – widać wygłodzone – rzuciły się na nas. W takich warunkach nie było mowy o spaniu. Nazajutrz nastąpił nowy podział na kompanie, wyznaczanie sal, nabijanie słomą sienników. Dla oficerów wyznaczono nowy osobny barak. Mieścili się w nim 3 kompanie oraz polskie dowództwo obozu. Na końcu długiego korytarza była sala pierwszej kompanii, do której należałem. Mniej więcej w połowie korytarza była kancelaria i kwatera starszego obozu i jego sztabu. W przeciwnym końcu mieściła się umywalnia i sala trzeciej kompanii. Za naszym barakiem od strony południowej była stołówka z niedużą scenką, kuchnia, łaźnia (bania) i fryzjerna. Od północy stał barak szpitalny (sanczasć), a obok barak kontrolny i KPZ (kamiera pieredworitelnowo zakliuczenia), czyli areszt rewizyjny. Zaraz obok ziemianka-bunkier, gdzie sadzano za przewinienia dyscyplinarne, i latryny. W bunkrze przesiedziałem jako jeden z pierwszych „sutku”, czyli dobę.

Z uwagi na niemożność życia normalnego w tak zapluskwanym baraku urządzono generalne „klopobójstwo”, czyli śmierć pluskwom (klopom). Na podwórku rozpalono ogniska i w ogromnych kotłach gotowano

wodę. Wszystkie nasze rzeczy wynieśliśmy z baraków, dokumentnie rozebraliśmy prycze, każdą deskę zanurzało się we wrzasku i szorowało. Ja z Januszem i Kazikiem Gniewkiem – uzbrojeni w płonącą korę brzozy – urzędowaliśmy w sali, wypalając każdą dziurę, w której mogłyby gnieździć się pluskwy. W pewnym momencie do baraku wpadł jakiś sowiecki starszyna i zaczął drzeć mordę, że możemy spalić barak. Zabrał nas na komendaturę, gdzie służbowy lejtnant Bezkiżkow (zresztą porządny chłopina) zaaplikował nam po sutku.

Po tym kłopotobójstwie przez jakiś czas można było jakoś żyć, ale pluskwy to twardy insekt – odradzały się znowu, więc co jakiś czas trzeba było urządzać generalną „wojnę”.

Życie w obozie potoczyło się wartkim rytmem, na co składało się to, że zelał nieco reżim obozowy, poprawiło się jedzenie i przede wszystkim szła wiosna, wiał ciepły wiatr i słońce mocno przygrzewało. Wiosna zawsze budzi nadzieje. Myśleliśmy więc, że ta niesie z sobą koniec tej długiej i okrutnej wojny, więc i naszego odosobnienia – czyli powrót do domu. Ludzie się ożywili, nabrali chęci do życia. Zaczęły się różnego rodzaju kursy, nauka języków obcych, ożywiło się życie kulturalne, utworzono teatrzyk „Nasza Buda”, zaczęto grać w karty – bridż i poker. Uaktywnili się obozowi artyści profesjonalni i amatorzy. Rysowano portrety, w czym celowali Miecio „Miazga” Skrzypiński i Jaś Ptasieński, a z amatorów Mirek Kuźnicki. Rzeźbiono i inkrustowano w drewnie i w metalu. Jeden z najsławniejszych dowódców wileńszczyzny kpt. „Szczerniec” (Fróg – rozstrzelany po powrocie do kraju) wyrzeźbił naprawdę piękne szachy. Pisano wiersze, w czym celowali Wacek Lisowski, Bolek Alapin i Andrzej Anders, a nawet i ja popeliłem kilka wierszy, z których jeden nawet był inscenizowany na deskach „Naszej Budy”.

Ten dynamiczny rozkwit życia kulturalnego był możliwy dzięki temu, że na bocznice koło obozu zaczęto zwozić jakieś skrzynie, które w ramach „reparacji” Sowieci przywozili z Niemiec. „Budiem stroić awtomaszynnyj zawod” – mówili. Rzeczywiście w skrzyniach były precyzyjne obrabiarki, narzędzia, różne materiały. Na marginesie dodam, że kiedy w lipcu 1947 r. opuściliśmy obóz w Diagilewie, skrzynie stały dalej na bocznicy, ale już bardzo niekompletne – deski rozkradzione na opał, narzędzia i materiały „zabrano” prywatnie, resztę zniszczyły deszcze, mrozy i śniegi. Ogromny majątek zmarniał całkowicie, a fabryka samochodów nigdy nie powstała. Zawartość skrzyń była bardzo cenna dla naszych żołnierzy, którzy wychodzili do pracy za druty – zaopatrywali obóz w surowce, dzięki czemu rozwijało się rzemiosło. Wyrabiano łyżki, kasetki, pierścionki, nawet brzytwy. A karton z opakowań był cennym materiałem do produkcji kart do gry. Żorka, Antek Dudek i ja założyliśmy spółkę – Antek ciął karton i malował znaczki od 2 do 10, ja malowałem figury – walety, damy, króle i asy, a Żorka zajmował się reklamą i dystrybucją. Gra w karty w obozie była zabroniona i w czasie rewizji w barakach karty konfiskowano, więc popyt był duży. Było jeszcze kilku innych producentów kart, ale dzięki talentowi i osobistemu czarowi Żorki karty naszej firmy „SAZA” (Sas, Antek i Żorka) cieszyły się dużym powodzeniem, dzięki czemu mogliśmy zjadać dodatkowe porcje chleba i palić więcej papierosów.

Niewiele na tym korzystałem ja osobiście, gdy opanowany przez „demon hazardu” całe moje dochody przegrywałem w pokera. A w pokera grali wszyscy. Józef Łagocki grał dużo i szczęśliwie. Poza tym udzielał lekcji języków. Między innymi Jasiowi Drozdowi. Kiedyś Józek grał i wyjątkowo przegrywał, a że przegrywać nie umiał (a to duża sztuka), był wściekły. Wtedy zjawił się Jasio i zaczął go molestować, że akurat jest godzina jego lekcji. Józek wyjątkowo grzecznie starał mu się wytłumaczyć, że trzeba lekcję przełożyć na inny termin. Ale gdy Jasio nalegał, Józek wściekł, bo właśnie przegrał z trzema królami, powiedział: „Panie Jasiu, gdybym miał ten rozum, który panu brakuje, to byłbym bardzo mądrym człowiekiem”. I wrócił do pokera. O bystrości Jasia niech świadczy następujący fakt. Nad naszym obozem latały często szybowce holowane przez samoloty. Kiedyś Jasio patrząc na taki układ, zadał mi inteligentne pytanie: „Sas, ten samolot to ciągnie tego drugiego?”. „Nie” – odpowiedziałem – „to ten z tyłu pcha tamtego”. Jasio podumał chwilę i odrzekł: „Nie, żeby go pchał, to musiałby być sztywny układ, jak dyszel, więc jednak ciągnie” – i popatrzył na mnie z lekką ironią.

Życie kulturalne nie byłoby pełne bez satyry. Zaczął się ukazywać satyryczny periodyk z wierszykami i rysunkami podpisanymi „Krokodyl znad Oki”. Długo nie mogliśmy rozszyfrować redaktora, aż wreszcie wyszło na jaw, że to Staś Szostakiewicz – rysunki i Wiktor Działik – wierszyki. On był też redaktorem naczelnym. Wiktor był barwną postacią i warto mu poświęcić parę słów. Miał około 55 lat, ale wyglądał na więcej. Nosił wysmalowaną polówkę, zmięty i wybrudzony mundur, niechlujną brodę. Mówiono, że miał kiedyś na Litwie nieduży mająteczek, żonę, dwie udane córki i nieugaszone pragnienie. A gdy pozostał bez żony, córek i majątku, poczuł w sobie ciągoty marynarskie. W Gdyni zamustrował się na statek, który wioził węgiel do Anglii, a potem przez parę lat pływał do Ameryki Południowej. Opowiadał o swoich przygodach w Patagonii, ale nikt nie brał poważnie jego wynurzeń. Wiktor grał w karty, w ruletkę, którą Janusz Specylak i Michał Klimczuk uruchomili. Grał i przegrywał, a że monetą obiegową w obozie był głównie chleb i papierosy, chodził więc Wiktor głodny i „niedopalony”. Ale jednak umiał sobie radzić. Chodził po salach i za parę papierosów układał i śpiewał swoje „krakowiaczki”. Dwa z nich utkwiły mi w pamięci:

*Wytłumaczcie, kto potrafi,
Cuda nowej geografii –
Wańka chodzi po Poznaniu,
Polak siedzi gdzieś w Riazaniu!*

Albo:

*Pepeery, pepeesy
Chronią nasze interesy
I obronią tak dokładnie,
Że do Wolgi Wisła wpadnie.*

Poza tym miał Wiktor dobre serce i zawsze można było liczyć na niego.

Mijały dni, tygodnie i miesiące, 9 maja skończyła się wojna, a myśmy wciąż siedzieli. Po obozie krążyły wciąż „parole” o bliskim wyjeździe. Tak już jest, że człowiek najczęściej wierzy w to, w co chce wierzyć. Krążące informacje lub jak kto woli plotki określały często dokładną nawet datę wyjazdu. Te daty wyznaczyły „nad-

ziemskie" istoty, które koła spirytystów trzeciej kompanii wywoływały na nocnych seansach. Gdy minęła zapowiedziana data i nic się nie wydarzyło, duch zaraz wyznaczał nową. A ludzie wierzyli. Niektórzy pakowali nagromadzone „dobra” i w każdej chwili byli gotowi do wyjazdu.

Zaczęły się pierwsze ucieczki. Ale bez powodzenia. Niektórzy słabsi umierali. Chowano ich na cmentarzu w pobliskim miasteczku. Trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, że śmiertelność była nieduża. Pozwolono nam na własny koszt i własnymi siłami zaprowadzić do baraków światło elektryczne, co znacznie złagodziło nasze życie w długie jesienno-zimowe wieczory. A zima była jak zawsze w tym klimacie śnieżna i ostra. Za oknami czasami szalała wichura „wiuga śnieżna” zmniejszając widoczność do kilkunastu metrów, a wicher zwał z nóg. Przeszedł grudzień 1945 r., a z nim drugie już obozowe święta Bożego Narodzenia. Nowy rok przyniósł duże zmiany. W połowie stycznia do obozu zaczęły przybywać transporty z innych ośrodków internowania – z Kijowa, Charkowa, Ostaszkowa. Zaludnił się nasz obóz. Przywieziono akowców siedzących do tego czasu w więzieniach. Przybył między innymi dowódca Obszaru Wilno-Nowogródek generał „Wilk” Krzyżanowski. Z Charkowa przybyło 4 generałów – „Halka” Bittner, „Janka” Filipkowski, „Marcin” Grabowski, „Dąbrowa” Światalski oraz pułkownicy Studziński i Czerwiński z adiutantem por. Łanowskim. Przyjechali oficerowie ze sławnej dywizji 27 AK – major „Zegota” Sztumberg Rychter, c.c. kapitan „Gzyma” Pukacki i wielu innych, których już nie pamiętam. Przyjechał także z więzienia w Moskwie kapitan „Wania” dr Alfred Paczkowski cichociemny. Wojenny życiorys kapitana „Wani” mógłby służyć za temat do sensacyjnej powieści lub za scenariusz do filmu. Kampanię wrześniową odbył kapitan w 9 p. ułanów małopolskich, kończąc ją w obronie Warszawy. Do niewoli nie poszedł, przedostał się za granicę. W Wielkiej Brytanii odbył szkolenie i został zrzucony do Polski w grudniu 1941 roku. Był dowódcą III odcinka „Wachlarza”. Aresztowany przez Niemców został osadzony w więzieniu w Pińsku. Brawurowa akcja „Ponurego” (kpt. Piwnik – też zrzutek) przyniosła mu wolność. Wrócił do Warszawy. Wyznaczony na dowódcę oddziału partyzanckiego w 30 poleskiej dywizji AK wyjechał za Bug. W potyczce pod Mańczakami został przez Niemców ranny. Chłopcom, którzy chcieli go wynieść, kazał się wycofać, a sam ukrył się w zbożu. Wykrwawiony doczołgał się do wiejskiej chaty. Żelazny organizm „Wani” zezwolił mu wkrótce wrócić do zdrowia. Przedostał się do Warszawy, gdzie zastało go powstanie. Walczył na Mokotowie. Pod koniec powstania (19.08.1944 r.) polecono mu przepłynąć Wisłę i nawiązać łączność z Sowietami. Na Pradze zgłosił się do dowództwa jednostki, został tam aresztowany i przewieziony do więzienia w Moskwie. Siedział prawie półtora roku. Teraz trafił do obozu w Diagilewie. „Wania” był opanowany i spokojny. Interesował się wszystkim, pisał wiersze. Do kraju i do zawodu lekarza wrócił i pracował w Warszawie. W stopniu podpułkownika przeszedł na emeryturę. Niezwykłą historię życia miał też „Adam Kmieć” (Tadeusz Nowobilski) z Wadowic. Dobrze zbudowany ciemnowłosy chłopiec jako podchorąży służby czynnej brał udział w kampanii wrześniowej w 12 p.p.

Pod koniec znalazł się na wschodzie gdzieś koło Tarnopola. Dzięki przypadkowi uratował się, gdy Ukraińcy w nocy napadli na wieś i wyrznęli polskich żołnierzy. Dwukrotnie próbował przekroczyć San i dopiero za trzecim razem udało mu się przedostać do okupowanej przez Niemców Gubernii. Wrócił do Wadowic. W październiku 1939 r. ożenił się, lecz jego małżeńskie szczęście nie trwało długo. Rodziną Nowobilskich (4 braci) zainteresowało się Gestapo. Adaś już w grudniu 1939 r. przedostał się przez Słowację i Węgry do Francji, gdzie trafił do I Dywizji Grenadierów. Na froncie samochód, w którym jechał, wpadł na minę. Adam ciężko ranny został uznany za zabitego, o czym oficjalnie przez Czerwony Krzyż została powiadomiona rodzina. Żona jako wdowa po jakimś czasie wyszła powtórnie za mąż za kolegę Adama i doczekała się syna. Tymczasem Adaś po pobycie w szpitalu i wyleczeniu dostał się do obozu jenieckiego. Z obozu trzykrotnie uciekał i wreszcie za czwartym razem udało mu się dotrzeć do nieokupowanej Francji – do Grenoble. Po półrocznym pobycie przez Gibraltar trafił do Wielkiej Brytanii. Odbył kurs cichociemnych i w kwietniu 1944 r. z bazy w Brindisi (Włochy) przyleciał do Polski. W okresie „klimatyzacji”, jaką przechodzili zrzutkowie, w Warszawie przypadkowo na ulicy spotkał swoją siostrę. Początkowo zgodnie z obowiązującą instrukcją wypierał się, że nie jest Tadeuszem, ale w końcu gdy siostra poinformowała go o losie rodziny i o tym, że jego żona, rzekoma wdowa, wyszła za mąż i ma syna, Adaś opowiedział swoje dzieje. Wkrótce został odkomenderowany do oddziału leśnego koło Lidy. W czasie „Burzy” oddział został rozbrojony przez Sowietów, a Adaś trafił do obozu. W obozie chorował na wrzody żołądka i była obawa o jego życie. W jenieckim szpitalu niemieckim wyleczono go na tyle, że wrócił do sił i w październiku 1947 r. mógł wyjechać do kraju. Z żoną (to już opowiadał mi osobiście, gdyśmy się spotkali po moim powrocie) nie połączył się, choć miał do tego pełne prawo przez unieważnienie jej drugiego małżeństwa. Ale po rozmowie z nią doszedł do wniosku, że nie może rozbić zgodnie żyjącej rodziny. Ożenił się po raz drugi i gdy żona spodziewała się dziecka, Adama aresztowało UB. Uciekł skacząc przez okno w szpitalu, gdzie na interwencję lekarza odwiedził żonę. W lipcu 1950 r. zjawił się w Gliwicach. Tu u Tadzia Kalwejt (Borówka) na wspólnej naradzie z udziałem moim i Żorki ustaliliśmy, że na razie do czasu, kiedy się czegoś nie wymyśli, Adam zostanie przewieziony do znajomego leśniczego koło Tarnowa. Z nami skontaktuje się we wrześniu. Tymczasem Adaś znikł – ani leśniczy nie wiedział, gdzie się podział, ani z nami nie nawiązał kontaktu. Zjawił się znacznie później i całą sprawę wyjaśnił – za namową brata pojechał do Warszawy i zgłosił dobrowolnie do UB. Tam przetrzymywali go tydzień, przesłuchiwali i na koniec wypuścili, zaopatrując w odpowiedni dokument. Po powrocie do Wadowic zaraz zjawili się „opiekunowie”, ale papierek z warszawskiej centrali zadziałał. Osiadł potem z żoną i synem Jackiem w leśniczówce w sudeckich górach.

Jeszcze wiele innych ciekawych życiorysów mógłbym przytoczyć, bo mając łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi nasłuchiwałem się ich bardzo dużo.

(c.d.n.)

WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO

Zbigniew Umański

Kronika Kresowa

Przeżywamy jeszcze raz...

Trzy miesiące minęło od ponownego otwarcia i poświęcenia odbudowanego z pietyzmem Cmentarza Obrońców Lwowa, a ci, którzy mieli szczęście uczestniczyć w tym historycznym wydarzeniu są wciąż pod wrażeniem tej uroczystości. Jej wspaniałej scenerii, liturgii i ceremoniału wojskowego, symbolicznego zapalenia Zniczy Pamięci przez prezydentów Polski i Ukrainy na grobie Pięciu Nieznanych Żołnierzy z Persenkówki. Do dziś dźwięczą mi w uszach „Bogurodzica”, „Śliczna Gwiazdo miasta Lwowa” i inne pieśni religijno-patriotyczne w wykonaniu Reprezentacyjnego Chóru i Orkiestry Wojska Polskiego. I słowa dramatycznego Apelu Pamięci przy wtórze werbli oraz salwy honorowej, która odbijała się trzykrotnym echem o mogiły bohaterskich Obrońców Lwowa...

W wydaniu specjalnym „Semper Fidelis” chcieliśmy upamiętnić to wielkie wydarzenie w najnowszej historii Polski na b. Kresach. Przypomnieć Czytelnikom „SF”, którzy nie mogli w nim uczestniczyć, co powiedzieli prezydenci Polski i Ukrainy o bohaterstwie Orląt Lwowskich, prezes A. Kaminski o polskim Lwowie, min. A. Przewoźnik o lwowskim Santo Campo, które jest częścią tradycji i tożsamości Polaków. W relacji ze Lwowa, ilustrowanej zdjęciami, oddać niepowtarzalną atmosferę powagi, dumy i radości podczas tej patriotycznej uroczystości. I refleksje „na gorąco”. Czy się udało? Niech osądzą Czytelnicy.

Redakcja „Semper Fidelis” dziękuje Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa za umożliwienie, dzięki dotacji, wydania specjalnego numeru „SF”. Będzie dokumentem wydarzenia, na które lwowiacy tam, tutaj i rozrzucony po świecie czekali tyle lat...

I jeszcze wyjaśnienie: jeden z kamiennych lwów, strzegących kiedyś wiecznego spokoju Orląt, trzymał łapą kamienną tablicę z napisem „Tobie Polsko” – a nie „Tobie Ojczyzno”, jak napisałem w „SF” w relacji ze Lwowa. Moja pamięć chłopięca zawiodła – przepraszam Czytelników. To tę kamienną inskrypcję Ukraińcy uznali za „manifestację polskości przez lwów” i sprzeciwili się ich powrotowi pod Łuk Chwały na Cmentarzu Obrońców Lwowa. Puste miejsca, i Orlęta, wciąż na nich czekają...

Polski Wrzesień

Wrzesień 1939 r. to tragiczny miesiąc w najnowszej historii Polski: 1 IX – agresja Niemiec na nasz kraj, początek II wojny światowej i 5-letniej krwawej okupacji hitlerowskiej; 17 IX – zdraziecki cios ZSRR w plecy Polski walczącej z hitlerowskim najeźdźcą, zajęcie ponad 1/3 terytorium naszego kraju przez Armię Czerwoną, początek martyrologii polskich oficerów i ludności, zaanektowanych do ZSRR Kresów, deportacji na Sybir, do łagrów.

W 66. rocznicę tych tragicznych wydarzeń, w stolicy i całej Polsce odbyły się uroczyste Msze św. z udziałem kombatanów i sybiraków, obchody, spotkania. Odwiedzono groby żołnierzy Września, składano wieńce i palono znicze pod Pomnikami Pamięci. M.in. pod pomnikiem Pomordowanych Polaków na Wschodzie w Warszawie wieńce od TMLiKPW złożył członek Zarządu Głównego i prezes Stołecznego Oddziału Towarzystwa Ryszard Orzechowski.

Szczególnie podniosłe i uroczyste obchody rocznicy tragicznego 17 Września odbyły się we Wrocławiu, nieformalnej stolicy lwowiaków i kresowian, którzy szczególnie dotkliwie doświadczyli okupacji sowieckiej na Kresach. Na wrocławskim Rynku wieczorem Orkiestra Akademii Beethovenowskiej z Krakowa, chór Filharmonii Śląskiej i chór „Rezonans con tutti” z Zabrze oraz soliści wykonali „Requiem” W. A. Mozarta. Podczas koncertu pokazywano na telebimach dokumentalne kroniki – przyjacielskie rozmowy rosyjsko-niemieckie, z udziałem Józefa Stalina, na Kremlu w 1939 r., podpisanie układu Ribbentrop-Mołotow, sankcjonującego IV rozbiór Polski, wkraczanie Armii Czerwonej na polskie ziemie, kolumny polskich jeńców pędzonych do sowieckiej niewoli.

Po koncercie wrocławianie, w milczeniu i zadumie, obejrzeni wystawę „Oswobodzenie”, urządzoną wokół Rynku, opisującą historię napaści Związku Radzieckiego na Polskę. Na 30 planszach można było zobaczyć jak ZSRR z faszystowskimi Niemcami 17 września 1939 r. zaatakował nasz kraj. Autorem pobudzającej do refleksji wystawy jest prof. Andrzej Kunert, który przypominał wrocławianom niezaprzeczalne fakty historyczne.

W Sanktuarium Golgoty Wschodu u ojców Redemptorystów we Wrocławiu odbył się symboliczny pogrzeb czaszek anonimowych Polaków pomordowanych w 1940 r. w Katyniu. Przywiózł je stamtąd do Wrocławia prof. Gerhard Butz, kierownik Zakładu Medycyny Sądowej w Breslau, który kierował ekshumacją zwłok polskich oficerów ze zbiorowych mogił. Po wojnie, gdy zakład objął prof. Bolesław Popielski, ukrył on katyńskie czaszki, ale dopiero w 2002 r. naukowcy z wrocławskiej AM przeprowadzili badania, które potwierdziły, że pochodzą z Katynia. Zachowało się siedem, jedna to – według badań – czaszka Janiny Lewandowskiej, córki gen. Józefa Dowbora Muśnickiego, jedynej kobiety zamordowanej w Katyniu. Ta czaszka nie została pochowana z innymi. Pojechała do rodzinnego Lusowa koło Poznania, gdzie zostanie pochowana 4 listopada.

Symboliczny pogrzeb czaszek katyńskich z honorami wojskowymi we Wrocławiu, zorganizowany pod patronatem Dolnośląskiej Rodziny Katyńskiej, Związku Sybiraków i Sybiraków Afrykańczyków poprzedziła Msza św., pod przewodnictwem JE ks. Henryka kardynała Gulbinowicza, okolicznościowe kazanie wygłosił JE ks. biskup Ignacy Dec, a modlitwę za zamordowanych Polaków poprowadził ks. prałat Zdzisław Peszkowski, krajowy Kapelan Rodzin Katyńskich.

Uroczystości towarzyszył oddział Wojska Polskiego, który oddał salwę honorową.

W Muzeum Niepodległości w Warszawie odbyło się spotkanie z cyklu „W marszu do niepodległości”, poświęcone generałowi Maksymilianowi Milanowi-Kamskiemu (1895-1979) – żołnierzowi Legionów i POW, najmłodszemu generałowi Wojska Polskiego w niepodległej Polsce. Był ostatnim zastępcą Dowódcy Okr. VI – Okręgu Korpusu – Lwów we wrześniu 1939 r., dowódcą grupy „Dniestr” przewidzianej do obrony 170-kilometrowego odcinka Dniestru.

W trakcie spotkania prezes Stołecznego Oddziału TMLiKPW R. Orzechowski przekazał od Towarzystwa dwa portrety gen. Maksymiliana Milana-Kamskiego, które osobiście uratował od zabrania przez NKWD z mieszkania generała we Lwowie.

W 29 rocznicę śmierci generała Romana Abrahama – oficera Legionów i obrońcy Lwowa w 1918 r., w Bazylice św. Krzyża w Warszawie, gdzie umieszczona jest tablica upamiętniająca zasługi generała, odprawiona została Msza św. w Jego intencji. Uczestniczyła w niej żona generała, poczty sztandarowe organizacji kombatanckich AK i harcerzy oraz żołnierze Września 39 i AK, po wojnie organizacji niepodległościowych NIE i WiN – major w st. spocz. Romuald Bardziński w przedwojennym mundurze. Byli chorążymi w Okręgu Wileńsko-Grodzińskim WP uczestnicy z proporcem we wszystkich uroczystościach patriotycznych w stolicy, także organizowanych przez TMLiKPW.

Potrzebne były lwowskie Termopile?

W 60. rocznicę agresji ZSRR na Polskę „Rzeczpospolita” w dodatku „Plus-Minus” zamieściła niezwykle interesującą, ale zarazem dyskusyjną rozmowę z prof. Pawłem Wieczorkiewiczem z Instytutu Historycznego UW, specjalizującym się w historii Rosji i Związku Radzieckiego oraz historii wojskowości i najnowszej historii Polski, autorem wielu książek i artykułów na ten temat. Zamieszczamy fragment tej rozmowy, dotyczącej obrony Kresów i Lwowa w 1939 r.

Dziennikarz Piotr Żychowicz zapytał:

Dlaczego drogie sercu każdego Polaka Kresy Wschodnie były broniące z dużo mniejszą zaciętością niż niemiecki Gdańsk?

Gdyby 1 września to Sowieci nas zatakowali pierwsi, to broniono by ziem wschodnich, tak jak broniono zachodnich. 17 września armia była już jednak zdemoralizowana porażkami, a poza tym na Kresach, oprócz KOP, znajdowały się głównie oddziały tyłowe, czy ośrodki zapasowe jednostek. Ludzie, którzy wówczas nie byli jeszcze w pełni przygotowani do walki. Zamierzano dopiero to zrobić w ciągu najbliższych dwóch, trzech tygodni. Kresów po prostu nie miał kto bronić, dlatego walczyli m.in. harcerze i ochotnicy. Najgorszą rolę odegrał jednak fatalny rozkaz Rydza Śmigłego: „z Sowieciami nie walczyć”, i fakt, że oficjalnie nie wypowiedziano Związkowi Sowieckiemu wojny. Choć całkowita obrona Kresów była niemożliwa, to należało stworzyć tam symboliczne Westerplatte. Utworzyć punkt obrony, który stawiałby przez dłuższy czas opór. Broniłby się krwawo i do końca. Na Kresach potrzebne były polskie Termopile, aby zademonstrować światu nasze prawo do tych terytoriów.

(...) Może właśnie to Lwów powinien być tymi Termopilami. Były bowiem spełnione wszelkie warunki ku

temu, aby go bronić. Należało to zrobić chociażby po to, żeby później jakieś chruszczowy, czy inna swolocz, nie opowiadały o „ukraińskim mieście” i żeby ten argument nie był gładko lykany przez Amerykanów i Brytyjczyków. Ale faktycznie, gen. Langer poddając miasto powołał się na rozkaz naczelnego wodza. Sowieccy generałowie i Chruszczow złożyli mu uroczyste słowo honoru sowieckiego oficera, że polskim żołnierzom nic się nie stanie. Dalsze wydarzenia, czyli Katyń, gdzie trafiła większość kadry dowódczej, pokazuje, ile było warte słowo sowieckiego oficera.

Czytelników zainteresowanych tym tematem gorąco zachęcam do przeczytania całego wywiadu pt. „Wojna polska” w „Rzeczpospolitej” z dnia 17/18 września br.

Modlitwa młodych o pojednanie

Trzy dni po uroczystościach oficjalnego otwarcia i poświęcenia Cmentarza Obrońców Lwowa, na placu Jana Pawła II w lwowskiej dzielnicy Sichów, młodzież polska, ukraińska, węgierska, rosyjska i rumuńska modliła się o pojednanie. Papież Jan Paweł II spotkał się z młodzieżą na tym placu podczas pobytu we Lwowie.

Akt pojednania odmówiono w czasie Mszy św. z udziałem przewodniczącego Konferencji Episkopatu RP abp. Józefa Michalika i zwierzchnika grekokatolików ukraińskich kardynała Lubomyra Huzara, Metropolity Lwowskiego.

Pielgrzymki kresowian i lwowiaków

24 września br. na Jasnej Górze odbyła się pielgrzymka kresowian, świadków zbrodni ukraińskich nacjonalistów w latach 1939-1947, zorganizowana przez TMLiKPW oraz Stowarzyszenie UZOUN. W intencji zamordowanych Polaków przez OUN-UPA na Kresach Płd.-Wsch. odprawiona została uroczysta Msza św. koncelebrzana pod przewodnictwem kapelana WP Twierdzy Jasna Góra o. Jana Golonki. Wzruszającą homilię wygłosił do zebranych kresowian ks. Tadeusz Pater. Po mszy zebrani udali się do Kaplicy Pamięci Narodu im. o. A. Kordeckiego, gdzie pod Tablicą Pamięci pomordowanych Polaków odmówiono modlitwę za ich dusze i złożono wiązanki kwiatów.

Pielgrzymka zakończyła się spotkaniem kresowian – konferencją w Sali Różańcowej częstochowskiego sanktuarium.

W lipcu pielgrzymkę do Jasnogórskiej Pani zorganizował także Światowy Kongres Kresowian.

Pielgrzymkę 45 rodaków ze Lwowa do Częstochowy zorganizowało w sierpniu Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. W drodze powrotnej zwiedzili Kraków i Wieliczkę.

List otwarty do prezesa IPN

Federacja Organizacji Kresowych, Warmińsko-Mazurska Rada Regionalna w Olsztynie, zrzeszająca Towarzystwo Miłośników Wołynia i Polesia, Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej oraz Towarzystwo Przyjaciół Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, a także Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Kraju w Olsztynie zwracają się do Pana o wyjaśnienie powodów, dla których Instytut Pamięci Narodowej nie zajmuje jednoznacznego stanowiska w sprawie ludobójstwa dokonanego na Polakach przez ekstremistów ukraińskich spod znaku OUN-UPA w latach II wojny światowej.

Jeśli IPN słusznie zabiega o określenie mordu katyńskiego jako zbrodni ludobójstwa, to czym się kieruje, zachowując milczenie o jednej z największych zbrodni XX wieku, podczas której „wojacy” z UPA zamordowali w niewyobrażalny sposób ponad 120 tysięcy niewinnych Polaków, bez względu na wiek i płeć.

Sprawa ta jest o tyle dziwna, że posiadane niezliczone dokumenty i zeznania świadków są już ogólnie znane i świadczą dobitnie o ludobójstwie, natomiast IPN, powołany dla PAMIĘCI, nie dąży do zajęcia właściwego stanowiska, które żadną miarą nie powinno zależeć od koniunktur politycznych. Wszyscy jesteśmy za współpracą i partnerskimi związkami z demokratyczną Ukrainą, ale skrywanie wielkiej zbrodni stanowi o marnotrawie politycznym, czego czynić nie wolno żadnej ze stron. (...)

Czy prof. Leon Kieres zdąży odpowiedzieć?

Potrójny Jubileusz księdza Kardynała

Ks. Henryk kardynał Gulbinowicz – były Metropolita Wrocławski, wilnianin, poważany i lubiany za swą bezpośredniość przez dolnośląskich lwowiaków i kresowian, obchodził w tym roku 55-lecie kapłaństwa, 35-lecie święceń biskupich i 20-lecie przynależności do Kolegium Kardynalskiego. Uroczystość jubileuszowa odbyła się w historycznej świątyni wrocławskiej pw. św. Krzyża, uczestniczyli w niej: Metropolita Wrocławski ks. Marian arcybiskup Gołębiewski, który wygłosił okolicznościowe kazanie, Nuncjusz Apostolski z Berlina, biskupi, duchowieństwo diecezjalne i zakonne, rektorzy wyższych uczelni Wrocławia i Opola, generałowie WP oraz rodzina księdza kardynała.

Najdostojniejszy Jubilate – wrocławscy lwowiacy i kresowianie składają Ci gratulacje i z serca płynące życzenia: Daj Ci Boży dużo, dużo zdrowia i błogosławieństw. Ad multos annos!

Koleżeński zjazd tarnopolan

To już XIX zjazd b. mieszkańców Tarnopola. Tym razem odbył się w ośrodku wczasowym „Jodla” w miejscowości Sola w Beskidach, a organizatorem był Krakowski Klub Tarnopolan. Uczestniczyli w nim honorowi goście z Tarnopola – ks. Andrzej Maliga, panie Irena Berg, Lubomyra Bojcum i Aniela Patamar oraz kapelan tarnopolan ks. Józef Marfiany.

Goście opowiedzieli o życiu Polaków na ziemi tarnopolskiej, polskim szkolnictwie i harcerstwie w tym mieście, a dawni tarnopolanie mieszkający w Polsce zapoznali ich z działalnością Klubów Tarnopolan w Krakowie, Opolu, Warszawie i Żarach. Zaprezentowali zjazdowym gościom książki o tematyce kresowej i pamiątki uratowane z rodzinnych domów. W rodzinne strony wybierają się z wycieczką członkowie Opolskiego Klubu Tarnopolan.

... i stanisławowian

W ostatnią niedzielę września odbyło się tradycyjne, kolejne spotkanie b. mieszkańców ziemi stanisławowskiej, organizowane przez wrocławski Klub Stanisławowian TMLiKPW. Po okolicznościowej Mszy św. w Katedrze uczestniczący w niej zebrali się w bocznej nawie pod tablicą pamięci zamordowanych, zaginionych, zmarłych w łagrach i na nieludzkiej ziemi mieszkańców ziemi stanisławowskiej podczas II wojny światowej i

wspólnie z kapłanem odmówili modlitwę oraz zapalili znicze. Potem udali się na spotkanie towarzyskie, na które zaprosił prezes wrocławskiego Klubu Stanisławowian, Marian Ziobrowski.

Niestety, tym razem frekwencja nie dopisała, bo to była niedziela wyborcza, a warszawscy i krakowscy stanisławowianie dopiero co powrócili z wycieczek na Kresy i chyba nie mieli jeszcze siły, by wybrać się do Wrocławia. Wraz z wrocławskimi stanisławowianami było ogółem ok. 20 osób i spotkanie szybko się skończyło. Najbardziej rozczerawany był p. Tadeusz Ulrych, który – via Kraków – przyleciał aż z Londynu. Na „pocieszenie” wręczyłem mu najnowsze numery „Semper Fidelis”, w których ukazały się jego powojenne wspomnienia. Ucieszył się, pokaże polonusom-kresowiakom w Anglii.

Może w przyszłym roku będzie nas więcej...

8 września 1945 roku...

... w zdruzgotanym wojną Wrocławiu, ale ocalałym zrządzeniem losu budynku b. teatru miejskiego, odbyła się pierwsza polska premiera polskiej opery „Halka” St. Moniuszki. Podjął się jej wystawienia w mieście, które wróciło po wiekach do Polski, Stanisław Drabik, wybitny tenor operowy z Krakowa. Rolę Hanki powierzył Franciszce Platównie, przedwojennej primadonnie Teatru Wielkiego w Warszawie, chór pożyczył z Opery Bytomskiej (w którym śpiewało wielu lwowiaków), grała niemiecko-polska orkiestra symfoniczna, a niemieccy tancerze, nauczani przez polskiego baletmistrza, tańczyli poloneza, mazura i tańców góralskich. Całość reżyserował i śpiewał rolę Jontka sam St. Drabik.

Wojciech Dzieduszycki, śpiewak Opery Lwowskiej, który wracał z obozu koncentracyjnego, szczęśliwie ocalały, do ojczyzny i był wtedy we Wrocławiu na inauguracji sezonu operowego w polskim Wrocławiu, tak ją wspomina:

„Atmosfera w przepelnionej do ostatniego miejsca stojącego sali była niezwykle uroczysta. Na widowni – a nawet w kuluarach, do których otwarto drzwi, aby jak najwięcej słuchaczy mogło uczestniczyć w tym niezwykle, historycznym wieczorze – widzowie w mundurach, pasiakach obozowych, w garniturach podróżnych i, kto miał wówczas we Wrocławiu wieczorowy strój, w smokingach, a nawet we frakach. Wszyscy skupieni, głęboko przeżywający tę niezwykle chwilę – premierę polskiej opery w polskim Wrocławiu. (...) Trudno sobie wyobrazić uczucia, jakie nas wówczas nurtowały. Wzruszenie osiągnęło punkt kulminacyjny, gdy przed uwerturą zabrzmiał hymn państwowy i Stanisław Drabik już w kostiumie Jontka wygłosił przed kurtyną patriotyczne przemówienie inaugurujące sezon operowy”.

Po 60 latach 8 września 2005 r., w tym samym budynku Opery Wrocławskiej, ale piękniejszym wewnątrz i zewnątrz, po generalnym remoncie, odbyła się kolejna, już dwunasta we Wrocławiu, premiera „Halki” w inscenizacji i reżyserii Laco Adamika w międzynarodowej obsadzie. W roli Hanki wystąpiła Tatiana Borodina, rolę Jontka miał śpiewać Oleg Balashov, ale w ostatniej chwili zastąpił go Oleg Lykna ze Lwowa. Opera była pięknie zagrana (dyr. Ewa Michnik), pięknie śpiewana, fantastycznie zatańczona (choreograf Irina Mazur), ale...

To już nie była tamta, tradycyjna „Halka”, w narodowej scenarii, lecz współczesna, w nowoczesnej in-

scenizacji, tańcach, choreografii. Nie wzbudziła takiego zachwytu i emocji (z wyjątkiem tańców), jak 60 lat temu. Wówczas „Halka”, Opera Wrocławska przypomniała wrocławianom, w większości lwowiakom Operę Lwowską i ich rodzinne miasto utracone niesprawiedliwym wyrokiem historii. Ta „Halka” była kolejną, dwunastą wystawioną po wojnie we Wrocławiu i nie taka, jaką znaliśmy i pamiętamy. Wśród honorowych widzów był Wojciech hr. Dzieduszycki, świadek tamtej pamiętnej premiery w 1945 roku. Nie widziałem na Jego twarzy zachwytu...

E. Chmielowa ponownie szefową FOPNu

Odbyła się druga tura IV Sejmiku Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, przerwanej po burzliwych obradach w marcu br. Został zatwierdzony nowy statut z korektami i poprawkami, po raz kolejny prezesem Federacji została Emilia Chmielowa. Zastrzeżenie niektórych uczestników Sejmiku budziło wybranie do Zarządu FOPNu osób, które nie są prezesami żadnych polskich organizacji, albo reprezentujące kilkunastoosobową grupę osób lub prywatny zespół taneczny. Wśród polskich działaczy dojrzała przekonanie o potrzebie stworzenia jednej silnej organizacji, która by wszystkich Polaków na Ukrainie reprezentowała i łączyła.

Kresowianie w „10” Wrocławian Naszych Czasów

W plebiscycie wrocławskiej „Gazety Wyborczej” czytelnicy wybrali 10 najznakomitszych wrocławian ostatniego 60-lecia. Znalazło się w niej 3 kresowian: wilnianin ks. Henryk kardynał Gulbinowicz, b. Metropolita Wrocławski, hr. Wojciech Dzieduszycki – senior dolnośląskich kresowian, ale wciąż aktywny animator kultury, krytyk muzyczny oraz nieżyjący już lwowiak Andrzej Waligórski – dziennikarz radiowy, twórca słynnego kabaretu „Elita”.

Wrocławianie nie zapomnieli ich.

X Zjazd Klubu pod Baobabem

Po zdradzieckiej napaści ZSRR na Polskę w 1939 r. do sowieckich łagrów i więzień wywieziono z Kresów ok. półtora miliona Polaków. W 1941 r. na mocy układu zawartego przez gen. Wł. Sikorskiego z władzami ZSRR, Polacy zostali zwolnieni z zesłania (nie wszędzie) i ruszyli do miejsc formowania się Armii Polskiej pod dowództwem gen. Wł. Andersa. Wraz z nią zostało ewakuowanych z ZSRR 18 tys. cywilów, głównie kobiet i dzieci, które trafiły do brytyjskich kolonii w Afryce. Stworzono tam 22 polskie osiedla, w niektórych mieszkali wyłącznie sieroty.

Po wojnie do Polski wróciło ok. 3,5 tys., w tym wiele na Dolny Śląsk, większość rozproszyła się po świecie. W 1989 r. we Wrocławiu powstał „Klub Pod Baobabem”, zrzeszający kilkadziesiąt polskich dzieci wychowanych w Afryce. We wrześniu br. nad Odrę zjechało z całego świata na jubileuszowy zjazd Klubu ponad 150 osób z Polski i całego świata – aby wspominać afrykańskie lata.

„Pro Memoria”

Za zasługi w utrwalaniu pamięci o ludziach i ich czynach w walce o niepodległość Polski podczas II wojny światowej i po jej zakończeniu medalami „Pro Memoria” zostało odznaczonych pięciu członków Zarządu

du Głównego TMLiKPW: prezes **Andrzej Kaminski**, **Andrzej Chlipalski** – redaktor naczelny kwartalnika „Cracovia Leopoldis”, **Andrzej Michniewski** – prezes Oddziału Towarzystwa w Zabrzu, **Tadeusz Radomański** – wiceprezes Oddziału Towarzystwa w Lublinie i **Zbigniew Umański** – rzecznik prasowy TMLiKPW, kronikarz kresowy „Semper Fidelis”.

Wyróżnienia te przyznał Urząd d/s Kombatantów i Osób Represjonowanych w Warszawie na wniosek Zarządu Krajowego Niezależnego Ruchu Kombatantów Armii Krajowej.

Pamięci profesorów lwowskich

Absolwenci 20. rocznika wrocławskiej Akademii Medycznej z 1970 r. obchodzący w tym roku 35-lecie uzyskania dyplomu zapalili znicze i złożyli kwiaty przy symbolicznym grobie pomordowanych profesorów lwowskich – urnie z ziemią ze Wzgórz Wuleckich w holu Nowej Akademii Medycznej we Wrocławiu.

Mieszkańcy Oleśnicy i pracownicy wrocławskiej Akademii Medycznej złożyli kwiaty pod tablicą odsłoniętą w 1967 r. na budynku apteki „Pod Orłem” (z inspiracji zmarłego 10 lat temu prof. dr. hab. Tadeusza Owińskiego) ku czci urodzonego w Oleśnicy 31 maja 1882 r. prof. dr. Antoniego Cieszyńskiego – twórcy nowoczesnej stomatologii polskiej, zamordowanego we Lwowie 4 lipca 1941 r.

...ks. J. Popławskiego i J. Michotka

W trzecią rocznicę śmierci kapelana kresowian, prezesa Stołecznego Oddziału TMLiKPW śp. Janusza Popławskiego odprawiono Mszę św. w kaplicy Zakładu dla Ociemniałych w Laskach k. Warszawy, gdzie zmarły spędził ostatnie lata życia. W koncelebrze uczestniczył Jego bratanek, ks. Jarosław Popławski. Po mszy zgromadzeni na niej przyjaciele, członkowie TMLiKPW udali się na grób śp. księdza Janusza, złożyli wieńce i kwiaty, zapalili znicze i odmówili wspólnie modlitwę za duszę nieodżałowanego kapelana TMLiKPW.

Potem udali się na cmentarz kościelny w Laskach, gdzie spoczywa Jerzy Michotek – bard kresowy i złożyli na Jego grobie kwiaty i zapalili znicze. Uczestniczyła żona Zmarłego.

Zarząd Główny TMLiKPW, którego śp. ks. Janusz Popławski był członkiem przez kilka kadencji, także pamiętał o kolejnej rocznicy Jego śmierci. W imieniu ZG TMLiKPW odwiedziłem Jego miejsce wiecznego spoczynku w Laskach, złożyłem kwiaty i zapaliłem znicze pamięci. Byłem również na cmentarzu, gdzie pochowany jest Jerzy Michotek, by oddać mu hołd pamięci.

Nie rehabilitować OUN-UPA!

Komitet Weteranów Wojny Rady Organizacji Weteranów Ukrainy zwrócił się w oświadczeniu do prezydenta W. Juszczeki, przewodniczącego Najwyższej Rady W. Łytwy na i premiera Ukrainy ze stanowczym protestem przeciwko jakimkolwiek formom bezprawnej rehabilitacji OUN-UPA i przyznanie jego wojakom praw kombatanckich. Oświadczenie przypomina, że z ich rąk zginęło ponad 120 tys. Polaków, 40 tys. Ukraińców, Rosjan, Żydów i innych narodowości. Międzynarodowa Federacja Kombatantów II Wojny Światowej nie przyjęła w swoje szeregi organizacji byłych członków UPA. Prawo międzynarodowe daje Ukrainie podstawę, by wojałów UPA i kierownictwo OUN uznać za zbrodniarzy,

a ich działalność za zbrodnie przeciw ludzkości. Rada Weteranów uważa także, że brak jest podstaw do działań zmierzających do tzw. „pojednania” weteranów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej z byłymi wojakami OUN-UPA. Kresowianie podpisują się pod tym oświadczeniem ukraińskich weteranów.

Plenery malarskie we Lwowie i Karpaczu

Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” zorganizowała we Lwowie w dniach 15-21 sierpnia br. kolejny plener malarski „Lwów 2005” z udziałem 5 artystów z Wrocławia i 8 z kręgu Lwowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Tematem wiodącym była architektura starego Lwowa. Patronat nad plenerem objął Konsulat Generalny RP we Lwowie, zaś mecenat kolejny raz sprawował Urząd Miejski Wrocławia. Kuratorami byli Jerzy Tandecki z Fundacji Kresowej „SF” oraz Mieczysław Małowski, prezes Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych we Lwowie.

Plener „Lwów 2005” zakończył się uroczystym wernisażem, w którym uczestniczyli minister kultury RP Waldemar Dąbrowski, konsul generalny RP we Lwowie ambasador Wiesław Osuchowski, warszawski lwowiak Jerzy Janicki. Gośćmi wernisażu byli także studenci Architektury Politechniki Wrocławskiej, którzy przebywali we Lwowie na plenerze uczelnianym. Wysoko oceniono prace artystów uczestniczących w plenerze „Lwów 2005”. – Bo to miasto inspiruje, jest niezwykle malownicze – twierdzą twórcy.

Konsul Wiesław Osuchowski zadeklarował większą pomoc przy organizowaniu pleneru w przyszłym roku.

W dniach 19-26 września br. w Karpaczu odbył się trzeci plener malarski „Lwów-Karpacz 2005” z udziałem artystów ze Lwowa, Wrocławia i Karpacza, organizowany przez Fundację Kresową „Semper Fidelis”. Plener sfinansował Senat RP. Obrazy, które powstały w Karpaczu ukazują piękno górskiego krajobrazu. Te i z pleneru lwowskiego są prezentowane we wrocławskim Ossolineum, a na początku grudnia br. zostaną wystawione i sprzedane na aukcji charytatywnej, z której dochód zasilą Fundusz Pomocy Świątecznej dla Rodaków na Kresach.

Plenery malarskie organizowane przez Fundację Kresową „SF” integrują środowiska artystyczne Lwowa i Wrocławia (miast partnerskich) oraz Karpacza. Umożliwiają wymianę doświadczeń twórczych, artyści inspirowali się wzajemnie, urządzają wspólne wystawy.

Prace magisterskie o TMLiKPW

Dowiedzieliśmy się o drugiej pracy magisterskiej o TMLiKPW, oprócz napisanej i obronionej na Uniwersytecie Wrocławskim przez mgr. Marka Jezierskiego – jest nią praca mgr. Beaty Wiecha-Gwoźdeckiej pt. „TMLiKPW w Kluczborku (próba monografii)”, napisanej pod kierunkiem dr. Ludwika Kozołuda i obroniona w 1999 r. na Wydziale Historyczno-Pedagogicznym Uniwersytetu Opolskiego. Głównym celem tej pracy, wynikającym z zainteresowań autorki historią i kulturą Kresów, była próba zaprezentowania 10-letniej działalności Towarzystwa w Kluczborku i roli jaką pełni w lokalnym środowisku. Jak dowiedzieliśmy się – w pełni oddająca tę działalność, szczególnie poszczególnych członków,

którzy wydatnie dopomogli piszącej w zebraniu materiałów i w dopracowaniu tematu. Gratulujemy.

Zainteresowanych tą pracą magisterską odsyłamy do prezesa Oddziału TMLiKPW w Kluczborku Henryka Jarowickiego, ul. Damrota 29/4, tel. (077) 418-14-46, który umożliwi osobisty kontakt z mgr. Beatą Gwoźdecką.

Zachęcamy studentów uczelni wrocławskich i opolskich do podejmowania tematów o działalności TMLiKPW, szczególnie na ziemiach zachodnich.

„Jestem Polką-lwówianką”...

...oświadczyła Włada Majewska odbierając Diamentowy Mikrofon przyznany jej z okazji 80-lecia Polskiego Radia. Już jako 18-letnia studentka Prawa na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie została w 1931 r. przyjęta, w charakterze parodystki, do Rozgłośni PR Lwów i zaczęła występować w „Lwowskiej Fali”. Potem dzieliła z nią losy PR i przez Rumunię, Francję dotarła do Anglii. Po wojnie występowała w Londynie i w środowiskach polonijnych, a także w „Wolnej Europie”.

Gratulujemy londyńskiej lwówiance wyróżnienia.

Wspaniałe wakacje!

18 polskich dzieci, pochodzących z Jezierzan i Borszczowa w woj. tarnopolskim na Ukrainie spędziło wakacje w Ruszowie na zachodzie Polski. Gospodarze zapewnili im pobyt w pensjonacie „Dako” i b. atrakcyjny program pobytu. Dzieci, którym towarzyszyło czterech opiekunów odwiedziły Szklarską Porębę, Karpacz, a w nim kościół Wang, Muzeum Zabawek i Miasteczko Wester City. Zwiedziły Zamek Czocha, kąpały się w polkowickim aquaparku. Pojechały z uczniami ruszowskiego gimnazjum do Wrocławia – były w Ratuszu, Katedrze i ZOO. Uczyły się jazdy konnej w szkółce jeździeckiej; gościło ich Nadleśnictwo pokazując im rezerwat bobrów i inne ciekawostki Puszczy Zgorzeleckiej. Oczywiście odwiedzili także Muzeum Kresowe w Węglińcu.

Ostatni dzień pobytu w Ruszowie był „dniem tańców, śpiewu, zabawy” przy wspólnym ognisku z miejscowymi dziećmi, a gościem był burmistrz A. Kutrowski. Wakacyjni goście odjeżdżali z żalem z Ruszowa. Na drogę każde dziecko otrzymało paczkę żywnościową, a także przybory szkolne i inne rzeczy zebrane przez mieszkańców Ruszowa. Będą mile wspominali wakacje 2005 w Polsce.

Stuletni lwowiak!

Setne urodziny świętował 11 września br. wrocławianin Antoni Wróblewski. Urodził się we Lwowie, po wojnie ekspatriowany z rodzinnego miasta, jak wielu kresowian, trafił do Wrocławia. Tu poznał drugą małżonkę (z pierwszą pobrał się jeszcze we Lwowie i przeżył z nią 35 lat), doczekał się dwóch córek, dwóch wnuczek, troje prawnucząt i dwie prawnuczki.

– W całym swoim życiu był tylko dwa razy w szpitalu: kiedy się urodził i gdy kilkanaście lat temu miał kłopoty z sercem – wspomina wnuczka Anna Fiodor. Wszelkie infekcje leczy czosnkiem i mlekiem. Nie pali, unika kawy, od czasu do czasu pije alkohol. Jego recepta na długowieczność: mleko i ciemne pieczywo. – Tato uwielbia muzykę, gra na akordeonie, jeszcze niedawno jeździł na rowerze – powiedziała Jego córka

Maria Gordecka. Niedawno śniło mu się, że dożyje 128 lat!

Życzymy spełnienia się tego snu, panie Andrzejul

Co zbiera Jerzy Janicki?

Jerzy Janicki – znany pisarz, scenarzysta, a przede wszystkim lwowiak, honorowy prezes Stołecznego Oddziału TMLiKPW nie jest typowym kolekcjonerem – jak sam przyznaje – ale zbiera od lat wszystko, co tematycznie związane jest ze Lwowem, czyli leopoliana: książki, czasopisma, dokumenty, zdjęcia, banknoty, przedmioty różnego pochodzenia i przeznaczenia, pamiątki rodzinne ofiarowane przez przyjaciół, kupione na targach staroci itp.

Najstarszym wśród leopolianów Janickiego jest rozporządzenie austriackiego zaborcy z 1782 r., najliczniejszy jest zbiór ponad 2 tys. lwowskich pocztówek, najbardziej zaś patriotyczną częścią zbiorów jest kolekcja medali i odznak związana z obroną Lwowa w 1918 r. i Orłętami. Największa natomiast rozmiarom i wagą jest XIX-wieczna stara kasa z korbką z zakładu fotograficznego jego dziadka na ul. Sykstuskiej, róg Legionów, którą pomógł mu ją wywieźć ze Lwowa w 1945 r. – Dlaczego ciężką nieporęczną kasę żeliwną, a nie jakieś bardziej przydatne rzeczy potrzebne przesiedleńcom? – pytał J. Janickiego dziennikarza z „Polityki”. – Ponieważ dziadek był pewien, że za miesiąc wrócimy do Lwowa...

Tak myślało wówczas wielu lwowiaków. Niestety, nie wrócili. Tabliczka z napisem „Łyczakowskie 84 a”, przytwierdzona na drzwiach warszawskiego mieszkania Jerzego Janickiego, ma Jemu przypominać adres lwowskiej kamienicy, która była własnością dziadka i w której mieszkał do ekspatriacji ze Lwowa.

Za mienie pozostawione na Kresach

Weszła w życie w sierpniu tego roku ustawa (Dz. U. nr 169, poz. 1412), która określa zasady, na jakich realizowane będzie prawo do rekompensaty za pozostawione nieruchomości poza granicami RP. Chodzi tu o wypędzenia z byłego terytorium RP, lub jego opuszczenie w czasie wojny rozpoczętej w 1939 r. Prawo do rekompensaty przysługuje właścicielowi nieruchomości

pozostawionych poza obecnymi granicami Polski, jeśli spełnia on łącznie następujące wymogi: 1 września 1939 r. był obywatelem polskim, zamieszkiwał w tym dniu na byłym terytorium RP i opuścił je z przyczyn podanych powyżej (wypędzenie, opuszczenie w związku z wojną) oraz ma obywatelstwo polskie. Prawo do rekompensaty jest niezbywalne. Potwierdza je decyzja wojewody na wniosek osoby ubiegającej się (właściciel, współwłaściciel, spadkobierca, lub wskazana osoba uprawniona), złożony nie później niż do 31 grudnia 2008 r. Szczegóły zainteresowani znajdą w ww. ustawie.

Prosi o podzielenie się wspomnieniami

Studentka Historii Kościoła Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie, pisząca pracę magisterską pt. „Parafia Katedralna obrządku łacińskiego we Lwowie w latach 1939-1946”, gorąco prosi wszystkie osoby mogące podzielić się wspomnieniami z tego okresu o pomoc. Zgłoszenia proszę przysyłać na adres:

Monika Bednarz, ul. Spółdzielców 17/21, 30-682 KRAKÓW, tel. 012 655 15 32.

Więści ze Lwowa

● W Rzędnej, dzielnicy Lwowa, został konsekrowany we wrześniu nowozbudowany kościół rzymskokatolicki pw. Miłosierdzia Bożego.

● Zamknięto centrum miasta dla ruchu samochodowego, bo trwa remont drogi od ul. Doroszenki do Rynku. Ma być zakończony do połowy listopada.

● 750. rocznicę powstania Lwowa będzie obchodzić miasto w przyszłym roku. Do tego czasu ma być podane remontowi 37 obiektów miejskich.

● Nową salę koncertową otrzyma Lwów. Prace budowlane na rogu ulic Lipińskiego i Czarnowoda mają rozpocząć się w przyszłym roku.

● Car Piotr I, aktor Chaplin, prezydent Putin i inne postacie z wosku są od września atrakcją w Lwowskim Muzeum Historycznym.

KRONIKARZ KRESOWY

prymus, podręczne naczynia i sztucce, a z boku w kieszeni pieniądze (owe 1000 złotych) oraz dokumenty, a raczej jeden dokument, a mianowicie „kartę repatriacyjną” zawierającą wszystkie dane o nas i naszej „pozostawionej dobrowolnie” parceli z dwoma domami.

Po przygotowaniu do wyjazdu, Mama zmówiła modlitwę i siedzieliśmy być może po raz ostatni przed domem, oczekując samochodu.

Nasi sąsiedzi (a faktycznie to byli nasi lokatorzy!), pp. Orzejewscy, jakby się wstydząc tego, że oni zostają, a my musimy wyjechać, siedzieli w swoim mieszkaniu, nie wyściubiając nosa. Nawet oba psy, Ami i jej szczeniaka, które po nas „dziedziczyli”, też mieli zamknięte w mieszkaniu.

Około 10 przyjechał samochód ciężarowy marki ZiS-5 z kilku żołnierzami, którzy bardzo sprawnie na naszych (jeszcze) taczkach dotransportowali skrzynie do stojącego na chodniku przed bramą samochodu. Załadowali ten cały nasz „majątek” na platformę (skrzynia ładunkowa)

wa) i powiedzieli, że oni teraz sobie zapalą (papierosy), a my mamy jeszcze pięć minut na pożegnanie się z sąsiadami.

Wyszli wtedy pp. Orzejewscy, ale bez Kasi, która była w pracy i już rano pożegnała się z nami, oboje zapłakani, obiecywali jak długo się da, pilnować obu domów i ogrodu, dbać o pieski i życzyli nam spokoju, i opieki boskiej w czasie podróży, i na samym już docelowym miejscu. Prosilili o listy, sami obiecując, że Kasia będzie do nas pisała.

Tato i ja oraz żołnierze, wsiedliśmy na platformę, natomiast Mamę kierowca poprosił do kabiny – gentleman (psia mu mać była!).

Już mieliśmy ruszać, gdy z mieszkania pp. Orzejewskich wybiegła Ami, dopadła bramy, a widząc, że jest zamknięta, zaczęła strasznie szczeleć, a potem usiadła i zawyla. Wyła jakby ktoś umarł, dobiegł do niej pozostawiony szczeniak i też zaczął popiskiwac, kierowca zapuścił silnik, który zagłuszył psie wycie i ruszył w dół Łyczakowską.

Spojrzałem na Tatę, siedział sztywno na jednej ze skrzyń z opuszczoną głową, twarzą wykręconą bólem, ze wzrokiem wbitym w podłogę, przez małe okienko w kabinie kierowcy zobaczyłem jak Mama zasłania oczy, a z pomiędzy palców płyną łzy. Żołnierze milczeli, a jeden z nich nawet usiłował namówić Tatę, aby zapalił papierosa, bo to podobno pomaga.

Jechaliśmy najkrótszą drogą, prawie że pokrywającą się z trasą „jedynki”; ulicami: Łyczakowską, Czarnieckiego, Podwalem, Ruską, przez Rynek, Pl. Kapitulny, ul. Kilińskiego, Wały Hetmańskie i w górę ul. Sykstuskiej. Leona Sapiehy, Gródecka i Al. Focha. Objechaliśmy dookoła Pl. Wilsona, aby ponownie Al. Focha wjechać na Dworzec Czerniowiecki, który był niczym innym jak długimi, ciągnącymi się setki metrów magazynami i „wolnymi torami”, po obu stronach wysokiej rampy.

Podjechaliśmy do grupy ludzi, którzy już wcześniej zostali przywiezieni i uzyskaliśmy informację, że musimy znaleźć kierownika transportu, który wskaże w którym to miejscu należy złożyć cały nasz „majątek” zawarty w skrzyniach.

Wspomniany znalazł się jak na zawołanie, wg listy ustalił numer naszego wagonu (19) i wskazał to miejsce, gdzie winniśmy złożyć skrzynie. Tato licząc się z tym, że możemy sobie „poczekać” na podstawienie wagonów, zaraz ustawił odpowiednio skrzynie, dolną warstwę jako prostokąt, górną w kształcie litery „U”, pokrywając to wszystko kilku solidnymi deskami i kilku arkuszami blachy, zabranymi z domu. Na dolne skrzynie położyliśmy jeden z kilimów (ten ze saloniku – jasny), który służył nam za „legowisko”, natomiast drugi (ten ze sypialni) zawiesiliśmy jako zasłonę, było więc trochę „ciasnowato”, ale ciepło i przytulnie.

Jak ten wynalazek Taty za kilka dni nam się przydał! Oj, kiepsko by było, gdyby nie On (dotyczy to Taty i wynalazku).

Po zabezpieczeniu skrzyń, zostałem z Mamą, a Tato, jak się wyraził, musiał jeszcze okiem rzucić po raz ostatni na swoją ojcowiznę. Wziął od Mamy kilka „szóstaków” na tramwaj i poszedł. Wrócił po trzech godzinach, kompletnie załamany, nie odezwał się do nas ani słowa, po raz pierwszy i ostatni widziałem płaczącego Ojca. Dotarło niestety do jego świadomości, że musi

to wszystko zostawić, tę ojcowiznę, na którą nie raz narzekał, bo to mur pękł, a to woda zamarzała, to znowu ściana się przewracała (od komórki, a nie domu!), ale zawsze mieszkał u siebie, nikomu nie musiał się w pas kłaniać. Zrozumiał, że oto przychodzi mu opuścić rodzinne miasto, w którym przeżył szmat czasu, bo ponad 47 lat, o które trzykrotnie walczył, a które to miasto było jego Miastem!

Całą noc przesiedzieliśmy na skrzyniach, obok inni palili ogniska, ale nie widać było oznak radości, związanej z „powrotem” do Ojczyzny. Każdy patrzył w płomień, jakby chciał spalić trapiące go myśli, gdyż wiedział co traci, a przed każdym stało niewiadome. Ciche rozmowy, płacz zasypiających dzieci, a w dali odgłosy dochodzące z miasta; podzwanianie tramwajów, zgrzyt ich kół trących o szyny na pętli na Pl. Wilsona lub na zakrętach przy Gródeckiej, czy Pl. Bilczewskiego, mieszały się ze stukotem przejeżdżających pociągów na niedalekim Dworcu Głównym.

Pomału dopalały się ogniska, ludzie siedzący zasypiali, już bez nadziei, że nowy dzień przyniesie coś radosnego. Jeszcze przyszli spóźnialscy, którzy wrócili z miasta ostatnim tramwajem, gdzieś daleko zawył pies i nad całym Dworcem Czerniowieckim zapanowała cisza.

Wschodził księżyc, ogromny, czerwony, jakby krwią obłany „lwowski Maciek”, który swą okrągłą, „fafułąstą facjatę” zwrócił w naszą stronę, jakby się dziwiąc, dlaczego ten durnowaty naród, mający swoje mieszkania i chałupy w mieście, jak ostatni nędzarze „pomieszkują na rampie kulejowej”?

I miał rację, jak ostatni nędzarze, którzy stracili wszystko co im było najdroższe, którym zabrano ustabilizowane i spokojne życie, skazując na poniewierkę i niepewność.

Po północy nadciągnęła jesienna mgła, zasnuwając wszystko i wszystkich swym welonem, jak śmiertelnym całunem. Panowała niczym niezmacona cisza, a jeżeli ktoś nie spał, to zatopiony był w swych myślach, bezsilny i bezwolny.

Ja, okryty przez Mamę kocykiem, zasypiałem, budziłem się i znowu zasypiałem, nie wiedząc, czy to sen, czy jawa. Czy śniło mi się, że jestem we własnym łóżku, a jeżeli tak, to dlaczego siedzę, a nie leżę, czy też to moje siedzenie na skrzyniach jest właśnie złym snem? Budziłem się, ale zły sen nie mijał, trwał nadal i to na jawie. Sceneria przypominająca oglądane na rycinach slumsy biedoty murzyńskiej, w poświacie księżycowej błyszczwały, mokre od opadającej mgły, byle jak sklejone blaszane daszki, jakieś ni to płachty namiotowe, a w głębi tych sztucznie stworzonych nisz, skulone postacie ludzkie. Gdzieś niegdzie słabym żarem tlił się papieros, który momentami oświeślał twarz palącego: surową, skupioną, bolesną.

Na wschodzie jakby pojaśniało, brzask zwiastował zbliżanie się świtu, a z nim nowego dnia, który wg zapewnień kierownika transportu, miał być ostatnim dniem naszego pobytu we Lwowie, gdyż o trzeciej po południu miały być podstawione wagony, do których mieliśmy się ładować.

Ludzie zaczęli się krzątać przy swoich „willach”, jedni rozpalali ogniska by zagotować wodę na herbatę, inni nastawiali „prymusy”, jak nasza Mama, gdyż był to najwygodniejszy sposób ugotowania czegokolwiek.

Janusz Ragankiewicz

Wypędzeni (I)

Długo się zastanawiałem, jak rozpocząć ten rozdział, jak zawodnik przed konkurencją, tuż przed startem, krąży, przygotowuje się, tak i ja układałem sobie w głowie opis tego dnia, który zapamiętałem na całe życie, dnia naszego wyjazdu z domu, bo wyjazd ze Lwowa nastąpił dnia następnego.

Rano wraz z Rodzicami zapakowaliśmy naszą pościel, przybory toaletowe i pobiegłem jeszcze po chleb na drogę. Mama w termosy zrobiła herbatę, natomiast Tato zamykał skrzynie. Trochę to było podobne do zamykania wiek przy trumnach, bo też i nastrój był pogrzebowy.

Skrzyń było jedenaście, a dwunasta, to zamykany na potężną kłódkę kufer, zawierający jedzenie na drogę,

Po śniadaniu, Tato jeszcze raz sprawdził, czy którakolwiek ze skrzyń nie uległa uszkodzeniu podczas transportu. Mama przeprowadziła „inspekcję” zawartości naszego kuferka i na tym skończyły się logiczne czynności, a pozostało szukanie sobie jakiegoś zajęcia lub bezmyślne oczekiwanie na to, co miało nastąpić. Oboje rodzice wybrali to pierwsze, natomiast ja poszedłem popatrzeć trochę na ludzi, z którymi „los” przeznaczył nam jechać na wspólną poniewierkę.

I o dziwo, przeszedłem dwukrotnie całą rampę, przyglądałem się siedzącym tam ludziom i nie znalazłem nikogo znajomego, no, jedyny wyjątek to rodzina pp. Jaworków, ale jacy tam oni nasi znajomi, czasem kupowaliśmy u nich w sklepiu przy piekarni chleb lub bułki. Nawet mnie nie poznali, czemu się nie dziwię, bo wszyscy, nie tylko pp. Jaworkowie, mieli zapuchnięte oczy, a wzrok wbity w ziemię.

Jedyny w swoim rodzaju obraz nędzy i rozpacz, nigdy dotąd nie namalowany przez najlepszych mistrzów pędzla.

Słońce rozpędziło nocno-poranne mgły, oświetliło to ludzkie zbiorowisko, zapowiadał się ciepły, słoneczny dzień.

Nikt ze zgromadzonych tutaj nie oddał się do miasta, gdyż jak niosła plotka, wagony miały być podstawione w każdej chwili. Rozpoczęły się natomiast odwiedziny tych którzy pozostawali na razie we Lwowie, byli to więc krewni, powinowaci, sąsiedzi i znajomi tych tutaj koczujących. Ciche rozmowy, ponowne płacze, utyskiwanie na „sobaczy los” i płynące ze szczerzego serca życzenia dla naszych „wyzwolicielei”, które, gdyby w 10% dobry Bóg spełnił, to tereny zamieszkałe przez ludność radziecką, kompletnie wyludniłyby się. Mało im było swego, mieli kolosalne połacie terenów, gdzie prawie że stopa ludzka nie stanęła, nie mówiąc już o zaludnieniu lub zagospodarowaniu, nie, oni musieli zabierać nasze, bez względu na to, czy mają ku temu prawo, czy też nie. Podobno zwycięzcy nikt nie pyta, jakim prawem to czyni, a oni uznawali się za takowych, a więc byli ponad wszelkim prawem!

Koło południa kierownik transportu potwierdził wcześniejszy podany termin podstawienia wagonów, więc wszyscy zabrali się do gotowania obiadu, ostatniego posiłku we Lwowie. Mama ugotowała makaron, okrasila gulaszem z konserwy „unrowskiej” (horse meet), do tego kwaszony ogórek i po kilka śliwek na deser. Tato poszedł jeszcze po wodę, by nasz zapas na drogę pozostał nienaruszony.

O pół do trzeciej odwiedził nas, nasz dawny sublokator, a obecny właściciel, przepraszam, u bolszewików nie było właścicieli, więc umownie nazwę go gospodarzem. Przyszedł w paradnym (galowym) mundurze, ze wszystkimi odznaczeniami (a miał tych wisiorów – „mnóstwo za bardzo” – jak powiedziałby Kali), aby się z nami pożegnać. Przybycie jego wywołało pewnego rodzaju zdziwienie u ludzi, a konsternację u moich rodziców. No bo jak można wytłumaczyć wypędzonym, że jeden z wypędzających, to porządny człowiek, a do tego prokurator. Przecież jedno wykluczało drugie!

I nie wiem, jak rodzice wybrnęliby z tej dosyć kłopotliwej sytuacji, gdyby nagle nie gruchnął, jak wystrzał z armaty, okrzyk: „idą wagony”!

Powoli wtaczały się jednocześnie dwa sznury wagonów, po obu torach okalających rampę, brudne i ponure „węglarki”, a więc odkryte, bez zadaszenia. Zatrzymały się i... nikt się nie ruszył, wszyscy stali oniemieli, porażeni świadomością, że to już, że dopełniła się miara goryczy, że nie ma już odwołania, że zerwała się cieniusiańka nić nadziei, że może jednak odwołają, że kogoś tak „wysoko” ruszy sumienie.

Och, wy marzyciele, – biedny narodzie lwowski, czy lata obu sowieckich okupacji niczego was jeszcze nie nauczyły, nie odarły was jeszcze ze złudzeń?

Oni i sumienie?!

Wreszcie ktoś coś krzyknął, tłum zafalował, rozległ się stukot siekier, czy młotków, którymi pomagano sobie w otwieraniu zasuw drzwi, skrzypnęły dziesiątki zawiasów i ukazały się w pełnej krasie wnętrza wagonów, którymi mieliśmy wyjechać, tfu, którymi miano nas wywieźć.

Ciągłe mi się płaczą pojęcia wyjechać i wywieźć, wszak wyjeżdża się wagonem osobowym, autobusem, czy samochodem osobowym, prawda? – natomiast w węglarkach, to jest się wywożonym!

Wagon oznaczony „19” wypisaną kredą na drzwiach, zatrzymał się na wprost nas, podejrzywam, że ustawiając nas ze skrzyniami, z góry było ustalone, w jakiej odległości będą drzwi od kolejnych wagonów i tak też kierownik transportu przydzielał miejsca na rampie, „fachowiec” – psia mu mać! „Nasz” wagon o dziwo był czysty, ale po sąsiedztwie zauważyłem wznoszące się kłęby kurzu, jak biały, to po wapnie, jak szary to po węglu, bowiem szczotkami i miotłami robiono tam porządk.

Rozpoczął się załadunek, wszyscy sobie nawzajem nagle zaczęli pomagać, widocznie nieszczęście ludzi zbliża. Nasz „gospodarz” nie patrząc na nic, po zdjęciu galowej bluzy i czapki (dał mi do trzymania), zaczął z Tatą wnosić nasze skrzynie, a gdy już wszystkie zostały odpowiednio ustawione wewnątrz wagonu, pomagał innym, a robił to tak fachowo, jakby całe swoje życie przepracował jako tragarz (nosilszczyk). Gdy zmachany, przystanął aby chwilę odpocząć, odezwały się głosy: „ta Iwan, potem będziesz odpoczywał, jak skończymy, a teraz pomagaj!” Rad, nie rad, nasz „prokurator” (prokurator), dalej nosił skrzynie i skrzyneczki, dziwiąc się jedynie, dlaczego są takie ciężkie i z takim też pytaniem zwrócił się do Mamy (naturalnie w języku niemieckim, bo jak wspomniałem, nasza Mama nie znała języka którym posługiwali się na co dzień Puszkini i Lermontowi).

Otrzymał odpowiedź bardzo dowcipną: że każdy w skrzyniach ma ziemię lwowską, cieniutką, pierwszą, pieczolowicie zebraną warstewkę! Zrozumiał aluzję i aby widocznie Mamę pocieszyć, powiedział tym razem po polsku:

– Nina Teodoriwna, wy jedziecie do Polski żeby tylko odetchnąć, przeczekać ten gorący czas i wierzę, że powróciecie do siebie, a ja wam z radością oddam klucze od mieszkania.

Pocałował Mamę w rękę, odebrał ode mnie bluzę i czapkę, i tak w koszuli, spocony, umorusany, z nikim się więcej nie żegnając, poszedł w stronę miasta.

Ludzie w naszym wagonie zaczęli się wypyttywać, co to za porządny „rusek”, że tak nam i im pomagał, co

mieliśmy powiedzieć, że to taki durnowaty prokurator, którego sumienie ruszyło, czy co? Tato tylko mruknął, że to znajomy i ciekawość ludzka opadła.

Nie widząc jak długo podróż będzie trwała, każda rodzina mościła sobie legowisko, ale nikt nie pomyślał, co będzie, gdy zacznie padać? My mieliśmy swoje deski i blachy, ale inni? Tato więc nie wytrzymał i głośno rzucił propozycję sklecenia jakiegoś nawet najprymitywniejszego zadaszenia, znalazło się zaraz kilku chętnych, którzy jakby tylko czekali, aby ktoś przyjął inicjatywę i pokierował robotami. Gdzieś pobiegli i przytargali kilkanaście „plotów amerykańskich”, bo taką nazwą ochrzczono długie, wyprofilowane odpowiednio blachy (dosyć grube), łączone ze sobą za pomocą haków (jak boki łóżek), a stosowane do prowizorycznej budowy dróg i pasów startowych dla samolotów. Długie to-to było na ponad 4 metry, a szerokie na 80-90 centymetrów. Liczne otwory i wyprofilowanie dawały w efekcie to, że blachy były stosunkowo lekkie i elastyczne.

Zaraz też przy pomocy drutu, przymocowano plotki do boków wagonu, tworząc mocny szkielet dachu na tyle, że z jeszcze jednym chłopcem mogliśmy potem siedzieć „na górze”. Z blach i płacht przygotowali mężczyźni porządny daszek, tak, że i nawet silny deszcz nie był nam straszny.

Tylko na samym środku było wolne miejsce o wymiarach metr na metr, aby było jasno, wlatywało świeże powietrze i abyśmy mieli którądy wdrapywać się na „górkę”.

Pozostawiono otwartą jedną połowę drzwi z lewej strony, natomiast drzwi z prawej zostały zamknięte naглуcho, zastawione skrzyniami i zabezpieczone drutem – przed ewentualnymi złodziejami.

Zaraz też, zgodnie z poleceniem kierownika transportu, wybrano „starostę” wagonu, którym jednomyślnie okrzyknięto „ta tegu belfra z Łyczakoskiej”, czyli Tatę. Został przygotowany grafik dyżurów przy otwartych drzwiach (całodobowy), ustalone hasło na noc, gdyż były podobno wypadki, że podczas postojów transportów nocą, wchodzili do wagonów złodzieje, okradali ludzi z pieniędzy i korzystając z ciemności wymykali się cichcem. Aby więc temu zapobiec, gdy w nocy (na postoju naturalnie) wychodziło się „na stronę”, przy powrocie trzeba było dyżurnym powiedzieć hasło, gdyż inaczej do wagonu nie wpuścili, dopiero po obudzeniu kogokolwiek z rodziny, który potwierdził tożsamość „zaiminalskiego”.

Czy w innych wagonach było podobnie, nie wiem.

Pomimo, że wszyscy byliśmy już załadowani i gotowi do jazdy, transport wyruszył dopiero nazajutrz o świcie, a była to jak dobrze pamiętam środa. Dlaczego staliśmy całą noc, nie wiem, podobno chodziło o nasze bezpieczeństwo, gdyż nocami pociągi były obrzucane kamieniami itp. przez Ukraińców stojących na mostach, pod którymi przejeżdżały transporty kolejowe z Polakami.

Pociąg nasz ruszył o świcie i w momencie gdy ludzie zrozumieli, że transport naprawdę jedzie, rozległ się wielki płacz, szloch i skowyt. To jakby naraz wszystkim coś żywcem wyrwano z ciała, zadawano ból nie do opisu, zabierano brutalnie to, co najukochańsze i najdroższe. Tak płaczą matki którym zabierają synów, tak szlochają dzieci gdy je rozdzielają z matkami. Mężczyźni stali przy otwartych drzwiach wagonu,

twarze mieli blade, zęby zaciśnięte, że aż im mięśnie wystąpiły, patrzyli na przesuające się obok, a stojące wagony, na jakieś zabudowania kolejowe majaczące w resztkach mgły, ciągle zwrócenie twarzami w lewo, gdzie pozostawało ich miasto.

Ktoś w wagonie zaintonował pieśń „Kto się w opiekę...”, z innego wagonu dolatywały słowa i melodia „Serdeczna Matko”, a jeszcze z innego „Pod Twoją obronę...”.

Gdy w naszym wagonie umilkła pieśń kościelna, Tato zaintonował „Marsz lwowskich dzieci”, ale jakoś nikt nie podchwycił tej melodii, śpiewał więc sam, wszystkie pięć zwrotek, a gdy doszedł do końca refrenu po ostatniej zwrotce, wszyscy w wagonie z płaczem powtórzyli słowa: „moży uda si, ży powrócy zdrów i zobaczy miasto Lwów!”

Podsadzony przez Tatę, wdrapałem się na nasz „dach” i patrzyłem do tyłu, licząc, że jeszcze zobaczę wieże kościoła św. Elżbiety. Niestety, odjechalismy na tyle daleko, że już nic nie było widać, co przypominałoby na pożegnanie fragment miasta.

A pociąg nasz nie jechał zbyt szybko, może ze 30 kilometrów na godzinę, widocznie nikomu się nie spieszyło, a może marszruta transportu tak była ustalona? Na stacjach nie zatrzymywaliśmy się, zmniejszając szybkość pociąg przejeżdżał przez liczne rozjazdy, mijając stojących na peronach dyżurnych ruchu przy „szlagbaumach” (zaporach) dróżników i coraz bardziej oddalał się od Lwowa. Wszyscy smutni, mężczyźni jakby otepiali, kobiety modliły się, tylko dzieci nie zdawały sobie sprawy z tego co już straciły i co je jeszcze czeka.

Za Sądową Wisznia pociąg nasz zatrzymał się na ostatnim bocznym torze, kierownik transportu poprzez starostów (starsi wagonowii!) zapowiedział postój do godziny trzeciej po południu, gdyż o piątej musimy być na granicy, gdzie rozpocznie się odprawa paszportowa (paszportów nikt nie miał, gdyż odbierano je przy wydawaniu kart repatriacyjnych) i celna (sprawdzać mieli, czy nie wywozimy czegokolwiek zakazanego).

Po obiedzie (odgrzany na prymusie makaron z końskim gulaszem) i herbacie (z termosu), punktualnie ruszamy, by faktycznie na piątą „zakatulać” się na nową granicę pomiędzy ZSRR a Polską.

Zatrzymaliśmy się w gołym polu, nawet nie było gdzie pójść za swoją potrzebą i zaczęła się odprawa. Kilkunastu wojskowych, ichnia straż graniczna z ciemnozielonymi denkami czapek, NKWD-owcy, którzy dla odmiany mieli czapki z niebieskim denkiem i malinowym otokiem, kilku cywili w kaszkietach z charakterystycznie zadartymi daszkami, to ci co nas mają „odprawić” do Polski.

Przedstawiciele polskiej strony nie zauważyłem, a jedyny który reprezentował nas i pyskował za dziesięciu, to nasz kierownik transportu.

Zaraz znalazły się pisane na maszynie listy obecnych-wyjeżdżających, z podziałem na każdy wagon, zawierające wszystkie nasze dane personalne, włącznie z dotychczasowym miejscem pracy i adresem zamieszkania. Zaczęto sprawdzanie wagonu po wagonie, a polegało to na tym, że według listy wyczytywano nazwiska, trzeba było wyjść z wagonu (do pokonania 1,5 metra w dół), głowa rodziny okazywała kartę repatriacyjną, którą porównywali ze swoimi listami, a gdy już

wszyscy z wagonu wyszli, kilku z nich wraz z kierownikiem transportu i starszym wagonu, wchodzili (wdrapywali się 1,5 metra do góry) do wagonu, gdzie buszowali po zakamarkach pomiędzy skrzyniami, szukając widocznie tych, którym marzyła się ucieczka ze sowieckiego „raju”.

W kilku wagonach wzywali właścicieli do otwarcia dużych skrzyń, być może mieli nadzieję, że zawierają właśnie schowki dla uciekinierów.

Janusz Ragankiewicz

Jedziemy...

Uczestnikom tegorocznej wycieczki
do Lwowa i na Kresy dedykuję

*Znów hulamy na wycieczkę,
dokąd? po co? pytasz Panie,
ta du Lwowa, jak co roku!
Ot i durne pospytanie,*

*Więc kolejną, autobusem
dziś jedziemy, bo tak trzeba,
by tam poczuć powiew wiatru
i zobaczyć błękit nieba.*

*By zobaczyć stare Miasto,
sprawdzić, czy Adaśku stoi,
czy na Corso rosną klony,
w miejscu wyciętych topoli.*

I tu kolejny paradoks, w nocy cały skład pociągu był oświetlony reflektorami samochodów (silniki pracowały!). Był otoczony żołnierzami, którzy pilnowali, aby ktoś z transportu nie powrócił do ich „raju”.

Odprawa kilkudziesięciu wagonów, a konkretnie czterdziestu dwóch, trwała całą noc, aż do godziny 10 rano, tak więc dopiero o 11 przejechaliśmy granicę, wjeżdżając do Polski. Tutaj nikt i niczego nie sprawdzał, ale też i nie witał. (c.d.n.)

*Czy na wieży Bernardynów
zegar, jak przed laty śpieszy
i czy widok starych ulic,
nadal nasze oczy cieszy?*

*Czy na „Łyczakowskim” i „Obrońców”
słowiki jak kiedyś śpiewają,
a nasze lwowskie gołębki,
dalej, co się da – osr...?*

*Czy starą Basztę Prochową
nadal dwa groźne lwy pilnują,
czy raczej zmęczone – kimają
i przez sen si lachują?*

*Czy? czy..., sypią się pytania,
pytają się wszyscy, pyta kuźdyn jeden,
bo dla Lwowian – to dziś „Ziemia Utracona”,
a kiedyś – to był nasz raj, nasz Eden!*

Leszno, czerwiec 2005

Zbigniew Kabata

Nasza kresowa Granada

*Wygnano Maurów z ich odwiecznych siedzib,
z kraju co był kolebką ich pradziadów.
Z północy naszli w stal zbrojni sąsiedzi
by ich wytępić do ostatnich śladów.*

*Opuścił dom swój Maur już bezdomny,
zatrzasnął drzwi, przekręcił w zamku kluczem,
zaciśnął zęby, ruszył w świat ogromny
na długie lata potępieńczych włóczęg.*

*Na ostatniej odchodzącej galerze
Maur ostatni, który uszedł pogromu,
łzawo patrzył na niknące wybrzeże.
W ręce zaciskał klucz do swego domu.*

*Opustoszały Alhambry arkady,
kamienne znaki kwitnącej kultury.
Wiatry zawiły dawnych mędrców ślady.
Z glorii Pałaców pozostały mury.*

*Jednak pamięć ostała się stuleciom,
pamięć o szczęściu trwająca w mizerii.
Starsi wciąż jeszcze przekazują dzieciom
klucze do ich dawnych domów w Iberii.*

*Wygnano Polaków z pradawnych siedzib,
z kraju co był kolebką ich pradziadów.
Ze wschodu naszli w stal zbrojni sąsiedzi
aby ich wymieść do ostatnich śladów.*

*Opuścił dom swój Polak wypędzony,
zabrał ze sobą co mu zabrać dano.
Pociąg go uniósł, bydlęce wagony,
w krainę swoją lecz jemu nieznaną.*

*Zostawił ziemię nie podbitą bojem,
z dziada-pradziada jemu przekazaną,
ochrzczonej trudem, bierzmowaną znojem,
krwią obronioną, potem użyżnianą*

*Pozostał za nim dorobek stuleci,
została ta co w Ostrej Bramie święta,
pozostał w kupę zamieniony śmieci
cmentarz na którym lwowskie śpią Orleńta.*

*Została Matka i serce jej Syna,
twórczych pokoleń przydeptane ślady.
Semper Fidelis – lew się upomina
gasnącym echem tej polskiej Granady.*

*Na nowym miejscu chleba powszedniego
szuka wygnaniec, a serce się ściska
gdy wspomni ziemię daleką od niego,
ziemię co zawsze będzie jemu bliska.*

*Przez życie niesie pamięć swego domu,
ale myśl gorzka często mu dokucza,
że jej przekazać nie może nikomu.
Nie zabrał nawet swego domu klucza.*

Nanaimo, 03.04.05

Słowo o Autorze



Zbigniew Kabata, autor tego i wielu innych wierszy, urodzony na Kresach w 1924 roku jako syn legionisty, od dzieciństwa zamiłowany był w wojsku i we wszystkim co wiązało się z morzem. Zamiłowanie to nie było jedynie platoniczne, gdyż już jako uczeń został aktywnym członkiem Ligi Morskiej i Kolonialnej; wkrótce ukończył kursy żeglarskie i uczestniczył w rejsie do Szwecji na pokładzie harcerskiego szkunera „Zawisza Czarny”. W 1936 roku rozpoczął naukę w I Korpusie Kadetów we Lwowie i z tym Miastem związał się uczuciowo na całe życie.

Wybuch wojny rzucił go w wir okupacyjnej niewoli. Początkowo chciał się przedostać do Armii Polskiej we Francji, jednak z woli ojca pozostał w kraju. Wnet związał się z konspiracją wstępując na wojenną ścieżkę jako „Jędrusiowy” partyzant pod pseudonimem „Bobo”. Uczestniczył w wielu brawurowych akcjach dywersyjnych, a równocześnie, dzięki swemu talentowi literackiemu, pełnił funkcję jakby kronikarza, współpracując z redakcją podziemnego pisma „Odwet”.

Po zakończeniu wojny, będąc w stopniu podporucznika, opuścił kraj i przedostał się do 2 Korpusu Wojska Polskiego gen. Władysława Andersa we Włoszech, gdzie został dowódcą plutonu strzeleckiego w 3 kompanii 1 Batalionu Strzelców Karpaccich.

Po demobilizacji znalazł się w Wielkiej Brytanii, gdzie został odkomenderowany na kurs rybacki w Aber-

deen. Po ukończeniu tego kursu przez około trzy lata pływał na statkach rybackich po różnych morzach świata. Równocześnie zadbał o swoje „cywilne” wykształcenie – zdał maturę i egzamin wstępny na wydział zoologiczny uniwersytetu w Aberdeen. Tam w 1959 roku uzyskał dyplom doktora filozofii, a w 1966 tytuł doktora nauk.

Przez następne 12 lat dr Kabata pracował w Laboratorium Morskim w dziedzinie parazytologii, zyskując światową sławę. Już w 1966 roku został zaproszony jako konsultant naukowy do Pacific Biological Station w Nanaimo na wyspie Vancouver w kanadyjskiej prowincji British Columbia. W następnym roku objął tam kierownictwo Pracowni Parazytologicznej, a później Wydziału Rybactwa Morskiego. W 1984 roku został mianowany profesorem na uniwersytecie Simon Fraser w Burnaby i seniorem naukowym na rejon Pacyfiku.

Odkrył dwadzieścia nieznanych dotąd gatunków widłonogów, co zostało uwiecznione w nadanych im nazwach, jak *Capillaria kabatai*, *Kabataella indica*, *Caligus kabatae* itd.

Twórczość literacka i poetycka Zbigniewa Kabaty zaczęła się już w Korpusie Kadetów we Lwowie. Pisał przez całe życie i nadal pisze. Jedną z jego licznych książek jest tomik pt. „Wiersze” wydany przez Wrocławskie Zakłady Graficzne w 1993 roku.

Po przejściu w stan spoczynku w 1991 roku pozostał na swojej indiańskiej wyspie w Nanaimo. Ale nawet po tylu latach emigracji wciąż pamięta i tęskni za Kresami i Lwowem swojej młodości.

Jerzy Petryński

UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLIKPW

Zbigniew Grata

Trzynasty Zjazd Koła Przyjaciół Brodów

W dniach 30-31 maja 2005 r. w Wiśle odbył się kolejny, trzynasty już Zjazd Brodzian.

Był to szczególny Zjazd, bo odbył się po raz pierwszy po śmierci inicjatora zjazdów, Stanisławy Valis-Schyleny.

Na tym zjeździe spodziewano się podjęcia decyzji o dalszej działalności Koła.

Niemal komplet uczestników stawił się na miejscu, w hotelu „Start”, już 29 maja wieczorem, dlatego podczas kolacji nastąpiło oficjalne otwarcie Zjazdu, którego dokonała Danuta Bazieli-Sirko, poświęcając pierwsze zdania serdecznym wspomnieniom o tych, którzy odeszli z naszego grona.

Są to nieodżałowani: dr S. Valis-Schyleny, Zbigniew Dachowski, Marian Kwaśnicki, Stanisława Adamowska-Rojek, Janina Oberdzikiewicz, Adam Pilszak i Antoni Turczyn. Minutą ciszy zebrani uczcili pamięć o nich.

Następnie Elżbieta Muszyńska-Grata odczytała napisane przez Wacława Fastnachta wspomnienia o organizatorce i duchowej przewodniczącej wszystkich dotychczasowych zjazdów, dr Stanisławie Valis-Schyleny.

Miłym akcentem spotkania było złożenie życzeń, jak i wręczenie pięknego bukietu róż najstarszej, bo liczącej 97 lat, uczestniczce wszystkich zjazdów – Gieni Wawrzyckiej-Dąbrowskiej.

Serdecznie została przywitana córka dr Stasi, pani Renata Valis-Majewska, która znacznie pomagała w zorganizowaniu Zjazdu.

Na zakończenie kolacji pełniąc funkcję przewodniczącej Elżbieta Muszyńska-Grata udekorowała symbolicznym orderem z herbem Brodów tych, którzy nie opuścili żadnego zjazdu: Danutę Bazieli-Sirkę, Marię Rottermund-Schilleny, Eugenię Wawrzycką-Dąbrowską oraz Wacława Fastnachta.

Poniedziałek 30 maja rozpoczął się jak zwykle mszą św., po której złożono kwiaty na grobie śp. Stasi.

Mszę św. odprawili: proboszcz parafii oraz ksiądz z Pogorza, który również wygłosił wzruszające kazanie.

Po powrocie do hotelu zrobiono grupową fotografię wszystkich uczestników.

Po obiedzie przystąpiono do obrad, w których wziął udział zaproszony gość, pan Andrzej Chliński z Krakowa.

Następnie Danuta Bazielić przedstawia sprawozdanie finansowe za okres ostatniego roku pracy Zarządu.

Akcję zbiórki funduszy na budowę kościoła w Brodach przedstawił Wacek Fastnacht, z którego to przedstawienia wynika, że od początku akcji, tj. od 7,5 lat przekazano do Brodów na ten cel 29 829 dolarów. Padł wniosek, by pieniądze wpływające obecnie na konto w Lubaczowie przeznaczyć na ufundowanie trzech tablic upamiętniających zasłużonych brodzian: Józefa Korzeniowskiego, Feliksa Westa i ks. bpa Jana Olszańskiego, które zostałyby umieszczone na ścianach kościoła i stanowiłyby dla parafian trwałe dowody czci i pamięci o nich.

Zbigniew Grata przedstawił stan zaawansowania zbiórki pieniędzy na pomnik J. Korzeniowskiego, który ma w przyszłości stanąć w Brzegu. Ze zbiorów jest na rachunku aktualnie 1370 zł. Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa przyznała 10 tys. zł. Istnieje też możliwość dofinansowania z Ministerstwa Kultury Departamentu Sztuki. Zbyszek Grata apeluje o wpłaty choćby najdrobniejsze na rachunek wg załączonych przekazów.

Wieczorem wszyscy uczestnicy spotkali się na uroczystej kolacji przy świecach i lampce szampana. Były wspomnienia, śpiewy, serdeczne rozmowy.

Ten wieczór zakończył się wspólnym „kręgiem harcerskim” i starą harcerską pieśnią „Idzie noc... Bóg jest tuż”.



Ostatni dzień zjazdu wypełniła dyskusja nad dalszą działalnością Koła. Na skutek rezygnacji z dalszej pracy z powodu stanu zdrowia i zaawansowanego wieku dotychczasowego Zarządu Koła zaszła konieczność wyboru nowego, odnowionego Zarządu.

W wyniku zgłaszanych kandydatur i głosowania w skład nowego Zarządu weszli: Zygmunt Huzarski z Legnicy, Joanna Nasiek-Konopacka, Jolanta Grata-Wróblewska z Gliwic oraz Wacek Fastnacht.

Uczestnicy Zjazdu jednogłośnie zatwierdzili nowy skład Zarządu deklarując dalszą współpracę.

Pani Joanna Nasiek w imieniu nowego Zarządu podziękowała wszystkim za dotychczasową aktywną działalność.

W ten sposób uniknięto konieczności zaprzestania działalności, znacznie „odmłodzono” skład Zarządu.

Zjazd zakończyło pożegnanie i życzenia:

„Do spotkania w przyszłym roku”. □

Alicja Wolwicz

Wieści z Sanoka

Minęło dwa i pół roku od opublikowania informacji o działalności sanockiego Klubu TMLiKPW w 2 numerze „Semper Fidelis” z 2003 roku.

Dzisiaj będzie to kontynuacja, bo mijający czas skłania do refleksji i podsumowań tym bardziej, że w czerwcu br. obchodziliśmy 15-lecie istnienia naszego Klubu.

Nie będę tu omawiać 15-letniej naszej działalności, lecz będzie to garść bieżących wiadomości o sanockim Klubie. (Podsumowanie 10-lecia jest w 1 numerze „Semper Fidelis” z 2000 roku.)

Każdy kolejny rok rozpoczynamy od styczniowego spotkania przy opłatku. Wzajemne życzenia i kolędy szczególnie wpływają na wytworzenie ciepłego nastroju. Wspomnę tu tylko o tegorocznym spotkaniu opłatkowym, które odznaczało się tym, że na stole nakrytym białym obrusem była oryginalna szopka. P. L. Patałowa ustawiła na sianku żłobek z Jezuskiem, figurki

św. Rodziny, trzech króli, pasterzy, aniołków i zwierząt wyrzeźbione w drzewie, wszystkie w pastelowych kolorach. Wśród zaproszonych gości byli M. i B. Witwicy – polska rodzina, która przed kilku laty przybyła z Kazachstanu i osiedliła się w Sanoku.

Spotkania nasze odbywają się w Osiedlowym Domu Kultury „Puchatek” dzięki uprzejmości kierującej placówką p. Marii Kępy, a wiosną i wczesną jesienią w pięknych ogrodach, przy ognisku u p. Marii Siekierzyńskiej lub p. Ludmiły Patały.

Na naszych comiesięcznych spotkaniach wykorzystujemy materiały zawarte w pismach związanych ze Lwowem i Kresami. Są to: „Semper Fidelis”, „Rota”, „Kresowe Stanice”, „Ziemia Drohobycka”, „Cracovia Leopoldis”, „Ul. Na Bajkach”, „Gazeta Lwowska” oraz wydawnictwa książkowe – pozycje wspomnieniowe, które coraz częściej można znaleźć na półkach księgarskich lub rozprowadzane przez samych autorów (o Lwowie, Boryslawiu, Drohobyczu itd.). Chwała im za to, że piszą i utrwalają przeszłość, którą powinni poznać ci, którzy po nas...

Czasem snujemy opowieści o rodzinnych stronach, przeżyciach wojennych, o odwiedzinach miejsc tak bliskich sercu każdego kresowianina.

Cieszymy się, gdy możemy gościć osoby odwiedzające rodziny w Sanoku, a mieszkające za granicą, a nawet na dalekim kontynencie. Takim gościem był na naszym klubowym spotkaniu w maju 2004 r. p. Janczura, syn naszej klubowiczki, mieszkający w Australii. Zebrani z dużym zainteresowaniem słuchali opowieści o odległym kontynencie, warunkach życia, klimacie, zwyczajach, a przede wszystkim o Polakach, których losy tam rzuciły, o ich wzajemnych kontaktach, polskich stowarzyszeniach, także kresowych i ich działalności.

Chociaż miesiące wakacyjne stanowią przerwę w klubowych spotkaniach, lecz w lipcu 2004 r. spotkał się w ogrodzie p. Siekierzyńskiej, która zaprosiła goszczącego u swej siostry ppłk. Wiesława Wolwicz, przybyłego z Londynu. Na prośbę zebranych opowiedział w skrócie o swoich losach, gdy jako niepełnoletni chłopiec wyruszył z Borysławia w marcu 1940 r., aby dotrzeć do armii gen. Wł. Sikorskiego we Francji. Zatrzymany przez bolszewicką straż graniczną trafił do więzienia we Lwowie, potem do obozu w Starobielsku, skąd został zesłany do łagru za Ural, gdzie pracował przy wyrębie lasu. Los zesłańców uległ zmianie po zawarciu umowy przez przedstawicieli Rządu Rzeczypospolitej Polskiej ze stroną moskiewską, w wyniku czego zostały utworzone Suwerenne Polskie Siły Zbrojne w ZSRR.

Wiesław Wolwicz trafił do Tockoje i został przyjęty do wojska organizowanego przez gen. Wł. Andersa. A potem szkolenie, podchorążówka i droga przez Uzbekistan, Persję, Irak, Syrię, Liban, Palestynę, Egipt do Włoch. Jako żołnierz 16 Lwowskiego Batalionu Strzelców 5 Kresowej Dywizji Piechoty przeszedł szlak bojowy poczynając od Monte Cassino przez wiele pól bitewnych aż do Bolonii. Był trzy razy ranny, otrzymał Krzyż Wirtuti Militari i szereg innych odznaczeń. Melchior Wańkowicz w „Monte Cassino” umieścił jego zdjęcie i wzmianki o udziale w walkach.

Odwiedzają też nas przewodniczący oddziałów Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej z Dobromila i Sąsiadowic oraz przewodnicząca Towarzystwa Polskiego z Chyrowa.

Nasze kontakty z Polakami mieszkającymi w tych miejscowościach są dość częste. Przynajmniej dwa razy w roku (przed Bożym Narodzeniem i przed Wielkanocą) organizujemy zbiórkę pieniędzy oraz darów w postaci żywności, słodyczy, książek, przyborów szkolnych, odzieży i obuwi. Ofiarodawcami są członkowie naszego Klubu, osoby prywatne, instytucje i właściciele drobnych firm. Nasi podopieczni cieszą się szczególnie strojami komunijnymi, komeżkami, koszulkami sportowymi z wizerunkiem orła (o co specjalnie prosili), a wszystko to dzięki energii naszych najmłodszych członków Klubu i dobrym sercom ofiarodawców. Dary zawożone są do polskich sobotnich szkół przez trójkę naszych członków, którzy robią to od lat. Są to: Mieczysława Czapor, Urszula Pańczyk i Igor Wójciak, którzy czasem też pomagają w przygotowaniu tam wspólnej wigilii i „święconego”.

Kronika naszego Klubu pęcznieje od podziękowań przysyłanych nam z Chyrowa, Dobromila i Sąsiadowic, a od czterech lat także z Użgorodu.

Nasze kontakty i pomoc dla polskich dzieci zza wschodniej granicy zainicjował p. Jerzy Kowalewski, który uczył w sobotnio-niedzielnym szkole języka polskiego w Sąsiadowicach, Grodnie, Użgorodzie, a ostatnio wykładał na uniwersytecie w Kijowie. Był też organizatorem kolonii letnich dla dzieci. Do przyjazdu dzieci z ubogich rodzin przyczynili się członkowie naszego Klubu i ofiarni sanocianie, fundując im 20 paszportów.

W marcu 2003 r. nasza „kurierska trójka” wożąca zwykle dary wzięła udział w uroczystości nadania szkole polskiej w Użgorodzie imienia ks. prof. Józefa Tischnera. Z tej okazji podarowali szkole gobelin z wizerunkiem godła Polski.

W uroczystości tej brał udział polski konsul generalny ze Lwowa oraz władze administracyjne Użgorodu.

Członkowie naszego Klubu wykazują aktywność w organizowaniu różnych spotkań i imprez. A oto kilka przykładów. P. Ludmiła Patałowa (zastępczyni przewodniczącej naszego Klubu) zaprosiła nas w czerwcu ub. roku na koncert „Pod Strzechą” do swojego ogrodu, w którym jest piękna altana kryta strzechą.

Koncert rozpoczął się od przeczytania przez p. Janusza Szubera, sanockiego poetę, znanego w kraju i za granicą, kilku wierszy, między innymi wiersza poświęconego pięknemu ogrodowi-skansenowi i jego właścicielce. Drugim artystą był muzyk i konstruktor instrumentów muzycznych p. Stanisław Wyżykowski z Haczowa. Pan Stanisław zaprezentował zebranym lirę korbową oraz skrypcę „lasza” – instrumenty własnej konstrukcji, na których gra i rozprowadza je po całym świecie.

Zebranych szczególnie zainteresowały skrypcę, które wyglądem przypominają laskę i mogą też za laskę służyć. Na obu instrumentach muzyk zagrał kilka utworów.

Obecna na koncercie ekipa TVP2 nagrała cały program, który został wyemitowany 24 lipca ub. roku w audycji „Piękniejsza Polska” oraz 13 października w TV Polonia.

W marcu br. członkowie sanockiego Klubu zostali zaproszeni do sali wystawowej Miejskiej Biblioteki Publicznej w Sanoku przez pp. Martę i Jerzego Kowalewskich na otwarcie wystawy fotogramów przedstawiających dawne polskie dwory, dworki i pałace na ziemi białoruskiej. Siedziby polskiego ziemiaństwa, w dużym stopniu zniszczone, przypominają o przeszłości tej ziemi. Niektóre budynki użytkowane jako szkoły, urzędy itp. są w niezłym stanie, inne popadają w ruinę. Państwo Kowalewscy opowiedzieli zebranym o swoich wędrówkach, wrażeniach i fotografowanych obiektach. Opowieści ilustrowali przeżroczkami, a przerywnikiem były wspólnie śpiewane nadniemeńskie pieśni.

Najważniejszym wydarzeniem w bieżącym życiu naszego Klubu było uroczyste spotkanie z okazji piętnastolecia jego istnienia. 10 czerwca br. w sali widowiskowej Osiedlowego Domu Kultury, przy pięknie nakrytych stołach spotkali się członkowie Klubu ze swoimi gośćmi.

Z Użgorodu przybyła Przewodnicząca Towarzystwa Kultury Polskiej „Zakarpacie” – p. Halina Wakarowa, sekretarz TKP – p. Ludmiła Fedorcuk oraz nauczycielka języka polskiego – p. Danuta Pęcherek, z Dobromila ks. Edward Loranc oraz zastępczyni przewodniczącej



15-lecie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Sanok, 10 czerwca 2005 r.

Fot. Jerzy Kwaśniewicz

Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej Oddziału w Dobromilu – p. Antonina Zaharbańska, z Sąsiadowic przewodniczący TKPZL p. Włodzimierz Kotla oraz z Chyrowa przewodnicząca Towarzystwa Polskiego p. Janina Piróg.

Na wstępie przewodnicząca naszego Klubu p. Maria Siekierzyńska serdecznie powitała przybyłych gości oraz zgromadzonych członków Klubu. W kilku zdaniach przedstawiła działalność sanockiego Klubu oraz wręczyła kilku osobom Złote Odznaki Zasłużonego Członka TMLiKPW przyznane przez Zarząd Główny we Wrocławiu. Otrzymali je: Maria Czerepniak – najstarsza członkini sanockiego Klubu, prof. Marian Golczyk, Alicja Wolwicz – kronikarka, dokumentująca działalność Klubu od początku jego istnienia, Mieczysława Czopor i Urszula Pańczyk za nawiązywanie kontaktów z Polakami na Ukrainie, szukanie sponsorów i transportowanie darów dla polskich dzieci.

Łańcuch życzeń i gratulacji rozpoczął starosta Bogdan Struś, przy czym wyraził swoje uznanie dla działalności naszego Klubu i przewodniczącej dr Siekierzyńskiej, której wręczył piękne kwiaty oraz pamiątkową plakietkę Grzegorza z Sanoka.

Życzenia i gratulacje złożył również pierwszy prezes i jeden z założycieli sanockiego Klubu – p. Edward Kaliniecki, który wręczył kwiaty i pięknie oprawione widoczki Lwowa pani Siekierzyńskiej oraz osobom wyróżnionym złotymi odznakami.

Goście z Ukrainy, zabierając kolejno głos, składali gratulacje, życzenia, a przede wszystkim podziękowania za pomoc, jaką otrzymują od sanoczan, a organizowaną przez nasz Klub.

Ks. Edward Loranc zaprosił nas do odwiedzenia Dobromila i kilku innych miejscowości w pobliżu granicy. Szczególną zachętą była dla nas wiadomość o płaczącej figurce Matki Boskiej z Lourdes w kościele w Niżankowicach. Ks. Loranc był naocznym świadkiem tego zjawiska, o czym powiadomił biskupa lwowskiego. Zapewne badania będą trwały długo.

Spotkanie jubileuszowe zostało ubarwione wystawą fotografii przedstawiających Lwów i inne kresowe miasta oraz wycieczki i spotkania z żyjącymi tam Polakami.

Nie zabrakło też części artystycznej – był to koncert na skrzypce i wiolonczelę w wykonaniu uczniów sanoc-



kiej Szkoły Muzycznej im. Wandy Kossakowej. (Wanda Kossakowa była profesorem Lwowskiego Konserwatorium im. Karola Szymanowskiego, a przez kilka ostatnich lat przed II wojną światową prowadziła jego filię w Sanoku.)

Można też było obejrzeć kronikę Klubu – jeden cały tom i drugi zaczęty oraz dokonać wpisu. Zrobił to starosta i goście z Ukrainy.

Na drugi dzień odbyła się wycieczka w Bieszczady, w której udział wzięli nasi goście z Dobromila, Chyrowa, Sąsiadowic i Użgorodu oraz kilka osób z naszego Klubu. Trasa wycieczki biegła przez Polańczyk, Solinę, Jawor, Muczkowce i Lesko, skąd po dobrym obiedzie goście zostali odwiezieni na dworzec kolejowy w Sanoku i tu serdecznie pożegnani.

Ich pobyt w Sanoku (hotel i wyżywienie) sfinansował burmistrz miasta, natomiast autobus i obiad na wycieczce – starosta.

Czerwiec w tym roku obfitował w wydarzenia. Dnia 24 czerwca jeden z naszych członków, jednocześnie harcerz-senior, wziął udział wraz z grupą sanockich har-



Fot. hm. Jerzy Kwaśniewicz

Otwarcie Cmentarza Orląt Lwowskich.

Komenda Hufca ZHP Sanok. Lwów 26.06.2005 r.

cerzy w otwarciu Cmentarza Orląt Lwowskich. Było to wydarzenie ważne dla nas wszystkich, no i relacja „z pierwszej ręki”.

28 czerwca o 7.00 rano członkowie naszego Klubu, rodziny, sympatycy i osoby zaprzyjaźnione wygodnym autokarem wyruszyli na wycieczkę do sąsiadów za wschodnią granicę. Punkt graniczny przekroczyliśmy w Krościenku i wkrótce znaleźliśmy się w Chyrowie, gdzie czekała na nas przewodnicząca Towarzystwa Polskiego – Janina Piróg.

Mimo dziesięcioletnich starań i formalnego przekazania na piśmie kościoła miejscowym Polakom, władze miejskie Chyrowa nadal użytkują budynek kościelny do celów własnych i kluczy nie oddają. W domu J. Piróg weszliśmy do kaplicy mieszczącej się w dwóch pokojach. Trzeci pokój pełni funkcję zakrystii i małej czytelnicy. Po krótkiej modlitwie i złożeniu pieniężnych datków ruszyliśmy do Dobromila.

Tam przed kościołem czekał na nas ks. Edward Loranc. Na dziedzińcu kościelnym zastaliśmy konserwatorów ze Wspólnoty Polskiej w Warszawie pracujących nad wiekowymi kartonami przedstawiającymi drzewo genealogiczne rodu Krasińskich. cztery kartony po ciemniałe ze starości, każdy o wymiarach około 70 na 60 cm, tworzą całość.

Kościół po remoncie, zadbany, ale widać niedokończoną boczną ołtarz. Ks. Loranc opowiedział nam o przeszłości, staraniach i pracy nad utrzymaniem tego kościoła.

Nie poskapiliśmy datków na ten zbożny cel.

Stamtąd wyruszyliśmy na północ do Niżankowic. Droga w złym stanie, most nad niedużą rzeczką chyba cudem nie rozpadł się pod naszym autokarem. W pobliżu Niżankowic droga biegnie tuż koło granicy, a po polskiej stronie widać nad lasem wieżę Kalwarii Pałacowskiej.

W Niżankowicach kościół na zewnątrz prezentuje się dobrze, w środku też zadbany, tylko boczne ołtarze niekompletne i posadzka uszkodzona.

Ksiądz z pobliskiego Nowego Miasta dojeżdża tu, by odprawić msze. Odprawił też dla nas, a my dość hojnie zapełniliśmy tacę kościelną.

W bocznym ołtarzu po lewej stronie stoi nieduża figurka Matki Boskiej z Lourdes; to właśnie z jej oczu zaczęły płynąć łzy na początku stycznia br. Jak się dowiedzieliśmy, płakała przez 40 dni, a potem przeważnie w piątki i soboty. Byliśmy tam w poniedziałek, więc nie mieliśmy szans zobaczyć łez Matki Boskiej. Ks. Loranc wcześniej zebrał łzy strzykawką, dał do zbadania laboratoryjnego i okazało się, że skład chemiczny odpowiada ludzkim łzom.

Z Niżankowic ruszyliśmy w kierunku Dobromila i Chyrowa. W okolicy Chyrowa zwiedziliśmy jeszcze kilka miejscowości, namówieni przez spotkanego przez nas w Dobromilu p. Władysława Jandeczkę, który przed kilku laty był członkiem sanockiego Klubu, a następnie przeniósł się do Przemyśla, gdzie działa w tamtejszym Oddziale TMLiKPW i utrzymuje kontakt ze swoim rodzinnym Felsztynem oraz z ks. Lorancem w Dobromilu.

Byliśmy więc w Felsztynie (dzisiejsza nazwa Skelivka), w Laszczkach Murowanych i w Starej Soli. Wszędzie interesowały nas ślady polskości. W Felsztynie weszliśmy do kościoła dzisiaj użytkowanego jako cerkiew. W Laszczkach kościół świeżo wyremontowany stoi w odległości kilkunastu metrów od cerkwi, a w pobliżu widzieliśmy ciekawe ruiny zamku dawnych właścicieli tych okolic.

Największe zainteresowanie wzbudził w nas kościół w Starej Soli bardzo zniszczony w wyniku niszczącego użytkowania przez byłe władze radzieckie. Na zewnątrz zachowały się nieliczne elementy wystroju barokowego. Jest nadzieja, że odzyska swe piękno, gdyż remont postępuje z pomocą polską. Oczywiście i nasze portfele zostały otwarte i dorzuciliśmy się do tego morza potrzeb.

Po krótkim postoju w Chyrowie w godzinach wieczornych wróciliśmy do Sanoka, pełni wrażeń i z ogromną ochotą na następną wycieczkę.

Nasze kontakty z Polakami zza wschodniej granicy będą trwać, rozwijać się, a pomoc z naszej strony będzie kontynuowana. □

Remigiusz Węgrzynowicz

XVII Zjazd Harcerzy Weteranów Obrońców Lwowa 1939 r.

W dniach 27-29 maja 2005 r. w Ośrodku Kształcenia i Rekreacji Chorągwi Krakowskiej ZHP w Korzkwie k. Krakowa spotkali się po raz siedemnasty harcerze weterani, członkowie Kręgu Harcerskiego Obrońców Lwowa 1939 r.

W tym roku przybyli: Stanisław Podusowski (komendant kręgu – Kraków), Ryszard Adel (Szczegolino k. Koszalina), Feliks Cały (Gniechowice), Ryszard Czekański (Kraków), Kazimierz Wiącek (Bytom), Remigiusz Węgrzynowicz (Szczecin), Mieczysław Wilczyński (Katowice), Jerzy Adamcio-Zarębski (Radom). Zaszczycili nas swoją obecnością harcerze weterani z innych jednostek: Tadeusz Gaydamowicz, Łucja Gedl, Bogusław Jeremi de Lannoy Gedl, Kazimierz Kalaga, Mieczysław Karwiński, Irena Piotrowska-Wesołowska, Danuta Różycka, Jacek Wilczyński, Andrzej Żugas,

Wojciech Czeakański – bratanek d-cy KHOL 1939 i inni druhowie z Chorągwi ZHP Kraków.

Komendant Kręgu otwierając zjazd powitał przybyłych członków oraz gości i po odśpiewaniu hymnu harcerskiego uczczono chwilą zadumy pamięć harcerzy, którzy odeszli na wieczną wartę: uczestników walk we wszystkich formacjach wojskowych w II wojnie światowej: D-cy Ochotniczej Kompanii Harcerskiej Obrony Lwowa 1939 r. D-ha Hm. por. Zbigniewa Czeakańskiego, który zginął męczeńską śmiercią w więzieniu NKWD, harcerzy-członków OKHOL 1939, którzy odeszli na wieczną wartę w okresie przynależności do kręgu: Sławomir Wilk, Gustaw Burtan, Józef Dźwigalski, Tadeusz Drechsler, Stanisław Tereszkiwicz, Zdzisław Boni, Krzysztof Jankowski, Zbigniew Nowicki, Zbigniew Nartowski, Bolesław Zbierzchowski, Ludwik Jaworski,

Roman Ciemior, Jerzy Masior, Stanisław Krzaklewski, Stanisław Ludwik, Zygmunt Sługocki, Zdzisław Tarkowski, Wanda Tomaszewska, Edward Wojciechowski, Marek Zakrzewski, Jerzy Michotek, Zdzisław Ojrzyński, Ludwik Staniewicz, Janina Kądzioła, Zbigniew Schlegert, Włodzimierz Czopko, Artur Leinwald, Stefania Stipal, Bolesław Zarębski.

Druhowie, którzy nie mogli przybyć na spotkanie: Kazimierz Fabiś, Zbigniew Wolański, Józef Ożegalski, Kazimierz Tyńiów, Kazimierz Ratymirski, Konrad Sura, Danuta Nespiak, Bolesław Broś, Tadeusz Forowicz, Kazimierz Jaworski, Marian Wesółowski, Tadeusz Łankiewicz, Ryszard Merkel i Zygmunt Sługocki otrzymali listy z podpisami uczestników zjazdu, następującej treści:

Szanowny Druh...

Kombatanci członkowie Harcerskiego Kręgu b. Ochotniczej Kompanii Harcerskiej Obrony Lwowa 1939 r. uczestnicząc w XVII spotkaniu w dniach 28-29 maja 2005 r. w dowód braterskiej pamięci przesyłają Druhowi serdeczne harcerskie pozdrowienie.

Spotkanie nasze z udziałem seniorów-harcery Choraży Krakowskiej pozwoliło nam (jak każdego roku) na niepozbawioną emocji retrospekcję sprzed 66 lat (!) naszych pamiętnych dni wrześniowych 1939 r.

Program wypełniły wspomnienia osobiste, projekcja filmu z ubiegłorocznego spotkania, gawęda i dyskusje nt. „Rola harcerstwa dawniej i w obliczu obecnych przemian społecznych”, piosenki przy ognisku, uczestnictwo w Mszy św. oraz „nocne rodaków rozmowy”.

Z nadzieją na przyszłe spotkanie przesyłamy Druhowi serdeczny harcerski uścisk dłoni z kręgu splecionych rąk, zgodnie z tradycją harcerską przy ognisku. Czuwaj! Przewodnictwo w obradach komendant przekazał druhowi Węgrzynowiczowi.

Przewodniczący wprowadził do dyskusji na temat „Rola harcerstwa dawniej, dzisiaj i jutro”:

Szanowni Goście Drodzy Druhowie!

XVII Zjazd Harcerzy Weteranów Obrońców Lwowa 1939 posiada szczególny charakter. Z niewielkiej jednostki jaką była OKHOL (ok. 120 osób) po kataklizmach wojny i po wojnie w niesprzyjających warunkach dla żołnierzy września i harcerzy, przez prawie pół wieku nie uznawanych jako kombatantów, po 66 latach jeszcze zbiera się garstka rozproszona po kraju, aby świadczyć o sile idei! Jest to powód do radości, wspólnego przebywania i zadumy o przemijaniu.

Każdego roku żegnamy Druhów, którzy przedwcześnie („niezgodnie z planem?!”) odeszli na wieczną wartę. Wielokrotnie padają pytania czy to już ostatni zjazd? Nie sądzę – trwamy! podobnie jak trwali (niemal do ostatnich) druhowie z pierwszej lwowskiej DH we Wrocławiu.

Spotkania posiadają dla nas szczególne znaczenie. Łączy nas wspólna idea harcerska najwspanialsza, która nie ulega dezaktualizacji (jak wiele wielkich w tym okresie) i mimo upływu stu lat! od wprowadzenia jej przez twórcę gen. Baden Powella. Jest ona coraz bardziej potrzebna szczególnie w procesie wychowawczym młodzieży, wobec tempa zmian społecznych, gospodarczych i politycznych na świecie.

Ta wspaniała idea wielu z nas połączyła w pracy harcerskiej we Lwowie, na kilka lat wcześniej od pamiętnych dni wrześniowych 1939 r.

Drodzy Druhny i Druhowie!

Cieszymy się, że możemy do spotkania wnieść pogodę kresową, której synonimem była „Lwowska Wesola

Fala” (niezapomniane piosenki – „jak jest zima to smucimy się, a cieszymy się jak jest maj...” – Szczepko i Tońko).

Radość sprawia nam sam fakt przebywania w harcerskiej Rodzinie związanej przed laty w tak niezwykłych warunkach – wojny. Świadomości, że jesteśmy świadkami i nośnikami niezakłamaną historią naszego narodu na kresach. Odczucia te oprócz wartości osobistych posiadają głęboki sens społeczny.

Chcielibyśmy aby te coraz mniej liczebne spotkania (ze względów biologicznych) były memento dla młodzieży, u której obserwujemy zanik pamięci narodowej. Cenny nośnik pamięci narodowej zakodowany w starych polskich piosenkach, śpiewanych od zarania dziejów harcerstwa polskiego na zbiórkach, przy ogniskach i każdej okazji wypierany jest przez nowoczesne piosenki o treściach i melodii wyrażającej współczesny chaos w psychosferze społecznej. Harcerstwo rozśpiewane niosło z piosenką pogodę i radość. Te pieśni przez pokolenia były spoiwem świadomości narodowej. Siłą, która pozwoliła zaistnieć nam na powrót na mapie Europy, a także w tych pamiętnych dniach wrześniowych, pełnych napięcia na kwaterze w sali szkoły Marii Magdaleny...

We wrześniu mija dopiero 66 lat! (dla młodego pokolenia zamierzchnia historia), kiedy z mundurka harcerskiego czy szkolnego przebraliśmy się w mundury wojskowe (drelichy, a później sukienne). W rękę karabin (znane nam ze szkoły wysłużone „Lebele”, a później nowe świetne „Mausery”) nie jak dawniej dla ćwiczeń (w ramach szkolnych PW), ale dla zwalczania nieprzyjaciela, który chciał pozbawić nas wolności... Czy pamiętacie Druhowie kiedy w tym pięknym słonecznym dniu, zmęczeni całodziennym rozładowywaniem (poprzedniego dnia) pociągu z amunicją na dworcu Podzamcze (na szczęście nietrafionego mimo stałych bombardowań!), ćwiczyliśmy na stokach Wysokiego Zamku? Ćwiczenia zostały przerwane na skutek niespodziewanego ostrzału artyleryjskiego miasta (podczas gdy zgodnie z informacją walki trwały na Śląsku).

Otrzymałmy rozkaz udania się drużynami na ul. Teatryńską. W składnicy wojskowej pobraliśmy amunicję i granaty, ile każdy mógł unieść, na spotkanie z niespodziewanym wrogiem na ul. Gródeckiej i Grochowskiej. Pamiętacie Druhowie spokojny głos (w chwili nagłego zagrożenia) d-cy hm por. Czekańskiego: „nie denerwować się chłopcy... mierzyć spokojnie w tułów... nie marnować naboju...!”. Był świadomy, że mówi do harcerzy – pokolenia „Kolumbów”, urodzonych w początkach lat dwudziestych – pierwszego w wolnej Ojczyźnie. Wychowanych w duchu romantyzmu i głębokiego umiłowania Ojczyzny.

Obecny nasz stosunek do przeszłości, teraźniejszości i przyszłości kształtowany jest wielością zdarzeń, którymi los nas obdarował. Skryształizowane poglądy, krytycyzm nie zatępił idei Baden Powella wprowadzonej na grunt Polski przez Małkowskich. Idei, której zawdzięczamy nasze sukcesy życiowe i umiejętności znoszenia z godnością porażki. Idea zakodowana w świadomości harcerskiej wnosi najlepsze wartości wychowawcze, a przede wszystkim „miłość bliźniego... i całej przyrody, która jest źródłem naszego życia...”.

Ochrona przyrody wpisana w prawo harcerskie przed 100 laty jest coraz bardziej aktualnym hasłem w dzisiejszym świecie. Jest problemem nr 1 w działalności ONZ!, podstawą egzystencji gatunku ludzkiego.

Miłość bliźniego, patriotyzm i internacjonalizm (szlachetniejszy B.P.) tak różne są od podobnie brzmiących

przez lata hasel wypaczonych idei, które w ubiegłym stuleciu skompromitowane musiały przegrać, ponieważ były chore.

Ta droga naszemu sercu idea harcerska pozwala nam trwać w jedności „od lat najmłodszych do późnej siwizny”, „bo jak harcerzem to na zawsze”, „wszędzie nas pędzi, wszędzie gna harcerska dola radosna”. Po raz siedemnasty! przygnała nas tutaj na spotkanie, mimo trudów podróży.

Czy pamiętacie druhowie (może nie wszyscy z obecnych) kiedy po raz pierwszy po 49 latach od pamiętnych dni wrześniowych stanęliśmy do apelu na Jasnej Górze? Zwołali nas druhowie: Sławek Wilk, Gustek Burtan i Józek Dźwigalski. Miałem zaszczyt przewodniczyć w sali senatu Politechniki Częstochowskiej. W spotkaniu uczestniczyli również członkowie rodziny d-cy kompanii por. Czekańskiego.

Wszyscy inicjatorzy, założyciele naszego kręgu odeszli na „wieczną wartę”. Odszedł również d-ca plutonu druha Stasio Tereszkiwicz, który zachował jedyne dokumenty pisemne z działalności naszej kompanii (wykazy nazwisk, udział w akcjach...) przekazany do archiwum akt kombatantkich. Dokumenty o istnieniu naszej kompanii prawdopodobnie znajdują się w archiwum odpowiednich instytucji państw wschodnich, które nie są skłonne do odkrywania całej prawdy historycznej. Szczególnie kampanii wrześniowej. Byli przecież „wyzwolicielami narodów na nasze życzenie!!!”

Krąg OKHOL 1939 poszerzyliśmy w następnych latach o druhow, którzy również walczyli w obronie Lwowa w innych formacjach. Ofiara krwi w każdej jednostce jedną miała cenę. Łączy nas wspólna idea. Nasz stosunek do przeszłości, teraźniejszości i przyszłości jest różny. Poglądy nie mogą nas dzielić. Kresowa wspólna historia i tradycja skłaniają do dążności integracyjnej narodów. Ale jakiej?

Brak wiedzy w naszym społeczeństwie ukształtował pogląd wielu, że kresy to sentyment-utopia. Tak karmiono nas przez pół wieku! Zapomnieli? o wielowiekowym wkładzie naszych ojców do kultury narodów na kresach. Wielu niestety Polaków? nie posiada wiedzy, że cmentarz „Orląt” jest symbolem najwyższego kultu narodowego, z którego prochy złożone zostały w Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie!

Wielu żyje sentymentem i nadzieją, że jak nie my to nasi potomkowie wrócą na kresy. Inni realisci zdają sobie sprawę, że zmiany granic po drugiej wojnie światowej są utrwalone na wiele lat. Nikt nie chce konfliktów zbrojnych. Trudne do wyobrażenia byłyby skutki zmian granic.

Zarzewia konfliktów po II wojnie światowej pozostały jeszcze w wielu krajach Afryki, Azji. Powstają niestety nowe również w Europie. Nasza polityka musi dążyć do koegzystencji pokojowej. Musimy utrzymywać pomost pomiędzy Wschodem a Zachodem z zachowaniem dystansu niepowodującego uciążliwości dla zamieszkujących poza krajem rodaków.

Czy w obecnej sytuacji na świecie mamy wychylać się przed szeregi narodów Europy jak czyniliśmy to w historii – „za wolność naszą i waszą”, za co zostaliśmy sowicie „wynagrodzeni”? Czy nauczyliśmy się zachować umiar jak czynią to inne narody? Nie forsować pełnej integracji z narodami, które nie dojrzały moralnie, cywilizacyjnie i materialnie. Nie spełniać warunków cywilizacyjnych koegzystencji.

Dystans psychiczny jaki musieliśmy pokonać od pamiętnych dni września 1939 r. był wówczas dla nas niewyobrażalny!

Dzisiejsze spotkanie jest dla nas memento! – że Ojcowie nasi tworzyli przez wieki na kresach wspólnie z innymi narodami wspaniałą kulturę i cywilizację. Nasze pokolenie służyło Ojczyźnie z pełnym zaangażowaniem – pozostał głęboki sentyment i prochy naszych Ojców, a w nich ENERGIA, która zgodnie z wiarą Przodków potwierdzona współczesną wiedzą! – jest **niezniszczalna!**

W wystąpieniach uczestnicy zjazdu podkreślali znaczenie spotkania weteranów dla harcerstwa, szczególnie wobec powszechnego kryzysu etycznego, dewaluacji patriotyzmu i fałszowania historii, której jesteśmy świadkami.

Po przerwie obiadowej odbyła się projekcja filmu dokumentalnego – wspomnienia weteranów przy ognisku na XVI spotkaniu Kręgu OKHOL 1939 w Korzkwi, zrealizowanego przez redaktor TV Katowice Halinkę Szymczychę (potomną lwowiaków), oraz dalszy ciąg dyskusji...

Po kolacji „ognisko” przy świecach w świetlicy – piosenki, wspomnienia. Na zakończenie ogniska tradycyjnie „Idzie noc...” i modlitwa harcerska w kręgu splecionych rąk „O panie Boże Ojcie nasz w opiece swej nas miej...”.

Wieczór nie kończy się – „nocne rodaków rozmowy” pod namiotem przy kawie... Wymiana poglądów, przekonań potrzebna jest dla przyjemności bycia z sobą. Konfrontacja przeszłości z obecną rzeczywistością pozwala na krytycyzm konstruktywny, wzbogacony „mądrością starych”...

Oddając się wspomnieniom lat wojennych, które nas łączą, uczestnicy spotkania (Stanisław P., Feliks C., Ryszard A., Mieczysław W., Kazimierz W., Remigiusz W., Ryszard A., Jerzy A. oraz goście) kontynuują rozmowy: „nie mieściło się w naszej mentalności wówczas, że ziemia naszych Ojców, o którą walczyliśmy, może być innym oddana...”, że o zmianach granic (wbrew obowiązującym konwencjom międzynarodowym!) mogą decydować tylko trzej przywódcy państw sprzymierzonych!!!

Niestety okazało się, że naruszenie praw międzynarodowych na taką skalę jest trwałe! Granice ustalono bez konferencji pokojowej, bez udziału państw walczących, które ponosząc ofiary krwi miały prawo prezentować racje historyczne i roszczenia powojenne. Był to pierwszy na taką skalę objaw kryzysu norm moralnych, w następstwie czego zbrodniarze, którzy znaleźli się w grupie zwycięzców byli sędziami zbrodniarzy pokonanych!

Paradoks ten odczuliśmy boleśnie jako zwycięzcy, którym w nagrodę za zwycięstwo odebrano znaczną część terytorium, dokonując ekspatriacji z obszarów zamieszkałych przez wieki przez Polaków. „Wielki Brat” wobec milczącej aprobaty „koalicjantów”, łamiąc wszelkie prawa, wprowadził terror (aresztowania, zsyłki do obozów, morderstwa w więzieniach, eksploatację rabunkową zasobów narodowych...) na ziemiach anektowanych i wyzwolonych. Doprowadziło to do podziałów – politycznej hegemonii (strefy wpływów) na świecie i w następstwie do zimnej wojny przez okres ponad czterdziestu lat. Niewiele brakowało do konfliktu światowego w skali nieporównywalnej z drugą wojną światową. Fałszowanie historii w sześćdziesiąt rocznicę zwycięstwa po piętnastu latach wstrzymania działań zimnowojennych wskazuje, że znacznie trudniejsze jest zwycięstwo moralne niż orężne. Wydawać by się mogło, że huma-

nizacja krocząca z rozwojem cywilizacji jest nośnikiem poszanowania praw. Jest drogą do integracji narodów.

Czy domaganie nasze o zadośćuczynienie za straty moralne i materialne po upływie tak długiego czasu posiadają sens? Czy jakiegokolwiek rozliczenia mogą doprowadzić do katharsis? Niestety jest wielu, którzy ponieśli straty moralne i materialne, natomiast brak chętnych do zadośćuczynienia nawet werbalnego!

Roszczenia wywołują u sprawców gwałtowne reakcje. Nikt nie chce się kajać kiedy święci tryumfy zwycięstwa sprzed 60 lat! Zwalczając demagogię antyrosyjską ślady komunizmu utrudniamy utrzymanie bezkonfliktowych stosunków. Zadośćuczynienie jest możliwe od partnera na równym lub wyższym poziomie etycznym.

Mentalność „homo sovieticus-zwycięzca” powtarzającego z przekonaniem slogany wyuczone od młodości, nie pozwala na deprecjację zwycięstwa „drobnymi nieuzasadnionymi” pretensjami Polaków.

Różnica poziomów mentalności nie pozwala Ukraincom (jako wspólnej rodzinie postsowieckiej) na słowo przepraszam. Wierzą, że stale powtarzane kłamstwa staną się prawdą. Zachod nie chce wspomnień o Katyniu, Wołyniu... ponieważ kart historii odwrócić nie można, tym bardziej jeżeli sam nie jest bez winy.

W optymistycznych rozważaniach należy dostrzegać, że na „wschodzie” od wielu lat żyją również demokraci-dysydenci, a wśród nich wielu przyjaznych naszemu narodowi. Że narody wschodu „europeizują się”. Jest to proces nieunikniony w dążności do podnoszenia standardu życia. Nie jest już tam anachronizmem hasło „obrony praw człowieka”. Współpraca z inteligencją światłą w tych krajach stwarza perspektywę integracji korzystnej dla wzajemnych stosunków.

Rola harcerstwa we współpracy z młodzieżą (spotkania, obozy, imprezy sportowe, kulturalne...), również akademicką (staże, praktyki, studia...), stwarza nadzieję na szersze otwarcie granic i wzrost świadomości społecznej.

Nadzieję budzi bogaty kapitał wielowiekowej kultury tworzonej przez Polaków wraz z innymi narodami na kresach – jeszcze niestety niszczonej i przerabianej na ukraiński! Historia fałszowana przez prymitywny nacjonalizm (budowle, cmentarze, dokumentacja naukowa, dzieła sztuki...) jest dowodem barbarzyństwa. Mamy na-

dzieję, że resztki niezniszczone będą zachowane jako dowód wielowiekowej wspólnoty narodów, z jakiej wszyscy się wywodzimy. Będą drogą do ponownej integracji, w której każda narodowość znajdzie przyjazny klimat.

Taki model współpracy jest tworzony na kresach zachodnich z narodami zachodniej Europy. Pierwsze kroki czyni Wrocław, Szczecin i inne miasta. Budowanie przyszłości na prawdzie historycznej i przyjaźni przeciwdziała izolacjonizmowi.

Zachowanie równowagi psychosfery społecznej i politycznej po podziałach jakie poczyniła druga wojna światowa nie jest łatwe. Zmiana mentalności „dawnego wojownika” wobec postępu technicznego (środków przekazu i niszczenia) jest konieczna, jeżeli nie chcemy wrócić do wzorca Korei Północnej.

Romantyzm, który kształtował naszą tożsamość narodową jest pięknym wspomnieniem, przeżytkiem. Był on siłą napędową w drodze do wolności w okresie niewoli. Wyzwał bohaterstwo za „wolność Naszą i Waszą”, również w drugiej wojnie światowej. „Czerwone maki na Monte Cassino... i poszli do boju szaleńcy... jak Ci z Samosierry szaleńcy...” Dzisiaj solidarność międzynarodowa zmieniła oblicze. Nakazuje oszczędzać krew – zachować życie jako najwyższą wartość. Jest ona wynikiem rozwoju intelektualnego. Kraje zachodnie poniosły najmniejsze straty w ludziach w I i II wojnie światowej. Prawda ta nie dotarła jeszcze do świadomości wszystkich narodów, które usiłują zbrojnie rozstrzygać racje historyczne... mordując jak najwięcej ludności cywilnej (w czasie wojny Kresy, po wojnie Jugosławia, Afryka, Palestyna-Izrael i inne). Obecnie narastająca fala terroryzmu stwarza niełatwy problem dla narodów dążących do pokojowej integracji, tym bardziej jeżeli religia nie pozwala „wiernym” na przyjaźń z „niewiernymi”!

W obecnej sytuacji idea skautingu (Baden Powella) „przyjaźni, miłości bliźniego, internacjonalizmu szlachetnego...” jest bogatym kapitałem budowy drogi do lepszej przyszłości... Dyskusje weteranów harcerzy na spotkaniu w Korzkwi trwać mogłyby nieskończenie.

W drugim dniu msza św. Krótka dyskusja na temat przyszłego zjazdu. Wola trwania... Tradycyjne harcerskie pożegnanie w kręgu splecionych rąk. Czuwaj! Do spotkania w przyszłym roku... □



Harcerki z Wołynia na obozie w towarzystwie członków TMLiKPW (po prawej i w środku)



Harcerze z Wołynia na obozie

Młodzież polska z Wołynia na obozie harcerskim organizowanym przez Szczeciński Oddział TMLiKPW

W tym roku wyjątkowo nie nad morzem, lecz nad Zalewem Błedzewskim k. Skwierzyny, woj. gorzowskie 30 harcerzy – dziewczynek i chłopców z Wołynia pod opieką drużynowego D-ha Radica Aleksandra i Jego Matki, przebywało w dniach 5-24 lipca na obozie prowadzonym przez Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej.

Podróż z Przemyśla do Szczecina odbyli w obydwie strony w wagonach sypialnych. W Szczecinie po śniadaniu wyjazd do Wodnego Centrum Rekreacyjno-Sportowego w Gryfinie. Po obiedzie wyjazd na obóz.

Członkowie TMLiKPW odwiedzili młodzież na obozie celem nawiązania bliższego kontaktu, poznania warun-

ków obozowych oraz realizacji programu uzgodnionego uprzednio z prowadzącymi (ZHR) obóz. Uczestniczyli również we wspólnej Mszy św. polowej.

W drodze powrotnej młodzież miała okazję zwiedzić Szczecin (statkiem port). Odpoczynek i obiadokolacja u gościnnych OO Salezjanów. Do odjazdu towarzyszyli młodzieży członkowie Towarzystwa. Panie (członkinie) przygotowały dla młodzieży posiłek na drogę. Młodzież otrzymała na wyposażenie drużyny nowy sprzęt sportowy (namioty, śpiwory i inne).

Staraniem prof. Bolesława Nagaya udało się pozyskać sponsorów (Zespół Elektrowni Dolna Odra i Biuro Doradztwa i Pośrednictwa Ubezpieczeniowego) na sfi-

nansowanie obozu i zakup sprzętu obozowego. Staraniem dr. Krzysztofa Szczura leki i wsparcie finansowe „Caritas”.

Bardzo pozytywnie oceniliśmy młodzież, która zachowywała się wzorowo, była zdyscyplinowana, komunikatywna. Drużynami opiekują się w Zdobunowie proboszcz parafii św. Piotra i Pawła ks. Andrzej Ścisłowicz, a w Maniewiczach proboszcz parafii pw. św. Ducha ks. Andrzej Kwiczała.

Dla utrzymania dalszej współpracy wyraziliśmy gotowość goszczenia młodzieży harcerskiej w przyszłym roku w ośrodku harcerskim nad morzem.

Celem obozów harcerskich dla młodzieży z kresów (w odróżnieniu od kolonii urządzanych również we wcześniejszych latach) jest wykorzystanie metod wychowawczych jakie realizuje skauting (organizacja wyższej użyteczności społecznej) od 100 lat na całym świecie.

Wspólne obozy młodzieży polskiej zamieszkałej za granicą, jak również młodzieży innych narodowości, z młodzieżą zamieszkałą w kraju, posiadają bogatą tradycję od czasów powstania harcerstwa. Wspólne obozy zgodnie z ideą harcerską służą zbliżeniu narodów przez młodzież. Wychowaniu w duchu „szlachetnego internacjonalizmu” przy zachowaniu tożsamości narodowej.

W obecnej sytuacji społeczno-politycznej jest to najskuteczniejsza droga do integracji rzeczywistej. Jest działalnością wyprzedzającą formalno-prawne akty integracyjne, prowadzone przez struktury państwowe.

Idea TMLiKPW jest (wspólnie z innymi organizacjami) pomoc zarówno materialna jak i intelektualna. Czynimy starania, aby młodzież kresowa jako mniejszość narodowa wносиła wartości sprzyjające nie tylko koegzystencji, ale integracji, była użyteczna i szczęśliwa w kraju, w którym się urodziła i żyje. „Różnorodność kulturowa jest rodzajowi ludzkiemu tak niezbędna jak bioróżnorodność w przyrodzie” – głosi Deklaracja wydana przez UNESCO w 2001 r.

Czynimy starania, aby organizacje harcerskie w programach obozowych realizowały te wskazania, przekazując młodzieży z kresów dobre obyczaje i tradycję harcerstwa polskiego i zachowały język ojczysty.

W spotkaniach na obozach z młodzieżą kresową członkowie TMLiKPW nawiązują do życia harcerskiego (również obozów: na Wołyniu, Polesiu czy w Karpatach), w którym uczestniczyli przed laty.

Jesteśmy żywymi nośnikami historii niezafalszowanej! Przypominamy o sile idei harcerskiej, która kształtowała charakter ucząc zachowania norm współżycia, dyscypliny, dbałości o zdrowie, higienę osobistą, sprawność fizyczną. Zdobycie na obozie sprawności: pływaka, kucharza, majsterkowicza była ambicją i „obowią-

kiem”! Zdolności: wykonywanie dodatkowego sprzętu obozowego – jak brama obozowa, półki na naczynia i przedmioty osobiste, ołtarz polowy, ławki itp. były wyrazem pomysłowości, rozwijania myśli twórczej. Obóz harmonizujący z przyrodą z wkładem własnej inwencji był bliski każdemu, który uczestniczył w jego tworzeniu. Uczestnictwo w takiej atmosferze w apelach, ogniskach, mszach polowych (sygnalizowanych w czasie podniesienia gongiem obozowym i sygnałem baczność – trąbką) posiadało szczególny, niezapomniany charakter.

Ogniska wieczorne rozpoczynane uroczystością. Stojąc w kręgu wokół ogniska wznosił każdy rękę, a komendant wypowiadał piękną formułę: „Niech nam to ognisko płonie na radość, zbratanie i podniesienie dusz naszych” i płynęła tradycyjna pieśń „Płonie ognisko...”. Gawędy często prowadzone przez harcerzy pedagogów. Treścią gawęd były problemy osobiste (życiowe warunki, nauka), społeczne, historia..., bilans minionego dnia obozowego.

Wskazówki życiowe, zakodowane zostały w pamięci na długie lata. Z obozu wracaliśmy bardziej dojrzałi, wzbogaceni duchowo, wypoczęci i sprawniejsi fizycznie.

Niestety, odwiedzając obóz w tym roku nad Zalewem Bledzewskim nie mieliśmy okazji uczestniczenia we wspólnym ognisku, gawędzie – wyjechaliśmy wcześniej.

Przyszłe obozy postanowiliśmy organizować przynajmniej podobne do tych w przeszłości – bliskich twórcy idei skautingu – Baden Powella i polskich kontynuatorów we Lwowie – Aleksandry i Andrzeja Małkowskich. Realizacja tej wspaniałej idei szczególnie na obozach z młodzieżą polską zamieszkałą poza krajem zależy od przygotowania kadr instruktorskich... „Tempora mutantur...” □

Informacja z Gdyni

Informujemy uprzejmie, że w dniach 20-24.06.2005 r. przedstawicielki naszego Klubu Lwowian p.p. Janina Szymczak, Helena Kosman i Maria Jarema brały udział w wycieczce do Lwowa i Stanisławowa zorganizowanej przez księdza z parafii św. Piotra i św. Pawła w Gdańsku, ul. Żabi Kruk.

W kościele tym znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej Stanisławowskiej.

W imieniu członków naszego Klubu wymienione Panie złożyły na Cmentarzu Orląt we Lwowie wiązanek składającą się z 60 białoczerwonych goździków, tj. po jednym za każdy rok naszej nieobecności we Lwowie. Drugą wiązanek złożono na Cmentarzu Łyczakowskim na grobie naszego wieszczki Władysława Bełzy.

Od całej grupy wycieczkowej ksiądz Czesław złożył na grobie Nieznanego Żołnierza na Cmentarzu Orląt duży wieniec z białoczerwonych goździków.

Wycieczka była nadzwyczaj udana i wszyscy byliśmy dumni, że udało nam się być na dwa dni przed oficjalnym otwarciem Cmentarza Orląt.



Przy okazji dziękujemy Prezesowi naszego Towarzystwa p. Andrzejowi Kamińskiemu za wzruszające przemówienie w dniu otwarcia Cmentarza Orląt.

Pozdrawiamy serdecznie
Za Zarząd Klubu w Gdyni
Maria Jarema

Małgorzata Wawrzuta

Szkolne Koło Miłośników Lwowa w hałcnowskim Gimnazjum

Od kwietnia 2004 roku w naszym Gimnazjum w Hałcnowie działa Szkolne Koło Miłośników Kresów Południowo-Wschodnich. W ten sposób chcieliśmy zainteresować młodzież historią i losami naszych Wschodnich Rubieży tym bardziej, że nasza szkoła nosi zaszczytne imię Orląt Lwowskich. W statutowej działalności Koła określiliśmy nasze cele i zadania, które staramy się realizować. I tak co roku przygotowujemy środowiskowe i szkolne akademie z okazji Święta Niepodległości i Patrona, na które tradycyjnie zapraszamy członków bielskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz działaczy Wspólnoty Polskiej i Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Z działaczami wyżej wymienionych organizacji spotykamy się również przy okazji Świąt. Wtedy to siedząc przy wspólnym stole młodzież ma możliwość zapoznania się z kulturą i tradycją Świąt rodem ze Wschodu, smakując jednocześnie potraw specjalnie na tę okazję przygotowanych. Poza tym organizujemy różne okolicznościowe spotkania, jak to z 10 maja 2005 roku, z okazji 60 rocznicy zakończenia II wojny światowej, podczas którego byli żołnierze Armii Krajowej dzielili się swoimi wspomnieniami i przeżyciami z naszą młodzieżą, dla której była to lekcja historii na żywo. W ubiegłym roku szkolnym Koło liczyło 28 członków, aby jednak tematyką Kresów Wschodnich zainteresować jak najszerszą grupę uczniów, organizujemy różne konkursy, na razie szkolne, ale w przyszłości chcielibyśmy zachęcić do współpracy inne szkoły noszące imię Orląt Lwowskich. W naszej działalności duży nacisk kładziemy na pomoc charytatywną. Ogromnym sukcesem zakończyła się nasza akcja współorganizowana ze Wspólnotą Polską, w ramach której dzięki otwartości i zaangażowaniu naszej młodzieży przygotowaliśmy 46 paczek świątecznych dla dzieci polskich mieszkających za wschodnią granicą. Podobne akcje robiliśmy z Caritasem. Tym, czym chcielibyśmy się pochwalić, jest udane przedsię-

wzięcie związane z organizacją naszych wyjazdów na Ukrainę. To jest priorytetowe zadanie naszego Koła. W listopadzie 2004 roku byliśmy na trzydniowej wycieczce w stolicy Galicji Wschodniej – Lwowie, gdzie podziwialiśmy piękno lwowskiej architektury, wspaniałą i tak dla nas ważną nekropolię – Cmentarz Orląt Lwowskich, na którym są pochowani młodzi polscy bohaterowie, patroni naszego Gimnazjum. Atrakcją imprezy było ognisko, przy którym młodzież wraz z dorosłymi śpiewała lwowskie piosenki, i zakwaterowanie u rodzin polskich, które przyjęły nas bardzo gościnnie, jak na lwowian przystało.

Oto jak uczniowie komentowali wyjazd „Świetnie zorganizowana wycieczka! Dużo zwiedzania, przesympatyczni ludzie, żarty, śmiechy i do tego żywa lekcja historii! Jak dla mnie super, powinno być stanowczo więcej takich wyjazdów”.

Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom, w sierpniu tego roku zorganizowaliśmy kolejną wyprawę tym razem zapuszczając się trochę dalej na Wschód w podróż sentymentalną na Podole, w trakcie której zwiedziliśmy Żółkiew, Olesko, Podhorcie, Począjów, Zbaraż, Kamieniec Podolski i Chocim. Wszyscy uczestnicy wycieczki – młodzież, mieszkańcy Hałcnowa i zaproszeni goście – byli pod ogromnym wrażeniem tego, co zobaczyli nie kryjąc podziwu, zachwytu i dumy z przebogatej historii Polski obfitującej w wydarzenia wspaniałe i wielkie. Po trzech dniach nieprzerwanej podróży z nieukrywaniem żalem i smutkiem, a także łezką w oku pożegnaliśmy Kresy.

Tak oto w dużym skrócie przedstawia się działalność Szkolnego Koła Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w naszym Gimnazjum.

Intencją tego artykułu jest również nawiązanie współpracy ze szkołami noszącymi imię Orląt Lwowskich, do której zapraszamy na adres: Gimnazjum nr 6 im. Orląt Lwowskich, ul. Wincentego Witosa 96, Bielsko-Biała 43-300, woj. śląskie z dopiskiem „SZKMLiKPW”.

Opiekunka Koła mgr Małgorzata Wawrzuta



Członkowie Koła i zaproszeni goście na wycieczce we Lwowie

„W Hodowicy Tyś wsławiona...”

Słowami znanej, starej pieśni do Matki Bożej Pocieszenia z Hodowicy k. Lwowa rozpoczęła się uroczystość odpustowa właśnie ku czci Matki Bożej Pocieszenia w kościele parafialnym pw. Św. Jadwigi we Wrocławiu-Świnarach.

Ta uroczystość odbyła się w dniu 15 sierpnia 2005 roku w święto Matki Bożej Zielnej zgodnie z dawną tradycją już po raz trzeci pod przewodnictwem proboszcza tej parafii ks. kan. Zdzisława Więclawa z udziałem ks. kan. Franciszka Rozwoda i dwóch innych kapłanów z sąsiednich parafii.

W tym uroczystym odpuscie uczestniczyli dawni parafianie kościoła w Hodowicy oraz z okolicznych parafii – takich jak Nawaria, Sokolniki, Pustomyty – a dziś mieszkańcy Wrocławia i jego okolic.

Świątynię wypełnili starsi, młodzież i dzieci. O godz. 11.45 rozpoczęła się uroczysta odpustowa Eucharystia. Na początku ks. proboszcz Z. Więclaw powitał w serdecznych słowach wszystkich przybyłych na tę uroczystość. W słowach powitania podkreślił doniosłość tego święta – zaznaczając, że jest to święto Kresowian, którzy przed 60 laty musieli opuścić swoją rodzinną ziemię – Ziemię Lwowską. Osiedlili się na ziemi dolnośląskiej i tu przenieśli swoją wiarę, swoje tradycje, polskość i szczególny kult Matki Bożej Pocieszenia z Hodowicy.

Niezwykłą cześć ku Matce Bożej Pocieszenia z Hodowicy wyraziła Janina Oparowska w swoim wier-

szu pt. „W hołdzie Matce Bożej Pocieszenia z Hodowicy”.

Pod koniec Mszy św. zabrał głos ks. kan. Franciszek Rozwód, który ze wzruszeniem wspominał czasy, gdy jako wikariusz parafii Nawaria brał udział w uroczystościach odpustowych w Hodowicy – a było to w latach 1937-1939...

Wierni obecni w świątyni przyjęli jego słowa głośnie brawami. Następnie zasłużonemu księdzu seniorowi zaśpiewali pieśń „Życzymy, życzymy”.

Po nabożeństwie wszyscy zostali zaproszeni na wspólną agapę do sali parafialnej. Tu potoczyły się rozmowy wspomnieniowe o tym, jak to było kiedyś na odpuscie w Hodowicy. Szczególnie rozmawiano o zniszczonej tam świątyni.

Na zakończenie tej uroczystości ks. kan. Z. Więclaw podziękował wszystkim za udział w tym szczególnym święcie i zaprosił na podobną uroczystość za rok – 15 sierpnia 2006 roku.

Uroczystości i spotkania Kresowiaków tego rodzaju stają się umocnieniem więzi ludzi – często rozproszonych – ludzi, którzy przed 60 laty tworzyli zwarte wspólnoty parafialne, sąsiedzkie i rodzinne.

A przede wszystkim tych, którzy nie zapomnieli o Tej, która w „cudownym Obrazie uwielbiona, w Hodowicy wysławiona – Hodowicka Maryja”. □

Jestem stamtąd...

Skąd jesteś –
ktoś postawi pytanie
a ja odpowiem
z ziemi – gdzie pozostały moje korzenie.

Jestem stamtąd
gdzie moja ziemia rodzinna –
jestem z Kresów
z ziemi – bezprawnie obcym przekazaną.

Jestem z ziemi
z której całe pokolenia wyrwano
i w świat nieznanym
bezlitośnie iść kazano.

Tulaczy los
nam Polakom z Kresów zgotowano
i bez naszej woli
po różnych miejscach rozproszono.

Skąd jestem
gdy ktoś jeszcze o to mnie zapyta
odpowiem śmiało – z ziemi
na której krzywda ludzka jest wryta.

Morituri sunt...

Szare kamienne krzyże
w rzędach równiutko ułożone
na nich tabliczki metalowe
które mówią
kto kiedy i dlaczego
tu znalazł miejsce
ostatniego spoczynku –
krzyże
kamienne i twarde
jak ich odwaga i upór
gdy bronili
co było dla nich najcenniejsze
gdy poświęcali swoje młode życie
gdy umierali za wolność –
Ut liberi vivamus...

Moje serce zostało we Lwowie

Pod takim tytułem nagrał i wydał kolejną swą płytę CD oraz nagrania na taśmie magnetofonowej piosenek lwowskich Adam Wojdyła, Lwowiak z krwi i kości, zamieszkały w Przemyślu, nie z własnej woli tylko „dobrowolnoprinuditelno”, dzięki spotkaniu Wielkiej Trójki. Adaśku, jak każdy z nas, wyjeżdżając zostawił część swego serca w Lwowie i śpiewając niezapomnianym lwowskim bałakiem piosenki o naszym ukochanym mieście powraca nas wspomnieniami do Lwowa.

Autorami tekstów i melodii piosenek są znani przedwojenni autorzy: F. Konarski, REF-REN, M. Hemar oraz autorzy młodszego pokolenia: A. Nowosad, D. Borowiec, J. Masior, A. Wojdyła. Każdy rodowity Lwowiak, starszy, młody, pozostawiając Lwów z myślą i postanowieniem o powrocie, zabiera ze sobą część wspomnień jemu najbliższych: dom rodzinny, koledzy, swoją dzielnicę – Łyczaków, Gródek, Zamarstynów, Śródmieście, miejsca spotkań syrczych, parki, Wysoki Zamek... O tych miejscach i ukochanym Lwowie śpiewa Adaśku, były członek kapeli „Ta joj” z Przemyśla. Wierny swemu powołaniu chce rozbudzać w nas, utwierdzać, przekazywać pokoleniom w śpiewanych przez niego piosenkach miłość do Lwowa. Myślą przewodnią wykonywanych

przez Niego piosenek są słowa F. Konarskiego: „Do Was zwracam się najmłodszy, którzy macie w sobie choć kroplę krwi lwowskiej, pielęgnujcie lwowskie tradycje, lwowską gwarę, humor i piosenkę”. Mając taką płytę CD albo taśmę magnetofonową będziecie w stanie wykonać zlecenie F. Konarskiego.

Wydanie płyty trwało około półtora roku. Nie była to przyczyna techniczna tylko finansowa. A. Wojdyła nie był w stanie własnym kosztem wykonać postawione sobie zadanie. Ale w Polsce jeszcze żyją prawdziwi patrioci-Kresowiaczy – pomogli Adaśkowi finansowo. Do tematyki związanej z kulturą Kresów i Lwowa jak: Mrągowo, książki J. Janickiego, śpiewnik „Piosenki Lwowskie i Kresowe” E. Hliba dołączył się kolejny kamień, niezbędny dla budowy twierdzy wspomnień, piosenki nagrane i wydane przez A. Wojdyłę.

Słuchając 15 utworów muzycznych śpiewanych przez Adaśka nasze serca wzbogacają się wieloma kropelkami prawdziwej lwowskiej krwi. Młodsze pokolenie słuchowo odświeży opowiadania o Lwowie starszych i zapragnie jak najprędzej odwiedzić ukochany przez nas Lwów. Więc telefonujcie do A. Wojdyły do Przemyśla i bałakujcie z nim na temat CD i kaset magnetofonowych: tel. (016) 670 62 80. □

Bogusław Maziak

Wspomnienia

Naukowcy Politechniki Lwowskiej siłą napędową odbudowy i rozwoju polskiej Politechniki w Gdańsku od 1945 r.

Wstęp

W czerwcu 2005 r. pracownicy, absolwenci, studenci i przyjaciele Politechniki Gdańskiej obchodzili uroczystość 60-lecie przekształcenia niemieckiej PG w polską państwową szkołę akademicką. Nastąpiło to na mocy Dekretu KRN z 24.05.1945 r. W art. 2 pkt 1 postanowiono, że PG miała składać się z następujących wydziałów:

1. Inżynieria Lądowa,
2. Mechaniczno-elektryczny,
3. Budowa Okrętów,
4. Chemiczny.

Zgodnie z art. 2 pkt 2 Minister Oświaty był uprawniony do powoływania nowych wydziałów i oddziałów. Decyzja Rządu RP w/s odbudowy Politechniki i rozpoczęcia nauki została powzięta na początku 1945 r. Min. Oświaty powołał grupę naukowców pod przewodnictwem prof. S. Turskiego z udziałem inż. K. Kopeczkiego, dr. K. Kubika, inż. F. Otto i S. Szymańskiego, której zlecił wyjazd do Gdańska niezwłocznie po wyzwoleniu w celu rozpoznania stanu faktycznego budynków i wyposażenia uczelni. Po przybyciu na miejsce stwierdzono stan następujący: zawalenie się dachu i stropu głównego gmachu, zniszczenie auli, głównej klatki scho-

dowej i części sal. Pozostałe budynki i laboratoria miały zniszczone dachy, elewacje i wystrój wewnętrzny sal i pomieszczeń. Oszklenie wszystkich budynków było szczątkowe. W podobnym stanie były instalacje elektryczne, wodne i sanitarne. Raport z wizytacji przedstawiono Ministerstwu. Członkowie grupy kontrolnej samorzutnie rozpoczęli oczyszczanie rumowisk, zabezpieczanie istniejącego majątku przed dewastacją. Wkrótce przybył do Gdańska I rektor prof. S. Łukasiewicz (naukowiec z PLW.) z zadaniem kierowania odbudową, skompletowania kadry kierowniczej i naukowej, aby możliwe było rozpoczęcie studiów w 1945 r. Duża grupa wybitnych naukowców z PLW. zamierzała swoją przyszłość związać z PG, mimo że „deklaracja woli” środowiska lwowskiego została odrzucona (szerzej w treści wspomnień). Olbrzymie zniszczenia miasta i uczelni nie zachęcały do osiedlania się wyczerpanych tułaczek i schorowanych ludzi. Doświadczeni i przedsiębiorczy naukowcy potrafili wskrzesić nadzieję o realności nadzrędnego celu tj. stworzenia polskiej Politechniki w polskim Gdańsku. Potrzebny był ofiarny wysiłek, dobra organizacja pracy, inwencja oraz upór w dążeniu do celu. Równocześnie musiały docierać środki pieniężne i poprawiać się warunki życiowe pracowników i ich rodzin.

Najbliższymi współpracownikami I rektora byli prorektorzy prof. prof. E. Geisler, S. Turski i powoływani dziekani z pełnomocnictwami, obdarzeni zaufaniem w pracach programowych, kadrowych i rekrutacyjnych, ale bez środków pieniężnych (początki) na zlecane remonty i potrzebną aparaturę. Z lektury wspomnień dotyczących „rozruchu” wydziałów oceniał Państwo ogrom prac i trudności do pokonania przez profesurę. **Pracownicy z PLw. i innych uczelni posiadany twórczy potencjał: nowoczesną wiedzę, dorobek naukowy i uzdolnienia pedagogiczne ofiarowali nowej Politechnice i jej wychowankom. Wielu moich kolegów i ja – absolwenci różnych specjalności zaciągnęliśmy dług wobec naszych Profesorów, którego nie możemy już spłacić na Ziemi. Z głęboką wdzięcznością wspominam setki godzin wykładów i ćwiczeń oraz wychowawczą pracę hartującą nas do samodzielnego życia zawodowego, kształtującą nas na uczciwych ludzi. Z racji święta szacownej Politechniki i jej Twórców pragnę w tym momencie oddać hołd i złożyć symbolicznie synowski pocałunek na dłoni Profesorów, naszych Ojców i Mistrzów (prawdziwe po lwowsku).** Okupant sowiecki wyrzucając Ich z Politechniki i ze Lwowa chciał pozbawić prawa do satysfakcji ze wspaniałych osiągnięć 20-lecia międzywojennego i wykreślić z narodowej pamięci prawdę o 100-letniej służbie Lw.Sz.P i PLw., młodzieży polskiej i innych narodowości studiującej w latach rozbiorów i w II RP.

Wydział Architektury

Organizacją Wydziału zajmował się zespół naukowców w składzie: I dziekan prof. dr arch. Marian Osiński, art. malarz Władysław Lam i prof. arch. Władysław Czerny. Istnienie Wydziału usankcjonował Minister Oświaty w październiku 1945 r., gdyż w Dekrecie z maja 1945 r. pominięto Architekturę. Utworzono 16 katedr wypełniających wydzielone zadania, którymi kierowali następujący nauczyciele akademicki wysiedleni ze Lwowa:

1. prof. Franciszek Otto – katedra Geometrii Wykr. i Perspektywy Malars.,
2. prof. Władysław Lam – katedra Rysunku, Rzeźby i Malarstwa,
3. prof. Marian Osiński – katedra Historii Architektury Polskiej,
4. prof. Feliks Markowski – katedra Budownictwa Wiejskiego,
5. prof. Witold Minkiewicz – katedra Budownictwa Monumentalnego,
6. prof. Stefan Porębowicz – zakład Projektowania Bud. Służby Zdrowia,
7. prof. Wacław Rębiszewski – zakład Architekt. Wnętrz i Budynków Publiczn.

Pozostałymi katedrami kierowali naukowcy-przybyłe z innych uczelni.

Zadanie pierwszoplanowe to zorganizowanie miejsc pracy i nauki pozyskanej kadry i studentom. Wydział Architektury był inicjatorem odbudowy zabytkowych budowli, m.in. Ratusza, Złotej Bramy, Dworu Artusa oraz kościołów, zgodnie z opracowanymi: planem rozbudowy Gdańska i planem generalnym rozbudowy Trójmiasta. Ofiarna kadra naukowa i starsi studenci opracowali plan generalny i projekty techniczne rozbudowy zaple-

cza naukowego PG skorelowane z planami rozwoju perspektywicznego wydziałów.

Noty biograficzne wybranych profesorów

Prof. inż. arch. Marian Osiński (1883-1974)

Po egzaminie dojrzałości w 1908 r. wstąpił na Wydział Architektury Wyższej Szkoły Technicznej we Lwowie. Po zdaniu z wyróżnieniem egzaminu dyplomowego został asystentem na swoim wydziale. Jako stypendysta doskonalił umiejętności w Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie i na Politechnice w Monachium. Po powrocie na uczelnię wykładał jako docent przedmioty: formy architektoniczne i perspektywa malarska. Od 1930 r. kierował Katedrą Architektury Historycznej. W latach 1936-1938 był dziekanem Wydziału Architektury. Po wysiedleniu Go ze Lwowa czasowo pracował w Rzeszowie, skąd przeprowadził się do Gdańska, gdzie czekały nowe zadania w tworzonej Politechnice. Przyjął obowiązki I dziekana – organizatora Wydziału, które wypełniał do 1952 r. W 1946 r. uzyskał tytuł prof. zwyczajnego, co potwierdziło Jego kompetencje jako kierownika katedry AP (wstęp rozdziału). Dane mu było wcielać w życie programy odbudowy Gdańska i współpracować w rekonstrukcji architektury Pomorza (Szczecin, Koszalin, Kołobrzeg).

PG w uznaniu wybitnych osiągnięć Profesora nadała mu w 1970 r. tytuł doctora honoris causa. Plonem jego talentu są następujące budowle w kraju: kościoły parafialne w miejscowościach Polanka, Głębokie, Stale, Grębów, obiekty przemysłowe w Jaśle i Krośnie, wille we Lwowie, ratusz w Stryju, zrekonstruowany zamek w Żółkwi.

Prof. inż. arch. Witold Minkiewicz (1880-1961)

Urodził się w Irkucku, gdzie zesłano rodziców za udział w Powstaniu Styczniowym. W 1901 r. rozpoczął studia w Szkole Politechnicznej we Lwowie, w której uzyskał dyplom inż. architekta z odznaczeniem, oraz angaż na asystenta. W 1920 r. uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego, a po 5 następnych latach został profesorem zwyczajnym w Katedrze Architektury PLw. Począwszy od 1926 r. był dziekanem i przez 5 następnych kadencji prodziekanem Wydziału Architektury. W latach 1930/31 sprawował funkcję rektora PLw. W 1938 r. przyznano mu zaszczytny tytuł doctora honoris causa. Okupację przeżył we Lwowie. W 1945 r. został aresztowany przez NKWD i wywieziony do Donbasu, lecz po nekających przesłuchaniach został zwolniony. Wrócił do Lwowa, jednak zmuszono Go do wyjazdu w ostatnim transporcie wysiedleńców-pracowników PLw. Po przyjeździe do Gdańska został ciepło przyjęty przez przyjaciół z PLw. i rektora Politechniki, który powierzył mu odpowiedzialne zadania, a to: organizację i kierowanie Katedrą Architektury Monumentalnej, projektowanie i rekonstrukcję gmachu głównego PG. Mimo osłabionego zdrowia z właściwą Mu pasją i bezgraniczną pracowitością podolał wszystkim zadaniom. W 1960 r. otrzymał tytuł doctora honoris causa PG oraz w pełni zasłużony w 1938 r. Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. W powojennej Polsce również Nagrodę Państwową I st. i Order Sztandaru Pracy I klasy. Dzięki swym budowlom Profesor żyje w pamięci ludzi-użytkowników we Lwowie: rozbudowanej PLw., unowocześnionej Katedry Ormia-

skiej i kościoła im. Marii Magdaleny, klientów poczt w Boryslawiu, Sandomierzu i Ostrowcu Świętokrzyskim oraz kuracjuszy uroczego ponadczasowo Pensjonatu w Krynicy (nagroda I stop.).

Prof. art. malarz Władysław Lam (1893-1984)

Urodził się i uczył w miastach Bośni i Hercegowiny. Od dziecka przejawiał nieprzeciętne uzdolnienia malarzkie i wrażliwość na walory plastyczne otoczenia. Po powrocie do Krakowa studiował w ASP pod kier. T. Aksentowicza i J. Mehoffra w latach 1912-1918. Po studiach postanowił usamodzielnąć się, co realizował przyjmując kolejno posady: nauczyciela gimnastyki w Łodzi, nauczyciela rysunków w Korpusie Kadetów – Modlin, a także rysunku i malarstwa w gimnazjum w Poznaniu. Należał do grup artystycznych „Świt” i „Plastyka”, a będąc sekretarzem organizował wystawy w większych ośrodkach w kraju. Po wstąpieniu do Stowarzyszenia „Nowa Generacja” przeniósł się do Lwowa. Malował pejzaże, widoki architektoniczne, portrety, kompozycje figuralne. Przykłady prac: Stary most w Mostarze, portrety rodziców, Krajobraz z Oliwy, Budowa z klocków (Muzeum Narodowe we Wrocławiu), Sen (lwowska Galeria Obrazów – od 1936 r.). W 1934 r. kierownictwo PLw. zatrudniło Go na stanowisko Kierownika Katedry Rysunków Odręcznych i Figuralnych oraz przyznało tytuł zastępcy profesora. Funkcję piastował do sierpnia 1939 r. Później był samodzielnym pracownikiem. Po wysiedleniu ze Lwowa przybył do Gdańska, aby na Politechnice zorganizować Katedrę Rysunku i Rzeźby na Wydz. Arch. Utworzył związek twórców malarstwa i rzeźby, który urządził I wystawę malarstwa w salach PG (ogromne powodzenie) oraz w innych miastach. Po przejściu na emeryturę pracował z pełnym oddaniem jako pedagog i kontynuator własnej twórczości. Dużą wartość dla miłośników sztuki mają wydane książki, komentarze w katalogach wystawowych i rozprawy w czasopiśmie. Z racji udziału w wystawach i na specjalne zaproszenia zwiedził Włochy, Francję, Jugosławię, Szwajcarię, RFN i in. Był odznaczony wysokimi odznaczeniami państwowymi.

Prof. Franciszek Otto (1904-2000)

Rodowity lwowianin z rodziny wielodzietnej (4 braci, 2 siostry), syn pracownika PKP. Po egzaminie dojrzałości został studentem Wydziału Mechanicznego PLw. w 1921 r. Po egzaminie dyplomowym zasilł kadry pracowników naukowych jako asystent w Katedrze Geometrii Wykreślnej, w której pracował do 1941 r. Cieszył się uznaniem kolejnych zwierzchników, prof. A. Plamitzera i K. Bartla. W latach niemieckiej okupacji zmienił zawód, jednak nie zrezygnował ze swego powołania. Po utworzeniu Rządu Tymczasowego z siedzibą w Lublinie zgłosił się do Min. Oświaty, które włączyło Go do składu polskiej delegacji z zadaniem wyjazdu do Gdańska dla organizacji polskiej politechniki bezzwłocznie po wyzwoleniu tego miasta. Stan i program prac omówił wcześniej. Pan Franciszek został wciągnięty w wiry wielokierunkowych prac „reanimacyjnych” pogruchotanych gmachów i aparatury badawczej. Powołany na stanowisko Kierownika Katedry Geometrii Wykreślnej w 1945 r. bardzo operatywnie i metodycznie doglądał remontu sal, kompletacji wyposażenia (projektował meble do sal

wykładowych i ćwiczeń), organizował narzędzia i pomoce naukowe, najzdolniejszych studentów angażował na swoich asystentów. Był bardzo wymagającym przełożonym wobec asystentów i studentów. Nagradzał za solidność, innowacyjność w myśleniu i rozwiązywaniu zadań. W latach 1952-1954 i 1964-1966 był dziekanem Wydziału Architektury. Bardzo zaabsorbowany tą pracą, organizację Katedry powierzył zdolnym wychowankom (adiunktom i asystentom). Był wykładowcą swego przedmiotu dla studentów Architektury i Budownictwa Lądowego, tu „nie uznawał zastępstwa”. Wykładał na innych uczelniach Wybrzeża. Był autorem podręcznika i zbioru zadań z koronnego przedmiotu, recenzentem prac naukowych i wydawnictw specjalistycznych. Tytuł profesora zwyczajnego nauk technicznych uzyskał w 1972 r., tytuł doctora honoris causa otrzymał dopiero jako emerytowany profesor, czyli w 1985 r.

Wspomnienie studentki o Jej rozmowie z Profesorem po zdaniem egzaminie: Po „lekturze” indeksu nie wpisując oceny Profesor zapytał czy ojciec pani Danuty studiował na Wydziale Mechanicznym PLw. Po otrzymaniu odpowiedzi twierdzącej przypomniał, że jako asystent na Wydz. Inżynierii grał w reprezentacji Wydziału w piłkę nożną, z przeciwnikiem czyli drużyną Wydz. Mechanicznego, w której grał przyszły tatuś studentki Danusi. Tenże piłkarz kopnął przyszłego Profesora w kostkę. Zmartwiona i zaskoczona studentka przeprosiła Egzaminatora za nieumyślny zapewne „faul”. Profesor-gentelmen zastosował regułę „fair play” i wpisał studentce zasłużoną ocenę. Stawką meczu było I miejsce w piłce nożnej na Politechnice.

Wydział Chemiczny

Został utworzony na mocy Dekretu z 1945 r. I dziekanem był lwowianin prof. Włodzisław Wawryk. Do zadań Kierownika Wydziału należała odbudowa przydzielonego budynku, organizacja jednostek naukowo-dydaktycznych i wykonanie wszystkich prac zapewniających otwarcie Uczelni i rozpoczęcie studiów w 1945 r. Utworzono 14 katedr powierzając naukowcom z PLw. zorganizowanie i kierowanie częścią z nich jak niżej:

1. prof. W. Wawryk – katedra Mineralogii i Petrografii,
2. prof. P. Pompowski – katedra Technologii Ogólnej Nieorganicznej, od 1950 r. była to katedra Analizy Technicznej i Towaroznawstwa,
3. prof. B. Nartowski – katedra Technologii Paliw i Smarów,
4. prof. Z. Rozmej – katedra Technologii Przerobu Drewna i Torfu,
5. prof. H. Niewiadomski – katedra Chemii i Technologii Tłuszczów,
6. prof. W. Floriański – katedra Maszynoznawstwa Ogólnego i Chemicznego,
7. prof. W. Rosner – katedra Aparatury Chemicznej.

Pozostałe katedry władze Politechniki „obsadziły” doświadczonymi naukowcami z innych uczelni polskich. W październiku 1945 r. 214 studentów I i II roku rozpoczęło wykłady i ćwiczenia. Zatwierdzony program studiów wzorowano na obowiązującym na PLw. do 1939 r. W następnych latach naukowcy z PLw. pełnili wysokie funkcje na Wydziale. Prof. Wawryk był jednokrotnie dziekanem i prodziekanem, prof. Pampowski był dwukrotnie dziekanem i tyleż prodziekanem, prof. Rozmej

był jednokrotnie dziekanem i prodziekanem, prof. Niewiadomski był jednokrotnie prodziekanem i prorektorem PG.

Noty biograficzne wybranych naukowców

Prof. Włodzimierz Wawryk (1902-1963)

Ukończył Uniwersytet JK we Lwowie uzyskując tytuł doktora filozofii. W 1930 r. został młodszym asystentem w Katedrze Petrografii i Mineralogii w PLW. i UJK otrzymując jako słuchaczy i podopiecznych studentów II roku. W 1932 r. obronił doktorat z filozofii w zakresie mineralogii i petrografii. W katedrze kierowanej przez wybitnego naukowca prof. Juhana Tokarskiego szczególne znaczenie przypisano wykładom i ćwiczeniom o rozwoju nauki o złożach mineralnych występujących na ziemiach polskich. Po wybuchu II wojny światowej wykładał na Wydziale Rolniczo-lasowym i technikum chemicznym. Lwów opuścił przed ponownym wkroczeniem Sowietów, a do Gdańska przybył w kwietniu 1945 r., by uczestniczyć w odbudowie i organizacji Wydziału Chemii PG. Kierownikiem Katedry Mineralogii i Petrografii Wydz. Chemii został na początku 1946 r. W pracy naukowo-dydaktycznej wykorzystywał doświadczenia profesury wypracowane w PLW.

Anegdota

Prof. Wawryk egzaminując studentów I roku często rozszerzał pytania o nazwy i własności minerałów wyjętych z gabloty w pokoju egzaminacyjnym. Jeśli pytanie wykraczało poza stan wiedzy studenta, wówczas Profesor sięgał po ostatnie „łatwiejsze” do zdefiniowania próbki przechowywane w gablocie na korytarzu. Giełda pod drzwiami egzaminacyjnej sali i studenci II roku próbki te humorystycznie nazwali „wawryki”. Nazwę wbijali w głowy spiętych delikwentów przed wejściem na egzamin. Profesor wysłuchiwał cierpliwie odpowiedzi ofiary „giełdy”, a będąc w dobrym humorze stawiał trójkę. Pechowcy musieli zgłosić się na egzamin poprawkowy. Pechowcy wawryki „sprzedawali” młodszym na następnych sesjach egzaminacyjnych biorąc odwet za „blamaż”.

Prof. Tadeusz Pompowski (1910-1985)

Rodowity lwowianin. Wykształcenie średnie osiągnął we Lwowie, tu studiował na Wydziale Chemii, a PLW. ukończył uzyskaniem dyplomu inż. chemii w 1937 r. W okresie studiów pracował zawodowo w Stacji Doświadczalnej PLW. oraz jako asystent w laboratorium anal. chem. W latach okupacji początkowo był asystentem Katedry Technologii Nieorganicznej badającej wody, glebę i materiały budowlane, od 1941 r. pracował poza uczelnią. Po II wojnie światowej ponownie związał się z uczelnią – organizowaną PG. Jako adiunkt Wydziału Chemii wykładał chemię ogólną studentom Wydz. Budowy Okrętów, Elektrycznego i Mechanicznego. W 1948 r. obronił pracę doktorską, a już w 1947 r. został kierownikiem katedr wymienionych we wstępie o Wydziale Chemii. Piastował funkcje dziekana i prodziekana Wydziału Chemii (Wstęp rozdziału). Badania analityczne obejmowały wytwarzanie i oznaczanie związków chemicznych niezbędnych gospodarce narodowej i w pracach badawczych Wydziału Chemii. Opracowano i pilotowano nowe procesy w skali półtechnicznej, następnie technologię i aparaturę badawczą i wytwórczą. Osobisty

autorytet i nieprzeciętne zdolności organizacyjne służyły Mu jako atuty w załatwianiu kluczowych decyzji i środków pieniężnych na rozbudowę zaplecza badawczego i na nowoczesną aparaturę naukową. Dbał zawsze o dobro studentów i był przez całą brać bardzo lubiany, mimo że niejednokrotnie ostro, lecz zasadnie, ich karmił. W życiu osobistym towarzyski, serdeczny, pozbawiony egoizmu, po przyjacielsku odnosił się do młodszych, mniej doświadczonych kolegów. Aktywny w towarzystwach: NOT, ZNP, PTCH.

Prof. Zbigniew Rozmej (1908-1975)

Egzamin maturalny złożył w gimnazjum „Szkoła Lubelska”. W 1930 r. zdał egzamin konkursowy i został studentem Wydziału Chemii PLW. Zgodnie z zainteresowaniami specjalizował się w dziedzinie chemii organicznej odnosząc osobisty sukces – odkrywa nowy barwnik pracując pod kierunkiem prof. Leśniańskiego. W 1937 r. uzyskał dyplom inżyniera chemika, został zatrudniony na kierowniczych stanowiskach w zakładach destylacji żywicy i suchej destylacji drewna. Po wybuchu II wojny światowej oskarżony przez hitlerowców o sabotaż w zakładzie, został wysłany do obozu Sachsenhausen. Po półtorarocznej karze wyszedł na wolność dzięki staraniom Dyrekcji Lasów Państwowych. Pracował w różnych zakładach w swojej specjalności. Uczestniczył w produkcji materiałów wybuchowych, której wykrycie groziło śmiercią. Po aresztowaniu i ponownym uwolnieniu zakomspirował się do końca wojny. W 1948 r. prof. T. Pompowski zachęcił inż. Z. Rozmeja do pracy w nowej uczelni Gdańska, której kierownictwo z zadowoleniem powierzyło Mu organizację i kierowanie Katedrą Chemiczną Technologii Drewna i Torfu na Wydziale Chemii. Został opracowany i zatwierdzony program dla I i II roku studiów; operatywny Pan kierownik zdobył środki pieniężne na wyposażenie laboratorium chem. i na zakup specjalistycznej literatury obcojęzycznej. Dowody uznania za twórczą pracę to tytuły prof. nadzwyczajnego w 1954 r. i prof. zwyczajnego w 1964 r. Wyszkolił liczną kadrę naukową i przemysłową w nowej dziedzinie, był autorem wielu publikacji i podręczników. Otrzymał zasłużone odznaczenia państwowe.

Doc. inż. Bronisław Nartowski (1898-1955)

Rodowity lwowianin, chociaż świadectwo dojrzałości uzyskał po ukończeniu szkoły realnej w Wiedniu. Po wieloletnich studiach w Lwowskiej Szkole Politechnicznej przerywanych służbą wojskową w polskim wojsku (Szkoła Podchorążych Kolejnictwa), udziałem w walkach i pobytem na leczeniu ran „na tyłach”, w 1924 r. zdobył tytuł inż. chemika. Wcześniej był asystentem w Katedrze Technologii Chemicznej zorganizowanej przez prof. I. Mościckiego i wyposażonej w nowoczesną aparaturę za własne pieniądze. Prof. I. Mościcki był inicjatorem utworzenia spółki pn. „Metan”, w której inż. Nartowski pracował od początku. Bardzo cenne i pożyteczne były jej cele: pełnienie funkcji promotora postępu technicznego, współpraca przy rozbudowie polskiego przemysłu chemicznego oraz szkolenie młodej kadry naukowo-technicznej. Twórcza kadra wykonywała badania na płatne zlecenia, patentowała nowe technologie, konstruowała aparaturę badawczą i produkcyjną. Patenty i projekty sprzedawano w kraju i za granicą, a docho-

dy otrzymywała PLW. na rozwój wydziałów. W 1929 r. inż. B. Nartowski zachęcony przez prof. Mościckiego „przeszedł” do pracy w budowanej fabryce związków azotowych koło Tarnowa. Początkowo jako pracownik, a następnie kierownik wydziału syntezy amoniaku. Po II wojnie światowej w Zakładach Chemicznych w Oświęcimiu uruchamiał aparaturę do produkcji benzyny syntetycznej. Aparaturę przejęła Polska w ramach reparacji wojennych. W 1948 r. objął na PG stanowisko kierownika Katedry Technologii Paliw i Smarów. Dzięki gruntownej znajomości procesów produkcyjnych przemysłu chemicznego i doświadczeniu, co spożytkował na wykładach i w czasie ćwiczeń, został w 1954 r. mianowany docentem.

Prof. Henryk Niewiadomski (1905-1992)

Po zdaniu egzaminu dojrzałości w gimnazjum w Zakopanem został studentem Wydziału Chemii PLW. W 1927 r. uzyskał dyplom inż. chemii i rozpoczął pracę jako chemik zmianowy w Kopalni Soli Potasowych w Kaluszu. W latach trzydziestych ub. wieku pracował na odpowiedzialnych stanowiskach w przemyśle żywnościowym, ponadto naukowo na PLW., a w 1935 r. obronił doktorat. W latach okupacji wykonywał podrzędne prace i ukrywał się przed aresztowaniem. Po II wojnie światowej kierował kilkoma zakładami przemysłu tłuszczowego, a także wykładał na PLW. Od 1951 r., kiedy powołano Go na kierownika Katedry Chemii i Technologii Tłuszczów, poświęcił się pracy naukowej i dydaktycznej. Po utworzeniu Instytutu Chemii Organicznej i Żywności został jego dyrektorem. Tytuły profesorskie uzyskał w latach 1958 i 1964. Był autorem wielu publikacji i rozpraw, pracował jako członek Komitetu Technologii Chemii i Żywności PAN, a także jako przewodniczący i wiceprzewodniczący Rady Naukowej Instytutu Przemysłu Tłuszczowego. Wielokrotnie nagradzany i odznaczany.

Wydział Inżynierii Lądowej

Został utworzony na mocy Dekretu z maja 1945 r. Rektor PG mianował I dziekanem lwowianina – wybitnego naukowca prof. Karola Pomianowskiego, który zatwierdził nową nazwę wydziału jako Wydział Inżynierii Lądowej i Wodnej adekwatną do rozwoju technicznego kraju i gałęzi jak budownictwo morskie i wodne śródlądowe. Wydział został „dopięty” kadrowo i rozmieszczony w wygospodarowanych odremontowanych budynkach. W latach 1945-1952 Wydział składał się z 15 katedr zapewniających: prawidłowy profil studiów, prowadzenie prac badawczych i realizację prac inżynierskich na rzecz odbudowywanego Wybrzeża. Następujący naukowcy lwowianie podjęli trud organizacji i kierowania katedrami:

1. prof. K. Pomianowski – katedra Hydrauliki i Hydrologii i Budowy ZOSW,
2. prof. Z. Pazdro – katedra Geologii Inżynierskiej,
3. prof. S. Hükel – katedra Budowy Lotnisk, Hangarów i Boisk – do 1949 r.,
4. prof. S. Hükel – katedra Fundamentowania – do 1952 r.,
5. prof. B. Krzyszkowski – katedra Regulacji Rzek, Budowa Kanałów Spławnych,
6. prof. J. Krzyszkowski – katedra Gleboznawstwa,

7. prof. S. Szymborski – katedra Nauki o Ziemi (później katedra geologii Inżynierskiej).

Kierowanie pozostałymi katedrami powierzyło kierownictwo PG naukowcom z innych polskich uczelni wyższych.

Na mocy zarządzenia M.Sz.W. z 1952 r. z obecnego WILW (j.w.) **wyłoniono 7 specjalistycznych katedr tworząc nowy Wydział Budownictwa Wodnego.**

Następujący profesorowie lwowianie sprawowali wysokie funkcje na Politechnice Gdańskiej:

- prof. K. Pomianowski, I dziekan Wydziału ILW,
- prof. Władysław Bogucki, dziekan w latach 1950-1952 i 1958-1962,
- prof. Juliusz Szczygiel, dziekan w latach 1954-1956,
- prof. Zdzisław Pazdro, dziekan w latach 1952-1954,
- doc. Stanisław Szymborski, dziekan w latach 1958-1962,
- prof. Władysław Bogucki, rektor PG w latach 1966-1968,
- prof. Stanisław Hükel, rektor PG w latach 1954-1956.

Noty biograficzne wybranych naukowców

Prof. Władysław Bogucki (1910-1992)

Po ukończeniu gimnazjum w Krakowie został przyjęty na I rok studiów WIL i WPLW. W 1933 r. zdał z oceną „b. dobry” egzamin dyplomowy i wrócił do Krakowa, gdzie kierował robotami drogowymi w centrum miasta. Tu z rodziną przeżył okupację. Po zakończeniu II wojny światowej wyjechał do Gdańska i pracował krótko w Biurze Odbudowy Portów. Przyjął propozycję pracy na PG w charakterze adiunkta i wykładowcy w Katedrze Budownictwa Stalowego. Następnie został kierownikiem wspomnianej Katedry i Zakładu KBiM, w którym jako pierwszy w kraju zorganizował pracownię tensometryczną. Pełnił obowiązki rektora PG i dwukrotnie dziekana Wydziału. W pamięci studentów-wychowanków utrwalił się jako doskonały wykładowca, wymagający lecz sprawiedliwy i dobry człowiek. Interesował się warunkami pracy i bytowania swoich podopiecznych i pomagał w ich poprawie. Był ofiarnym społecznikiem działającym przez ZNP na rzecz idei budowy domków jednorodzinnych dla pracowników PG. Kontakt ze studentami utrzymywał będąc we władzach AZS i Akademickiego Klubu Morskiego. Był wielokrotnie odznaczany i nagradzany przez Radę Państwa i Ministerstwo.

Prof. Karol Pomianowski (1874-1948)

Rodowity lwowianin. Po ukończeniu szkoły średniej odbył studia na Wydziale Inżynierii LWSP do 1900 r. W latach 1901-1904 był asystentem w Katedrze Budownictwa Wodnego. Równolegle zaprojektował i kierował wykonaniem sieci kanalizacyjnej Lwowa. W 1909 r. był docentem w Katedrze Wodociągów i Kanalizacji miast. Oprócz wykładów zgodnych z profilem Katedry uczył: o oczyszczaniu wody przeznaczonej dla fabryk i mieszkańców miast, o budowie oczyszczalni i o procesie oczyszczania odpadów komunalnych. W 1912 r. został doktorem nauk technicznych, a po 2 kolejnych latach profesorem nadzwyczajnym. Od 1918 r. pracował na PW kierując Katedrą Budownictwa Wodnego do 1939 r. Prof. K. Pomianowski był obdarzony przez naturę zdolnościami projektanta wizjonera o wszechstronnym umyśle zdolnym do gruntownego opanowania i stosowania

wiedzy wielokierunkowej jak: budowa sieci wodno-kanalizacyjnej, oczyszczanie ścieków z urządzeniami do tego celu, hydrologia i hydraulika, gospodarka wodna, geologia i mechanika gruntów, budownictwo i fundamentowanie w terenach zawodnionych. Posiadał genialną intuicję i nieomylną w doborze optymalnych rozwiązań w mikro- i makroskali technicznej. Powyższe przykłady są przykładem bezbłędnego sprzężenia zwrotnego. Dodajmy, że Profesor korzystał z literatury zagranicznej mając biegłą znajomość języków: niemieckiego, angielskiego i francuskiego. Dzięki częstym wyjazdom do Szwajcarii, Włoch, Niemiec, Wielkiej Brytanii i USA utrzymywał z kierownikami i naukowcami nieprzerwane kontakty. Dlatego Jego wykłady i publikacje zawierały najnowszą wiedzę z dziedzin, w których był niekwestionowanym autorytetem. Po II wojnie światowej na prośbę Min. Oświaty zgodził się na przeniesienie do Gdańska. Rektor PG znał Profesora z PLW. i bezwzględnie mianował Go I dziekanem Wydziału ILiW oraz zgodził się na równoczesne kierowanie Katedrą H.HiB.ZoSW (początek rozdziału). Przed inauguracją I roku działalności polskiej Politechniki Szanowny Pan Karol otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. Profesor był wzorowym dydaktykiem i wychowawcą wielu inżynierów oraz najbliższych współpracowników-naukowców. Jego zalety umysłu i serdeczność oraz skromność budziły podziw, ale równocześnie były bodźcem do naśladowania. Przy współdziałaniu z kadrą naukową opracował i wydał dużo podręczników, książek oraz artykułów w prasie naukowej. Najważniejsze przykłady działalności badawczo-projektowej: urządzenia wodno-kanalizacyjne dla Warszawy, Gdyni, Kalisza, Zakopanego (oprócz Lwowa). Wykonał obliczenia katastru sił wodnych na Dunajcu, Sole, Skawie, Stryju, projekty wstępne zbiorników w Porąbce, Rożnowie, Czorsztynie, Solinie i Myczkowcach; stopni wodnych w Koronowie na Brdzie, na Bielanach na Wiśle. Projektował zakłady energetyczne – elektrownie szczytowo-pompowe na kilku naszych rzekach. Za olbrzymie zasługi dla kraju i uczelni: PLW. i PG był wielokrotnie odznaczany i nagradzany. Bardzo sobie cenił Krzyż Komandorski Orderu Polonia Restituta, którym odznaczył Go prezydent II RP prof. I. Mościcki.

Prof. Stanisław Hüchel (1911-1980)

Rodowity lwowianin przygotowany przez szkoły i doświadczenie życiowe do samodzielności w nauce, do ograniczania osobistych przyjemności dla dobra najbliższych. Po studiach na PLW. i uzyskaniu dyplomu inż. dróg i mostów z oceną bardzo dobrą rozpoczął pracę przy budowie portów rybackich we Władysławowie, Jastarni i Pucku. Od 1937 r. jako kierownik techniczny oddziału hydrotechniczno-drogowego opracowywał projekty techniczne inwestycji morskich i wodno-kanalizacyjnych i pełnił nadzór nad ich budową w porcie gdyńskim. W 1940 r. został zmuszony do wyjazdu z Gdyni, resztę okupacji przeżył w Krakowie. W 1945 r. wrócił na Wybrzeże, początkowo pracował w BOP w Gdańsku-Wrzeszczu jako naczelnik Wydziału Projektów i Konstr. w portach Gdyni i Gdańska. W październiku 1945 r. został adiunktem Katedry Budownictwa Morskiego i Portów na Wydziale ILiW PG. W 1950 r. nominowany na profesora nadzwyczajnego w swoim wydziale, tytuł pro-

fesora zwyczajnego uzyskał w 1962 r. Jako uznany w kraju i świecie autorytet był członkiem rzeczywistym PAN, członkiem korespondentem zagranicznym Akademii Nauk w Tuluzie. Był konsultantem rozbudowy portów na Kubie, w Albanii i w Chinach. Wykładał na uczelniach w Austrii, Francji, Holandii, USA, Czechosłowacji i Jugosławii. Opublikował wartościowe książki i podręczniki akademickie z dziedzin, w których był ekspertem i nauczycielem akademickim. Wychowankowie Profesora: pracownicy naukowo-dydaktyczni i praktycy wspominają Go jako wspaniałego człowieka, z którego wiedzy i pionierskich wówczas rozwiązań do dziś korzystają.

Prof. Zdzisław Pazdro (1903-1989)

Rodowity lwowianin. Edukację rozpoczął w szkole powszechnej, a patriotyzm wpajali mu rodzice i instruktorzy młodzieżowych drużyn niepodległościowych. Uczestniczył w Obronie Lwowa w 1918 r. w grupie sanitarniej odcinka w szkole Sienkiewicza. W niepodległej Polsce ukończył gimnazjum i UJK na kierunku geologia i paleontologia. W 1926 r. obronił pracę doktorską w dziedzinie geologii, bezpośrednio potem odbył dodatkowe studia z geologii regionalnej kartografii i paleontologii na uczelniach francuskich. Do 1939 r. pracował jako asystent, st. asystent i docent na UJK. Po przejściu do pracy na PLW. wykładał geologię ogólną i inżynierską do 1941 r. W okresie okupacji niemieckiej działał w konspiracji jako prezes Zarządu Okręgowego SN, a w 1944 r. był członkiem Rady Polskiej Ziemi Południowo-Wschodniej. W latach 1945-1946 był więziony przez NKWD za działalność patriotyczną. Zwolniony z więzienia opuścił Lwów razem z wysiedlonymi rodakami i poprzez Kraków „dotarł” do Gdańska. Bezwzględnie włączył się do odbudowy PG i organizacji jej struktur przyjmując odpowiedzialne funkcje dziekana Wydziału i członka Rady Wydziału. W roku akademickim 1959/1960 PG wykształciła ostatnich inż. geologów, a specjalność zawodowa „geologia inżynierska i hydrogeologia” została przeniesiona na UW zasilać Wydział Geologiczny, którego prof. Z. Pazdro został kierownikiem.

Wydział Mechaniczny – Elektryczny

Rektor PG mianował dziekanem Wydziału Mechanicznego prof. Karola Taylora, wybitnego naukowca z PW, a jako pomocnika przydzielił lwowianina prof. Wiktora Wiśniowskiego. Kierownictwo Wydziału operatywnie organizowało obsady osobowe dla katedr i dla celów rekrutacji studentów na I rok studiów. Równocześnie remontowano budynki, przygotowywano sale wykładowe. W Laboratorium Maszynowym uruchomiono elektrownię na potrzeby uczelni, która przesyłała prąd elektryczny do miasta i portu. W latach 1945-1946 utworzono 20 katedr. Naukowcom z Politechniki Lwowskiej Rektor wręczył nominacje kierownikom n/w jednostek:

1. prof. Maksymilian Huber – katedra Mechanika Techn. Wytrzymałości Mat.,
2. prof. Maksymilian Huber – katedra Wyższe Zagadnienia Mechaniki,
3. prof. Edward Geisler – katedra Budowy Obrabiarek do Metali,
4. prof. Wiktor Wiśniowski – katedra Teorii Maszyn Ciepłych,
5. prof. Adolf Polak – katedra Elementów Maszyn,

6. prof. Stanisław Łukaszewicz – katedra Maszyn Dźwigowych i Przenośn.,
7. prof. Robert Szewalski – katedra Turbin Parowych i Gazowych,
8. prof. Władysław Floriański – katedra Rysunku Technicznego.

W następnych latach utworzono katedry z nowymi specjalnościami powierzając je lwowianom, a to:

9. prof. Włodzimierz Mermon – katedra Obróbki Metali Skrawaniem,
10. prof. Włodzimierz Mermon – katedra Technologii Maszyn i z-d Techn.,
11. prof. Mieczysław Janiczek – katedra Obrabiarek i Mechan. Technol. Drewna,
12. prof. Leon Dreher – katedra Spawalnictwa z Zakł. dla Przemysłu Maszynowego i Okrętowego.

Zostały rozpracowane, wypróbowane i zastosowane w przemyśle nowe koncepcje i projekty konstrukcyjne autorstwa polskich naukowców kierujących zespołami specjalistów z Politechniki i z zakładów wytwórczych. Oto przykłady:

– maszyna parowa o N – 1300 KM skonstruowana pod kier. prof. A. Polaka, wykonana w Hucie „Zgoda” na Śląsku. „Zdała egzamin” jako główny napęd na I polskim rudowęglowcu „Soldek”, zbudowanym w Stoczni Gdańskiej przy współpracy specjalistów Wydziału Budowy Okrętów. Pływał pod polską banderą i z naszą załogą od 1949 r. Wymienieni twórcy zaprojektowali i zbudowali maszyny parowe o N – 2350 KM, napędzające statki większe niż s/s Soldek.

– kocioł parowy okrętowy zaprojektowano i wykonano pod kier. prof. A. Kozłowskiego. Montowano je na statkach przyczyniając się do zaniechania importu.

– samochód ciężarowy STAR 20 o ładown. 3,5 t. zaprojektowany pod kier. prof. M. Dębickiego, został jako polski prototyp wypróbowany i dopuszczony do prod. seryjnej. Wyrób ten dał początek produkcji nowych odmian samochodów ciężarowych.

– turbina parowa N – 2300 KW zaprojektowana zgodnie z założeniami prof. Roberta Szewalskiego została wykonana w Zamech'u-Elbląg dla potrzeb polskiej energetyki. Maszyny te również eksportowano.

– obrabiarki precyzyjne uniwersalne i specjalne dla przemysłu stocznioowego i maszynowego zaprojektowano pod kier. prof. E. Geislera.

Noty biograficzne (wybrani naukowcy)

Prof. Maksymilian Huber (1872-1950)

Wykształcenie średnie uzyskał we Lwowie. W 1895 r. ukończył studia na Wydziale Inżynierii Lw.S.P. Jako wybitny inżynier został asystentem w Katedrze Budowy Dróg i Tuneli. Odbył roczne studia uzupełniające na Uniwersytecie w Berlinie. Krótko po powrocie obronił pracę doktorską na opracowywany wcześniej temat z teorii sprężystości ciał stałych. Od 1908 r. był kierownikiem KMT z tytułem profesora, a następnie dziekanem WJ. Kariera naukowa Profesora została przerwana wskutek wybuchu I wojny światowej, której zrządzeniem został żołnierzem austriackim i losowo obrońcą twierdzy Przemyśla. Po wojnie wrócił do pracy w LSZP, a po przemianowaniu Uczelni Na Politechnikę Lwowską został jej rektorem w okresie lat 1922-1923. W 1928 r. opuścił Lwów i zamieszkał w Warszawie. Tutejsza Po-

litechnika zatrudniła Go jako kierownika Katedry Mechaniki. Po dramatycznych przeżyciach w okupowanej Warszawie (Powstanie Warszawskie) znalazł się w Pruszkowie i Zakopanem. W 1945 r. zamieszkał w Gdańsku i uczestniczył w pracach organizacyjnych profesury na Politechnice. Mimo słabego zdrowia, trudnych warunków bytowania podjął się kierowania dwiema katedrami oraz urządzenia laboratorium wytrzymałości i mechaniki (szczegółowe nazewnictwo – początek rozdziału). Podczas uroczystej inauguracji roku akademickiego PG w dniu 9.04.1946 r. prof. M. Huber wygłosił inauguracyjny odczyt pt. „Technika współczesna a wiedza przyrodnicza”. Po ukończeniu odczytu zgromadzeni w auli zaproszeni goście, pracownicy i studenci zgotowali Autorowi długotrwałą owację. W 1949 r. prof. M. Huber zamieszkał w Krakowie i przyjął funkcję Kierownika specjalnie dla Niego utworzonej Katedry Wyższych Zagadnień Mechaniki w AGH. Dorobek naukowy i zasługi w dziedzinie kształcenia współpracowników i studentów, wiodąca rola w tworzeniu bazy dla wszechstronnych badań i ich dokumentowania na uczelniach, opublikowanie wcześniej napisanych monografii: „Teoria sprężystości” i „Mechanika ogólna” oraz wielu oryginalnych prac, stawiają prof. M. Hubera w rzędzie najbardziej zasłużonych twórców nauki polskiej XX wieku. Z okazji 50-lecia pracy naukowej profesora, Jego przyjaciele opracowali Księgę Jubileuszową, która zawierała przyczynki naukowe kilkudziesięciu naukowców nawiązujących do bezcennych dokonań Jubilata. Księgę wręczyli Profesorowi w Krakowie prof. R. Szewalski i rektor PG 30 XI 1950 r. Było to pożegnalne spotkanie przyjaciół-naukowców, gdyż w grudniu tego roku prof. Huber zmarł.

Prof. Stanisław Łukasiewicz (1884-1960)

Wykształcenie średnie uzyskał w Warszawie, a tytuł inż. dyplomowanego na Politechnice w Dreźnie. Po powrocie do Warszawy był asystentem w katedrze Części Maszyn, następnie jako zastępca profesora wykładał w Katedrze Dźwignic. W II RP był naczelnikiem wydziału Min. WRiOP. W 1927 r. przyjął funkcję kierownika Katedry Maszyn Dźwigowych w PLW. i tytuł profesora nadzwyczajnego, a po 10 latach otrzymał nominację na profesora zwyczajnego. Profesor pasjonował się lotnictwem i sportem szybocowym, sprzyjał pasji twórczej studentów zrekrutowanych w Aeroklubie Lwowskim. W gremiach specjalistycznych był orędownikiem wytwarzania szyboców w warsztatach uczelnianych we Lwowie.

Podczas okupacji sowieckiej Profesora pozbawiono pełnionych funkcji na PLW., był szykanowany przez NKWD, pozbawiono go praw członka związku zawodowego, co oznaczało dyskryminację: w formie nie uzyskania paszportu, zakazu zmiany miejsca pobytu, nieuznawania usankcjonowanych kwalifikacji. W latach okupacji niemieckiej był nauczycielem w szkole zawodowej po likwidacji PLW. Przed końcem wojny wyjechał ze Lwowa, by uniknąć kolejnych represji. Po wyzwoleniu części terytorium Polski zgłosił Min. WRiOP w Lublinie gotowość organizacji polskiej uczelni w Gdańsku. Minister powołał prof. Łukasiewicza na rektora-organizatora polskiej Politechniki, co uprawniało Go do wyjazdu do Gdańska bezpośrednio po wyzwoleniu. Zadaniem głównym było zabezpieczenie majątku uczelni przed grabie-

żą i niszczeniem i odbudowa ze zniszczeń. Rektor-organizator zawiadomił o tym kolegów z PLw. i zaprosił do współpracy. Naukowcy po konsultacjach wyrazili zgodę, jednak zażądali przeniesienia kadry „in corpore” do Gdańska, by utworzyć polską Politechnikę Morską. Ówczesny minister W. Bieńkowski nie zgodził się, podając jako uzasadnienie konieczność organizacji uczelni technicznych również we Wrocławiu, Gliwicach, Krakowie, w których lwowscy profesorowie powinni być kadrą kierowniczo-organizacyjną. Rektor S. Łukasiewicz pomyślnie wykonał zadanie, gdyż duża grupa naukowców ze Lwowa wybrała Gdańsk i animowała polską Politechnikę.

Edward Geisler (1884-1966)

Po uzyskaniu średniego wykształcenia w Warszawie studiował na Politechnice w Rydze, którą ukończył w 1908 r. uzyskując dyplom inż. mechanika z odznaczeniem. Po dwuletnim stażu przemysłowym w W. Brytanii wrócił do Warszawy. Pracował w produkcji maszyn, następnie jako konstruktor w fabryce obrabiarek „Gerlach”, a w Szkole Technicznej im. W. i R. wykładał przedmiot „obróbka metali i obrabiarki”. W 1921 r. został kierownikiem Katedry Obróbki Metali na WMPLw., uzyskał też tytuł profesora nadzwyczajnego. Jako naukowiec i dydaktyk w dziedzinach konstrukcja i budowa obrabiarek, równorzędnie traktował zagadnienia technologii obróbki i metrologii warsztatowej, oraz projektowanie zakładów przemysłu metalowego. W 1923 r. uzyskał tytuł profesora zwyczajnego i przyjął dodatkowe obowiązki jako dziekan WM w latach 1923-24, 1933-1935 oraz wicedziekan w latach 1924-25. Ścisłe współpracował z zakładami Cegielskiego i fabryką Obrabiarek „Zieleniewski” w Sosnowcu. Był orędownikiem i realizatorem programu rozwoju PLw. i jej rozbudowy z finałem na 100-lecie działalności. Niestety II wojna światowa i dwie okupacje zniweczyły cenne przedsięwzięcia. Profesor jako przedwojenny kurator studenckiego „Bratniaka” i orędownik uprawnień studentów stał się jedną z ofiar sowieckiego okupanta. Przez okres roku był więziony, męczony przesłuchaniami przez zbirów NKWD, po czym został zwolniony w stanie skrajnego wyczerpania. Po wyleczeniu się pracował do końca wojny w „okaleczonej” uczelni zarządzanej przez politycznych sługusów.

Pracował w grupie naukowców organizujących akcję wysiedleńczą rodzin naukowców i innych lwowian. Osobiście kierował jednym transportem wysiedlonych na Ziemię Odzyskaną, z których część dotarła do Gdańska. Profesor E. Geisler zamieszkał tu i przystąpił do pracy organizacyjnej i naukowej na polskiej Politechnice. Rektor PG znając przymioty umysłu i charakteru kolegi z PLw. powierzył mu odpowiedzialną funkcję prorektora. Mógł zatem prorektor E. Geisler wykorzystać doświadczenie m.in. do opiniowania i zatwierdzania struktury organizacyjnej uczelni i wewnątrzwydziałowych. Po dyskusjach powstały modyfikacje składu wydziałów w stosunku do stanu na podstawie Dekretu z 1945 r., np.: powstał WM – oddzielono od niego WE z łącznością, zaakceptowano propozycje dziekana WJL (opis wcześniejszy). Po wykonaniu przydzielonych zadań prof. E. Geisler pracował przez wiele lat jako kierownik Katedry BOM. Wykształcił wielu bardzo dobrych

specjalistów, którzy w odbudowanych i nowych zakładach byli twórcami postępu techniczno-technologicznego. Na wykładach i na spotkaniach ze studentami kreował cechy dobrego inżyniera jak: inicjatywa, samodzielność i odpowiedzialność w pracy oraz umiejętność efektywnego korzystania z owoców pracy mądrych autorów podręczników i poradników. Był autorem kulturowo cennych publikacji i podręczników z dziedziny wiedzy, które były Jego „credo”. Za zasługi w rozwoju polskiego przemysłu i za działalność naukową i dydaktyczną był w 1937 r. uhonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz nagrodami resortowymi.

Prof. Robert Szewalski (1903-1983)

Urodził się w mieście Nisko, woj. lwowskie, tu uzyskał maturę. Uczestniczył w „Obronie Lwowa” i w walkach o Kresy i Polskę. Po wojnie rozpoczął studia na PLw. W 1929 r. uzyskał dyplom inżyniera mechanika z odznaczeniem. Będąc studentem pracował jako asystent w katedrze MP. Inż. R. Szewalski otrzymał od uczelni stypendium i zlecenie odbycia rocznego stażu pracy w Niemczech przy produkcji turbin parowych. Przez następny rok zgłębiał tajniki wiedzy z tmc i budowy turbin na politechnice w Monachium. Po powrocie na Uczelnię wznowił zajęcia ze studentami i przygotowywał obronę pracy doktorskiej, która zakończyła się sukcesem młodego doktoranta. Kierownictwo PLw. akceptując walory naukowo-dydaktyczne i pasję w opanowaniu nowoczesnego kierunku techniki przez dra Szewalskiego wytypowało Go na kolejny staż w zakładach energetycznych w Szwajcarii. W wyniku najazdu na Polskę przez Niemcy i Związek Sowiecki zniweczony został wzorowy system kształcenia i badań na Politechnice i w kraju. Dr Szewalski brał udział w walkach w wojskach lotniczych, po klęsce wrócił do rodziny. Pozostał polskim żołnierzem w konspiracji (AK). W 1940 r. odbyła się weryfikacja polskich naukowców przez naukową komisję z Moskwy z wynikiem wysoce pozytywnym. Rosjanie byli zaskoczeni wysokim poziomem naukowym i biegłą znajomością języków obcych przez „odpytywanych”. Pracownicy otrzymali nowe angaże i nędzne, ale stabilne, płace. Dr R. Szewalski został uznany za bezkonkurencyjnego specjalistę w wiadomych dziedzinach i zatrudniony jako kierownik katedry DiKMiMPT. Stanowisko przywrócone w 1944 r. piastował do czasu wysiedlenia do Polski w 1945 r.

Po gremialnej dramatycznej decyzji personelu dydaktycznego Politechniki o opuszczeniu Lwowa na zawsze i o wyjeździe do Polski, by uczestniczyć w odbudowie i kształceniu potrzebnych specjalistów, naukowcy ochotniczo podjęli się zorganizowania akcji wysiedleńczej. Prof. Szewalski opracował system organizacji uwzględniający: skompletowanie osób i rodzin, przewożenie na dworce kolejowe, przygotowanie osiągalnych pociągów, zapewnienie łączności między wysiedlanymi a urzędnikami PUR i konwojentami kolejowymi. Łącznikami byli nadzorujący pociągi naukowcy. Grupa I – nadzór prof. Geisler – wyjechała w miesiącach V-VI 1945 r. Grupa IIa – nadzór prof. Szewalski – wyjechała w miesiącu X 1945 r. grupa IIb – nadzór prof. Kuryłowicz – wyjechała w miesiącu XI 1945 r. Grupa III – nadzór prof. Burzyński – wyjechała w miesiącu

VI 1946 r. Na PG zorganizował katedrę TPiG, której dalszy rozwój wiązał z rekonstrukcją gospodarki energetycznej i budową zakładów-wytwórni turbin. Prof. Szewalski przekonał do swych koncepcji kierownictwo uczelni i ministerstwa, co zaowocowało utworzeniem biura turbinowego przy PG – pierwszej jednostki organizacyjnej przemysłu maszyn wirnikowych. W latach 1951-1954 będąc rektorem Politechniki zrealizował m.in. plan rozbudowy uczelni (budynki, laboratoria i domy akademickie). W 1955 r. Profesor został dyrektorem Instytutu Maszyn Przepływowych PAN, której członkiem rzeczywistym był od 1961 r. Z okazji 40-lecia pracy naukowej Profesora-Jubilata PAN wydała Księgę Jubileuszową pt. „Zagadnienia maszyn przepływowych”. W opracowaniu jej zaangażowanych było kilkudziesięciu autorów z najbardziej rozwiniętych państw świata. Po przejściu na emeryturę w 1973 r. nie rozstał się z życiową pasją, nadal wykładał i nadzorował badania naukowe na PG i w Instytucie Maszyn Przepływowych. Był zapraszany z własnymi wykładami przez uczelnie zachodnioeuropejskie i Stanów Zjednoczonych. Twórczy dorobek Profesora zawarty jest w publikacjach i rezultatach badań oraz nowoczesnych wówczas turbinach parowych i gazowych. Wszechstronne uzdolnienia, wysoka kultura osobista, traktowanie przez Profesora studentów sprawiedliwie, lecz po partnersku sprawiły, że był naszym wzorem osobowym często niedościgłym. Z okazji 50-lecia pracy naukowej władze PG nadały mu zasłużony tytuł doctora honoris causa. Posiadał najwyższe odznaczenia państwowe: Nagroda Państwowa I st., Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, Order Sztandaru Pracy.

Prof. Adolf Polak (1890-1967)

Rodowity lwowianin. Po ukończeniu szkoły średniej rozpoczął studia w Lw.SP, które przerwały działania wojenne i powołanie pana Adolfa do służby w marynarce wojennej prusko-austriackiej. Po wojnie wrócił na PLw., którą ukończył jako inż. mechanik w 1922 r. Został asyntenem w katedrze BST, kierowanej przez prof. Ebermana (naukowiec, konstruktor). Inż. Polak zdobywał doświadczenie, rozwijał uzdolnienia w obranej specjalności zawodowej w młodym zespole pod „okiem” wytrawnego kierownika katedry. Powstały projekty silników, które wytwarzano w polskich spółkach: Budowy Parowozów, Zakłady Lilpopa w Warszawie, zakłady „Cegielski”. Realizowano zamówienia napływające z firm z zachodniej Europy. Inż. Polak został upoważniony do prowadzenia samodzielnie wykładów i ćwiczeń z konstrukcji i budowy silników spalinowych. W 1939 r. był już adiunktem i kandydatem na kierownika Katedry BST. Wojna i okupacja zniszczyły plany kierownictwa Wydziału. Po wojnie zamieszkał w Gdańsku i przyłączył się do kadry profesorskiej utworzonej PG, a wykonywał ofiarnie wszystko, aby przyspieszyć powstanie z gruzów polskiej uczelni. W 1950 r. uzyskał tytuł profesora zwyczajnego jako kierownik katedry Maszyn Parowych, przemianowanej później na katedrę Silników Spalinowych. Wybrane przykłady dorobku inżynierskiego Profesora omówiono wcześniej. Przywołam inny przykład korzystnej współpracy nauki i przemysłu: w katedrze skonstruowano i po wykonaniu przebadano i zastosowano silnik wysokoprężny do napędu kutrów rybackich,

które budowano w Stoczni w Pucku. Za wybitne i pionierskie dokonania dla przemysłu i za zasługi w kształceniu naukowców i inżynierów uhonorowany został Państwową Nagrodą II st. oraz Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. W 1960 r. przeszedł na zasłużoną emeryturę. Dzięki przymiotom umysłu i zaufaniu, jakim nas darzył, oraz wielkiej cierpliwości, jaką okazywał studentom na wykładach i podczas egzaminów zaskarbił sobie naszą wdzięczność i ogromny szacunek. Jako lwowianin „z krwi i kości” obdarzony oryginalnym poczuciem humoru, żartował czasem z nas, co przyjmowaliśmy z pokorą bez urazy. Prof. A. Polak był mistrzem w posługiwaniu się ojczyzną mową w sposób zwięzły i matematycznie precyzyjny. Podobają mu się oryginalne pomysły i mądra obrona swoich – studenta racji. Nie lubił rozumowania szablonowego, pseudonaukowego.

Wspomnienie osobiste i anegdota

Podczas seminarium kolega otrzymał od Profesora zadanie z mechaniki. W odpowiedzi należało napisać wynik i poprawnie go odczytać. Po chwili kolega zgłosił, że wynikiem jest liczba 1,5; głośno odpowiedział: jeden i pięć dziesiątych. Prof. zakwestionował brzmienie odpowiedzi prosząc o skrócone brzmienie. Kolega po namyśle odpowiedział: piszemy 1 1/2, mówimy jeden i jedna druga. Prof. ponownie prosił o najkrótszą odpowiedź. Koledze zabrakło konceptu i nastąpiła męcząca cisza, którą przerwał Egzaminator oznajmiając głębokim basem zabarwionym bałakiem: „ma być PÓŁTORA pani kolegu”. Z zadowoleniem pogładził spracowaną dłonią wielkości łopatkę saperskiej własną wygoloną „makitrę”.

Inny przykład ilustrujący kpiarskie nastawienie Profesora do nowomowy ćwierćinteligentów: Profesor znudzony drętymi wystąpieniami uczestników narady nt. problemów w eksploatacji taboru kolejowego, w tym szczególnie kwestii przyspieszonego „wybijania się” osi i łożysk w ostatnich wagonach, dobitnie uroczym basem doradził: „proponuję odczepić »ustatny« wagon” i opuścić gremium kręcąc laską jak korbą startową silnika spalinowego.

Prof. Wiktor Wiśniowski (1903-1990)

Ukończył gimnazjum w Przemyślu. W czasie studiów na PLw. pracował jako młodszy asystent w katedrze MiPM. Zaangażował się w badania naukowe gazu ziemnego i węgla kamiennego oraz prototypów palnika przemysłowego na gaz, kotła i palenisk kotłowych. W 1934 r. uzyskał stopień inż. mechanika i stanowisko st. asystenta. W następnym roku został adiunktem zatrudnionym w KMC na Wydziale Mechanicznym. We wrześniu 1939 r. wcielony do wojska walczył w Warszawie. W 1945 r. zamieszkał w Gdańsku i pracował przy odbudowie PG. Mianowany pomocnikiem I dziekana Wydziału Mechanicznego zaangażował się do prac organizacyjnych, jednocześnie tworzył katedrę TMCiLC. Od I roku akademickiego prowadził wykłady i ćwiczenia z tmc na Wydziałach M i BO, na WCH i E wykłady z termodynamiki tech. Dzięki uruchomieniu LC wyposażonego w niezbędną aparaturę prof. W. Wiśniowski realizował zamówienia na badania dla przemysłu. Profesor był również naukowcem-działaczem i doradcą jako sekretarz Rady WM.

Wydział Elektryczny

Władze naczelne tworzonej Politechniki powołały samodzielny Wydział, mając na uwadze przedwojenne doświadczenia polskich uczelni wyższych i perspektywę rozwoju nowych dziedzin gospodarki. Było to drugie odstępstwo od treści Dekretu z 1945 r.

Organizację WE powierzono młodemu naukowcowi PLw. i doświadczonemu praktykowi zastępcy prof. Kazimierzowi Kopeckiemu. Kierownictwo Wydziału oceniło realnie potrzeby i możliwości w zakresie kształcenia i badań i postanowiło utworzyć 4 sekcje: eksploatacji, konstrukcji, radiotechniki i telefonii. W rozpoczęciu studiów w październiku 1945 r. uczestniczyło dziewięciu pracowników naukowych, 220 studentów I roku, a II, III, IV roku łącznie 31 studentów. W składzie osobowym kadry byli następujący naukowcy z PLw.:

- zastępca prof. Kazimierz Kopecki – specj. z urządzeń i gospodarki energetycznej,
- prof. Łukasz Dorosz – specj. telekomunikacji przewodowej,
- prof. nadzwyczajny Feliks Błocki – specj. urządzeń transmisyjnych i miernictwa,
- adj. inż. Mieczysław Rodkiewicz – specj. trakcji elektrycznej.

Zgodnie z zarządzeniem MSW w 1952 r. utworzono WŁ, rozdzielono kadry i katedry (zakłady) zgodnie ze specyfiką branż. W nowym WE naukowcy z PLw. kierowali następującymi katedrami:

- prof. K. Kopecki – katedra Urządzeń, Sieci Elektrycznych i Gospodarki Elektrycznej,
- adj. M. Rodkiewicz – katedra Trakcji Elektrycznej.

Naukowcy swoim zaangażowaniem potrafili zaszczepić studentom zamiłowanie do twórczej pracy i zachęcić ich do pozostania na uczelni. Mimo skromnych wynagrodzeń grono asystentów powiększało się stanowiąc rezerwy kadrowe Wydziału. Doświadczeni naukowcy rozumieli konieczność współpracy nauki z przemysłem w zakresie nowych sieci, aparatury i urządzeń, a z energetyką projektowania i budowy nowoczesnych stacji, systemów ochrony odgromowej i przeciwpożarowej. Dużą część wyposażenia do laboratoriów wykonali dyplomanci, a także zakłady budowy aparatury.

Wydział Łączności

Po pierwszym okresie działalności WE, po stabilizacji kadrowej i poprawie warunków studiów, zaistniała potrzeba wyodrębnienia sekcji Teletechniki i Radiotechniki działających samodzielnie naukowo i dydaktycznie od początku. Dlatego wspomniane zarządzenie z 1952 r. zalegalizowało utworzenie niezależnych dwóch Wydziałów. Kierownictwo Wydziału utworzyło 6 katedr. Naukowcy z PLw. kierowali: prof. Ł. Dorosz – katedrą Techniki Przenoszenia Przewodowego, prof. F. Błocki – katedrą Teletechniki Łączeniowej. Kadra naukowa i dydaktyczna zaakceptowała szybkie zmiany technologiczne i systemowe zachodzące w świecie w dziedzinie elektroniki, informatyki i telekomunikacji. W następnych latach utworzono następne katedry: Radionawigacji, Techniki Fal Ultrakrótkich, Miernictwa Telekomunikacyjnego, a kierowanie nimi powierzono młodym naukowcom – wychowankom PG.

Noty biograficzne profesorów

Prof. Kazimierz Kopecki (1904-1984)

Po ukończeniu szkoły średniej rozpoczął studia na WMPLw., w czasie których powierzono mu obowiązki asystenta w kat. PiME. Po uzyskaniu dyplomu inż. elektryka podjął pracę w energetyce. Do organizacji szkolnictwa wyższego wrócił po II wojnie światowej po przyjeździe do Gdańska jako delegat Min. WRiOP, oceniający stan dawnej niemieckiej wyższej uczelni i warunki odbudowy jako Politechniki Gdańskiej (szczegóły podałem wcześniej). Powierzone obowiązki dziekana wypełniał do 1950 r. W tymże roku uzyskał stopień dr. nt. Był również dziekanem WSJ w PG. W latach 1951-1954 i 1954-1956 był prorektorem ds. nauczania, a w latach 1960-1966 był rektorem PG. Jako przewodniczący KPE PAN opracował z zespołem ekspertyzę dla Prezydium PAN. Uhonorowano Go zaszczytnym tytułem doctora honoris causa przyznanym przez PG i członkostwem honorowym Uniwersytetu w Manchester. PAN nadał mu Medal im. M. Kopernika, Rada Państwa Order Budowniczych PL.

Prof. Mieczysław Rodkiewicz (1903-1985)

Po ukończeniu gimnazjum w Lublinie wstąpił na Wydział Elektryczny Wyższej Szkoły Technicznej w Gdańsku. Dyplom inżyniera elektryka uzyskał w 1929 r. Następnie był starszym asystentem Katedry ME PLw. Od 1933 r. pracował w przedsiębiorstwach transportu publicznego. Lata okupacji przeżył w obozach jenieckich. Po wojnie zamieszkał w Gdańsku, a władze nowej polskiej już Politechniki zaangażowały Go na stanowisko adiunkta katedry ME. W 1956 r. uzyskał stopień dr. nt i stanowisko kierownika katedry NE. Utworzył ZTE z laboratorium jako zaplecze techniczne dla kształcenia studentów i zaspokajania potrzeb zakładów przemysłowych. W 1967 r. uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego. W oparciu o posiadaną wiedzę i bogate doświadczenie badawcze oraz praktykę przemysłową powstało wiele cennych publikacji drukowanych w wydawnictwach krajowych i zagranicznych. Do 1965 r. był opiekunem dyplomantów i prac magisterskich w ilości 40 i promotorem 3 doktorantów.

Prof. Łukasz Dorosz (1897-1954)

Świadectwo dojrzałości uzyskał w 1917 r. i wstąpił do c.k. Oficerskiej Szkoły Łączności. Jako oficer łączności wstąpił do Polskiego Wojska. Początkowo dowodził kompanią we Lwowie, po przeniesieniu do Wilna został szefem łączności dywizji. Po odkomenderowaniu do Lwowa studiował na Oddziale Elektrycznym WM PLw., którą ukończył z dyplomem inż. elektryka.

W latach 1924-1928 był asystentem w katedrze Fizyki PLw. W latach 1932-1939 na PLw. miał wykłady z teletechniki i urządzeń teletechnicznych i kierował projektowaniem tych urządzeń. W latach 1928-1939 kierował rozbudową centrali telefonicznej we Lwowie przynoszącą zwiększenie pojemności z 8000 do 21000 numerów. Kierował podobnymi robotami w Boryslawiu i Drohobyczu. Okupację przeżył w Warszawie. W październiku 1945 r. jako zastępca profesora objął katedrę Teletechniki na Wydziale Elektr. PG. Prowadził wykłady z siedmiu specjalistycznych przedmiotów i projektowa-

nia. W latach 1950-1951 był dziekanem Wydziału Elektrycznego, a w 1952 r. jako kierownik organizował nowy Wydział Łączności. Przez kilka następnych lat był rektorem WSP w Gdańsku. Prof. Dorosz był znanym i cenionym przez miłośników łączności i radia dzięki działalności popularyzatorskiej. Opublikował dużą ilość rozpraw i artykułów w prasie technicznej.

Prof. Feliks Błocki (1905-1971)

Po ukończeniu gimnazjum studiował na Oddziale Elektrycznym WM PLw. W 1931 r. uzyskał dyplom inż. elektryka i został asystentem w katedrze Fizyki, po awansie na adiunkta pracował w laboratorium teletechnicznym. Równocześnie pracował jako specjalista w Dyrekcji Telefonii i Telegr. we Lwowie. W latach okupacji pracował w podrzędnych jednostkach dawnej PLw. W 1953 r. w stopniu profesora nadzwyczajnego pracował w katedrze u prof. Dorosza. Mając wszechstronną wiedzę i doświadczenie wykładał studentom teoretyczne podstawy transmisji i zagadnienia telegrafii wielokrotnej. Był członkiem komitetu PAN. W 1956 r. przeniósł się do Warszawy i został kierownikiem katedry Łączności na Politechnice.

Zakończenie

Przepraszam Szanownych Czytelników, że nie zamieściłem biogramów lub spisów imiennych pełnego składu pracowników naukowych z PLw. lub pochodzących ze Lwowa i Kresów, którzy kształcili się w innych uczelniach, a kadry PG zasilili po 1945 r.

Brak kompleksowości ma swoje przyczyny w ograniczeniu łam czasopisma Semper Fidelis i braku obszernych biografii w publikacjach, które wymieniam na ostatniej stronie. Przepraszam, że pominąłem Wydział Budowy Okrętów, który utworzono bez udziału naukowców z PLw. Składam serdeczne podziękowanie Koleżance ze studiów mgr inż. Danucie Śliwińskiej, Kolegom mgr. inż. Wiesławowi Kozickiemu i Robertowi Żemło za wsparcie niniejszego wspomnienia fragmentami własnych przeżyć i anegdotami o naszych Profesorach.

Wdzięczny jestem za bezinteresowną pomoc pani Barbarze Ząbczyk-Chmielewskiej z Pracowni Historii PG za udostępnienie mi cennej książki i czasopism oraz za cenne rady dla debiutanta – skrzyby bez cenzuru. W redagowaniu zdarzeń dziejących się w życiu naukowców na PLw. i PG oparłem się na szczegółowych autobiografiach, życiorysach napisanych przez innych redaktorów i relacjach z odbudowy PG zawartych w książkach poz. 1 i 2 „Spisu publikacji”. Zapewniam, że będę gromadzić wiedzę i dokumentację o pracownikach naukowych obydwu Uczelni tu nie opisanych, z innych źródeł. Dziękuję.

Bogusław Maziak
stop. mgr inż. mechaniki,
specjalista z Budowy Maszyn
Ciepłych Tłokowych PG. Studia 1951-1956 r.

Spis publikacji – źródła wiadomości

1. Politechnika Lwowska 1844-1945; Wydaw. Polit. Wrocł., autorstwo Komitet Redakcyjny
2. Politechnika Gdańska – 50 lat; Wydawnictwo PG, Redakcja: Barbara Ząbczyk-Chmielewska, Bożena Hakuć
3. Wielka Encyklopedia PWN t. 11, 15, 17, 26, Warszawa 2003 r.
4. Z. Popławski – Dzieje PLw. 1844-1945
5. Tamten Lwów, aut. doc. dr W. Szolginia; O. Wyd. Sudety
6. Roczniki Lwowskie, Redaguje Kolegium; Wyd. Instytut Lwowski
7. Semper Fidelis, roczn. 1994, 2004; Wydaw. Zarząd Gł. TMLIKPW
8. Malarstwo Polskie – Między wojnami 1918-1939, Wydawn. Auriga 1982 r.
9. Lwowska Galeria Obrazów, Wydawn. Auriga 1983 r.
10. Obrona Lwowa t. 3, autor Towarzystwo Badania Historii Obrony Lwowa, Oficyna Wydawnicza Volumen 1994
11. Pismo PG Nr 7/2004, Redakcja PG (dział Org.-Prawn.)

Objaśnienie skrótów

bnn – badania nieniszczące
dr nt – doktor nauk technicznych
KM-K – katedra budowy maszyn – kolejowych
dhc – doctor honoris causa
KDiKMMIPT – kat. Dynamiki i Konstr. Mechanizmów Maszyn i Projektowania Turbin
KBOM – katedra budowy obrabiarek do metali
KMC – katedra maszyn cieplnych
KMD – katedra maszyn dźwigowych
KMO – katedra maszynozn. ogólnego
KMT – katedra mechaniki technicznej
KMIPM – katedra mechaniki i pomiarów maszyn
ME – mechanika techniczna
KTMCIŁC – katedra teorii maszyn cieplnych i laboratorium cieplne
KPiME – katedra projektowania i masz. elektr.
KTPiG – katedra turbin parowych i gazowych
KiPRT – katedra i pracownia rysunku technicznego
PLw. – Politechnika Lwowska
Lw.SP – Lwowska Szkoła Politechniczna
PG – Politechnika Gdańska
MSW – Ministerstwo szkolnictwa Wyższego
MWRIOP – Ministerswo Wyznań Religijnych i Oświecenie Publicznego
PTCh – Polskie Towarzystwo Chemiczne
PW – Politechnika Warszawska
PW. – Politechnika Wrocławska
PST – Państwowa Szkoła Techniczna
WA – Wydział Architektury
UJK – Uniwersytet Jana Kazimierza
WBO – Wydział Budowy Okrętów
WCh – Wydział Chemii
WE – Wydział Elektryczny
WJLiW – Wydział Inżynierii Lądowej i Wodnej
WŁ – Wydział Łączności
WM – Wydział Mechaniczny
ZKBiM – Zakład konstrukcji budowlanych i mostów
ZTE – Zakład trakcji elektrycznych
ZZoSW – zapory i zakłady o sile wodnej
HHIBZoSW – hydraulika i hydrologia budowy zakładów o sile wodnej

A było tak (ja też jestem ze Lwowa)

Urodziłem się we Lwowie (ulica Tatarska) w 1926 roku. Niedawno rozmawiałem w TML, jedna z kobiet (lwowianka) zapytała, gdzie jest ta ulica Tatarska? Coś takiego!? Jak to gdzie? Tam gdzie ja się pojawiłem na tej lwowskiej ziemi... Gdyby nie to, że pytała o to kobieta, nasza rozmowa nie zakończyłaby się w pełni kulturalnie. Ojciec mój zmarł, gdy rozpoczynałem naukę w szkole im. Teofila Lenartowicza na ulicy Weteranów. Do szkoły chodziłem m.in. ulicą Pod Dębem, dziwne to, bo nie widziałem nie tylko dębu, ale w ogóle żadnego drzewa. O tej ulicy mówiono, że jedynym Polakiem na niej był policjant, pozostali to starozakonni. Dlaczego ulica Tatarska? Nie wiem. Szukałem uzasadnienia w kilku opracowaniach książkowych, ale bez rezultatów. Jeśli ktoś z rodaków lwowskich wie, to proszę o odzew. Bardzo lubiłem tę ulicę, jej nazwa mnie nie raziła. W domu na Tatarskiej i na niej samej byłem bardzo szczęśliwy, tam upłynęło moje dzieciństwo, tam dochodziłem do swoich dziesięciu lat. Na nasypie kolejowym z jednej strony rosły wielkie akacje (w lecie zapach i zieleń). Ulica prowadziła od ul. Zamarstynowskiej w górę do Żółkiewskiej, aż do wzgórz Wysokiego Zamku, a tam bujna zieleń, tajemniczo i „hulaj dusza, piekła ni ma”. Mama moja zajmowała się krawiectwem, czyli, jak mówiła – kroila i czyniła co trzeba było, jak przystało krawczyni. Z Jej rąk wychodziły piękne szaty i szatki kobiece. W szkole było dobrze, raz uczyłem się na 5, raz na 3. Bardzo miło wspominałam panią Kleczyńską, która pytała raz w klasie, kto pobił Jurka? – a mnie nikt nie pobił, tylko było mi smutno i żal, że już minęła Wielkanoc, a było tak dobrze i przyjemnie... Było nam z Mamą dobrze, a nawet lepiej... Nie byliśmy bogaci, ale to co niezbędne było zawsze. Na przykład – jak przychodzę ze szkoły, pajda chleba ze „szmalcem” osolonym była zawsze. Teczka z książkami na stolek pod oknem, pajdyga ze smalcem do ręki i wio... Do koleżków na podwórzu. Dobry Boże! – to było życie...

I wydawało się, że kiedyś później będzie podobnie. Niestety nie. Miałem dwie ciotki! Jedną – Jadzia, moja chrzestna Mama, wypełniała swoje powinności bardzo sumiennie. Zawdzięczam Jej bardzo wiele: owoce południowe na niedziele, rower na wakacje, zegarek na Boże Ciało. Druga ciocia, Edzia z Rzeźbiarskiej na Łyczakowie, dbała o moje wychowanie patriotyczne i obywatelskie. Prowadziła mnie w Zaduszki (i nie tylko) na Cmentarz Obrońców Lwowa i opowiadała o swoim bracie – legionście poległym z I Brygady. Pokazywała jego Krzyż Niepodległości. Na wakacje jeździłem na wieś nad Wereszycą. Było świetnie: konie i krowy, koniecznie chciałem je prowadzić na pastwisko, kopanie piłki, wiśnie w sadzie. Lato 1939 r. spędziłem w Brzuchowicach, poznałbym tam małą uliczkę, na końcu której była niewielka drewniana kapliczka, a dookoła wysokie sosny i świerki... Z koleżkami rozprawialiśmy do jakiej szkoły pójdziemy po tej powszechnej... Wybierałem się do Korpusu Kadetów we Lwowie, przy pomocy Cioci Edzi, ale niebo nad nami, naszym krajem i marzeniami chmurzyło się coraz bardziej...

Z Brzuchowic do Lwowa wróciliśmy wcześniej, dużo mówiono o wojnie. Nie wszystko rozumiałem, ale czułem, że może nie być już tak jak było. Z zagrożenia kraju nie zdawałem sobie sprawy, przecież mówiono, że jesteśmy „silni, zwarci, gotowi”, ufalem temu. Gdy zaczęły się bombardowania miasta nie czułem lęku. Narastała we mnie ciekawość nastolatka 13-letniego, jak „wygląda” wojna i co będzie dalej. Zdziwiła mnie wydarzenia, np. to, że Niemcy tak szybko znaleźli się pod Lwowem, przecież dorośli mówili inaczej... Któregoś dnia stałem z sąsiadami na rogu ulic Szeptyckich i Domsa, zobaczyliśmy grupę żołnierzy... Raptem ktoś krzyknął: O rany! – oni idą boso?! Popatrzyliśmy uważnie, nie wierzyliśmy w to, co przed nami... Tak! Kilku żołnierzy nie miało butów, błyskali bosymi stopami... Wielki Boże!!! Co się stało? Dlaczego? Staliśmy oszołomieni – uciekinierzy, dezterzy??? Ale mają karabiny! – ktoś zobaczył... A więc stało się. Nie amaranty zapięte pod szyją, jak niedawno śpiewano, nie foremne mundury – ale w rękach broń! Co tam buty... Ważny jest karabin. Bronić Lwowa! Nawet na bosaka! Nawet tak!!! W kilka dni potem, właśnie na Tatarskiej usłyszałem, że Armia Czerwona przekroczyła granicę Polski i idzie na Lwów, znów, jak w 20 roku. O Boże! Po co idą? Na kogo? Kto nas obroni? Trochę później czołgi sowieckie na ulicach Lwowa, za nimi ciężarówka, żołnierze o obcych twarzach i brych szynelach głoścących multum słów o szczęściu i wolności. I skąd tyle ludzi tak chętnie słuchających czerwonoarmistów rozgadanych o dobroci niesłychanej? Co się dzieje? Co to znaczy? Nieco później stałem na rogu L. Sapiehy i Gródeckiej obok kościoła św. Elżbiety, w którym ludzie śpiewali „Boże coś Polskę przez tak liczne wieki otaczał blaskiem potęgi i chwały”. Śpiew był tragiczny i pełen rozpacz, był głosami ludzi porzuconych, wzywających ratunku! Nie widziałem ani potęgi, ani sławy, widziałem godziny klęski, nie chwały. Patrzyłem na naszych żołnierzy, wczorajszych obrońców Lwowa, rozbrajanych, obrażanych i szarpanych przez wyrostków czarnowłosych z czerwonymi opaskami na rękawach. Wkrótce pojawiły się kolejki przed sklepami za chlebem i żywnością, a co za tym idzie, tropienie wozów rozwożących chleb, aby tam, gdzie się zatrzymają stanąć czym prędzej w kolejce... Chodziłem do szkoły, która nie była już szkołą św. Anny, do klasy cofniętej o rok. Nie interesowała mnie nauka w szkole, tyle było nowości, tyle się wokół działo... Wstrząsnął mną widok młodego chłopca w zniszczonym mundurze kadeckim, siedział pod murem na Kazimierzowskiej i żebrał. Podziwiałem kadetów na defiladach i chciałem być jednym z nich... Poznawałem, co to znaczy – wojna. Mama szyla, na szczęście miała co. Rosjanki z niedowierzaniem podziwiałały żurnale mody damskiej. Ich życzliwość okazała się niebawem niemal zbawienna... Władza sowiecka chciała moją Mamę – krawczynię upaństwowić, bo jak szyje prywatnie, to wyzyskuje innych... Jeśli chodzi o ścisłość, to ja byłem „wyzyskiwany”, bo musiałem sprzątać po Mamie robocie... Trzeba było długo tłumaczyć,

wyjaśniać w urzędach, w czym pomogły Mamie Rosjanki, które obszywały. 10 lutego 1940 roku patrzyłem ze wzgórza naprzeciwko dworca Podzamcze na jeszcze jeden, kolejny dramat ludności naszego miasta. Ładowano ludzi do wagonów towarowych w mroźne dni i noce. Krzyki, płacze i rozpacz niewysłowiona. Jeszcze jeden fakt i zdarzenie, których w Polsce nie znano. Po powrocie do domu Mama spakowała dwie walizki, które odtąd stały długo przy ścianie bliżej drzwi. Jeszcze wiele razy słyszeliśmy głosy, płacze i krzki wywożonych sąsiadów – w oczekiwaniu na łomotanie w drzwi te nam najbliższe. 22 VI 1941 roku zbudziły nas (Mamę i mnie) wybuchy bomb zrzuconych na lotnisko w Skniłowie. Zaskoczenie było całkowite, ale zadowolenia ogólnego – nie. Jeden najeźdźca ustępował z polskiego miasta – drugiemu. Popłoch i panika wśród Rosjan była aż nadto widoczna. Ogarnięci psychozą lęku, szpiegomanii i dywersji, wszędzie widzieli wrogą robotę. Na podwórzu naszej kamienicy wpadło kilku żołdaków, krzyczeli, że stąd do nich strzelano (mongolskie twarze, „szyty” na karabinach), nie pomagały tłumaczenia, mężczyźni ustawionych już pod „stienką” czekała śmierć... Na szczęście znalazł się komandir (oficer), który dał sobie wytłumaczyć, że stąd nikt nie strzelał (choć ten czy ów miałby na to chęć), strzelali do uciekających – ukraińscy nacjonaliści. Lwowski, łyńczakowski humor nazwał tę ulicę „dawaj nazad”, bo prowadziła na wschód. Okazało się później, że za wcześniej. Czas pierwszych Sowietów minął. Po zajęciu Lwowa przez Niemców można było niekiedy usłyszeć głosy, że „Tamto to była Azja... Niemcy to jednak Europa i jej kultura; nie to, co tamci...”. Co było w tych słowach? Nie wiadomo... Naiwność, nieświadomość czy nadzieja... A może pamięć dawnych austriackich czasów? Chodziłem, lażikowałem dużo po mieście ciekaw tego „nowego”. Pewnego dnia na ulicy Jagiellońskiej przytrafiła się mi pierwsza potyczka z Niemcami... Do idącego grzecznie chodnikiem podjechał samochód pełen Niemców w mundurach, jeden z nich zawołał do mnie albo na mnie – halt, halt! – a potem zapytał po polsku, gdzie jest ulica Kościuszki? Odpowiedziałem, że nie wiem, nie wiem... Chociaż wiedziałem i była blisko... Wówczas zaczął mi wymyślać też po polsku, zatrzymywał samochód, aby wysiąść i dopaść mnie... Nie wiesz gdzie ona jest? – krzyczał, ja ci zaraz pokażę ty skur... Nie czekałem na to. Nie czekałem aż wydostanie się z wozu, dałem tzw. „nogę”, pogałem co sił w stronę Ogrodu Jezuickiego i przesiedziałem tam jakiś czas w krzakach. Jak się uspokoiło – do domu. Taka była moja pierwsza potyczka z Niemcami, myślę, że nie była przegrana.

Potem przez kilka miesięcy chodziłem do otworzonej przez Niemców na ulicy Brajerowskiej (boczna Kazimierzowskiej) Fachschule, w której nauczyłem się władać pilnikiem po metalu w imadle itp., itd... Coraz trudniej było żyć trybem choć trochę zbliżonym do normalnego. Trzeba było pracować, aby pomóc Mamie, która traciła siły do tak zwanego „szycia”. Pracowałem w pralni chemicznej (choć chemii tam było niewiele). Za to tzw. „ausweis” (dowód pracy) był pewniejszy, bo pralnia pracowała dla Wehrmachtu i policji. To chroniło przed łapaniami i wywiezieniem (tym razem na zachód) na roboty do Niemiec. Pracowaliśmy oboje z Mamą, a naka-

zy płatnicze „Abgabebescheid” nadchodziły co pewien czas. Była to danina wojenna od mieszkańców miasta oraz dodatek do tej daniny.

Trochę później, gdy ten ausweis zaczął słabnąć, zostałem pomocnikiem murarskim na budowach w dzielnicy niemieckiej. Robota była ciężka, trudna i nadzorowana przez SS. Często płacono butelką wódki, bochenkiem chleba i 3 kilogramami koniny. Na pięciu murarzy jeden był „prawdziwy”. Mój majster mówił często: „Ta, żeby wy nie byli studenci i jakieś takie inne, to ja by wam pokazał, jak si robi na budowie. Pogoniłby ja was, oj pogonił”.

W maju 1944 roku powołano mnie do Baudienstu (służba budowlana). Spałem w domu, rano zbiórka o 6 rano w wyznaczonym miejscu. Maszerowaliśmy w mundurach „z pokrzywy” – jak mówiono. Budowaliśmy na dalszych przedpolach miasta stanowiska obronne (schrony, okopy i dojazdy do nich). Niemcy stali się „lepsi”, pilnowali nas w robocie, ale nie bili i nie szykanowali. O dziwo! w drodze powrotnej z roboty pozwalano nam śpiewać piosenki żołnierskie i legionowe... „Wojenko, wojenko!”, „Wróc Jasieńku” lub „Maszerują strzelcy, maszerują” – chłopcy, choć zmordowani robotą, darli się ile mogli. Zakazu nie było, pozwolenia też nie, no to co z tego... Napotkani ludzie przystawali i słuchali zdziwieni... Niekiedy odwożono nas tramwajami od granic miasta do śródmieścia. Po kilku tygodniach rozeszła się wśród chłopców wieść, że lwowski Baudienst zostanie wywieziony na zachód, do Niemiec na roboty. Trzeba było nawiewać... I tak się stało. Rosjanie zbliżali się do miasta... W drodze powrotnej z roboty trzech nas wyskoczyło z tramwaju na Janowskiej – i do domu...

Dla poczucia bezpieczeństwa i pewności przez tydzień spałem poza domem, Mama też przez kilka dni. Wkrótce dowiedziałem się, że Baudienst lwowski został rozwiązany i rozpuszczony. Rosjanie byli tuż, tuż... Zaczęły się walki o miasto. Ujawniły się oddziały lwowskiej Armii Krajowej i wzięły udział w wypędzaniu Niemców ze Lwowa. Któregoś dnia na podwórzu naszej kamienicy zjawił się koleżka mój, choć starszy o trzy lata, w hełmie z białą-czerwoną opaską i z karabinem... Wrażenie wywarł olbrzymie na wszystkich... Postanowiłem – idę z tobą!!! Dotychczas trochę zajmowałem się gazetkami: „Grody Czerwieńskie” i „Biuletyn Informacyjny”. Mama coś mówiła, ale iść nie broniła. Zaprowadził mnie do placówki AK na placu św. Jura w budynku Sacré Coeur. Zostałem przyjęty do pomocniczej służby wojskowej. Była ostatnia dekada czerwca 1944 roku. Nie miałem przeszkolenia wojskowego, nie znałem się dobrze na broni. Ja i tacy jak ja czyściliśmy broń innym i przy okazji uczyliśmy się o niej, donosiliśmy na pozycje amunicję i żywność. W mieście pojawiały się białoczerwone barwy. Długo nie mogłem napatrzeć się na nasze chorągwie.

Niedługo to trwało. Po pięciu-sześciu dniach na apel porucznik oznajmił wszystkim: Rosjanie nie chcą nas, rozbrajają nasze oddziały... Nazywają nas „białopolakami”. Potem dodał: jeśli będą was powoływać do Armii Czerwonej i wieść na wschód, to uciekajcie, a jak do tzw. Armii Berlinga i na zachód – to idźcie... I tak się stało, wielu z nas tak uczyniło.

15 VIII 1944 roku w nocy dostałem, pisane po rosyjsku, powołanie „w polskuju armiu”. Dobrze, że w „pol-

skuju", to mnie urządziło. Zgromadzono nas w obozie zbiorczym na przedmieściu Lwowa. Spałem w domu, wczesnym rankiem gnałem do obozu. Po tygodniu kilkadziesiąt młodych Polaków lwowskich ruszyło na zachód (piechotą), ale ze śpiewem, graniem i okrzykami: Polski Lwów idzie do Polskiego Wojska! Niech żyje Polski Lwów! Wróćmy!!! I powędrowałem do wojska przez Gródek Jagielloński, Przemyśl, Jarosław do Lublina. W Lublinie okazało się, że mój rocznik (1926) był traktowany jako ochotniczy. Można było wracać, ale nie chciałem. Byłem ciekawy tego co przede mną. Znacznie później okazało się, że miałem szczęście. Na Majdanku, w barakach po esesmańskiej załodze, spało się nieźle. Codziennie przychodzili tzw. „kupcy” wojskowi i werbowali poborowych do różnych jednostek. Nie chciałem iść do piechoty ani do broni pancernej (tyle widziałem czołgów spalonych na ulicach Lwowa)... Dałem się wziąć do artylerii zmotoryzowanej. No i znów na piechotę nad Bug koło Włodawy. Właśnie tak znalazłem się w Ludowym Wojsku Polskim – nie „polskojęzycznym”,

jak głupio i złośliwie mówią dziś niektórzy politycy dla własnych korzyści, którzy, być może wojnę spędzili za piecem. Widziałem tych „polskojęzycznych” żołnierzy utopionych w Nysie Łużyckiej – wyciąganych z rzeki i układanych w rzędek na brzegu.

W ładnym nadbużańskim lesie zbudowaliśmy tzw. ziemianki, z których wyruszyliśmy w połowie stycznia 1945 roku na zachód na front. A tymczasem we Lwowie ktoś z uczynnych wobec nowej „własti” (raczej sąsiadka) doniosła do NKWD, że ja, zamiast do LWP uciekłem do leśnej, akowskiej „bandy”. Mama niemłoda już i schorowana została aresztowana i była przesłuchiwana przez wiele dni. A do tego w czasie rewizji znaleziono w mojej biblioteczce książkę o Józefie Piłsudskim i karykatury sowieckich wodzów. Mama została ostatecznie zwolniona dzięki staraniom życzliwych znajomych. Powiedziano Mamie: „Prawdu ty nam skazała, gdzie on, idi domoj”. Poszła w deszczowe, pochmurne popołudnie. Dobrze było być wolnym we Lwowie późną jesienią 1944 roku. W domu zastała już dokwaterowaną Rosjanekę. □

Lektury kresowe

Jerzy Duda

Łopatyn. Dzieje miasta i zabytki

Staraniem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” – Ośrodek do Spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturowego Poza Granicami Kraju w Warszawie wydana została książka Tadeusza Kukiza poświęcona Łopatynowi. Miasto to, położone w północno-wschodniej części powiatu radziechowskiego w dawnym województwie tarnopolskim ma bogatą faktografię. Mieczysław Orłowicz podaje, że zamieszkuje tu 3.500 mieszkańców (1.200 Polaków; 1600 Rusinów; 700 Żydów), a na cmentarzu pod pięknym pomnikiem spoczywają zwłoki gen. Józefa Dwernickiego. Niedaleko stąd znajduje się leśniczówka „Zamczysko”, w miejscu dawnego zamku wielkich książąt litewskich. Podobną informację podaje Wielka Encyklopedia Powszechna Gutenberga, dodając, że były tu gorzelnia, browar i młyn rozłożone nad Ostrówkiem, lewobocznym dopływem Styru. O pałacu we „wsi Łopatyn” pisze w swoim monumentalnym dziele Roman Aftanazy.

Sporo zatem tych informacji, zachęcają one do odowiedzenia tego kresowego miasta, można rzecz podwójnie kresowego, bo leżącego zarówno na Kresach Rzeczypospolitej, jak również na pograniczu Podola i Wołynia. Ale tak naprawdę o tym jak piękna była to miejscowość i jak wiele wniosła do historii Polski można przekonać się czytając piękną książkę Tadeusza Kukiza.

Grodzisko na miejscu dzisiejszego Łopatyna istniało już w X-XI wieku. Po raz pierwszy źródła przywołują tę nazwę w czasach panowania Kazimierza Wielkiego. Po jego śmierci Łopatyn przechodził różne, dramatyczne koleje losu, przez pewien czas był we władaniu Władysława Opolczyka, który wsparł Ludwika Węgierskiego w jego wyprawie przeciwko Litwie. Pod koniec XVIII wieku Łopatyn trafił w ręce rodu Chołoniewskich, wywodzącego się od Piotra Myszkę, któremu Kazimierz Ja-

giellończyk nadał dobra Chołoniów. Pięknie w historii miasta wpisał się hrabia Franciszek Ksawery Chołoniewski: „...dobroćliwość hrabiego dla miejscowych tym się objawiała, że utrzymywał lekarza, chirurga, cyrulika i aptekę w Łopatynie... Dwór liczny i orkiestra dodawały blasku miejscowości – w orkiestrze tej grał jakiś czas Karol Lipiński, w przyszłości znakomity skrzypek...” W połowie XIX wieku Łopatyn kupili Zamoyscy. Kolejnymi właścicielami miasta byli Mołodeccy, a potem Stanisław Wiśniewski. W 1912 roku Łopatyn uzyskał oficjalnie status miasta. Piękną kartę zapisała miejscowość w dniach polsko-sowieckiej wojny: „...Dnia 14 sierpnia 1920 roku o świcie uderzył na miasto 40 pułk piechoty Strzelców Lwowskich i 105 pułk piechoty. Po krótkiej lecz zaciętej walce oddziały polskie wpadły do Łopatyna, zmuszając do ucieczki samego Budionnego wraz ze sztabem (według miejscowej tradycji uciekał tylko w bieliznie)...” Z uwagi na charakter walk Łopatyn określano „polskim Termopilem”.

Lata międzywojenne to czas szybkiego rozwoju miasta. W 1931 roku oddano do użytku piękną, siedmioklasową szkołę. Istniały tu także tzw. przytulisko dla starców i ochronka dla dzieci prowadzone od 1923 roku przez Siostry Franciszkańki Rodziny Maryi. Oprócz kościoła była cerkiew greckokatolicka i dwie synagogi dla wiernych wyznania mojżeszowego, działały trzy biblioteki, w sali „Sokoła” amatorskie zespoły dawały przedstawienia, systematycznie docierał Małopolski Teatr ze Stanisławowa.

Wkroczenie wojsk sowieckich w dniu 17 września 1939 roku całkowicie odmieniło życie mieszkańców. Ogromniejszą część dotknął znaczną liczbę rodzin, miasto zostało zdziesiątkowane wywozem ludzi w rejon Archangielska i do Kazachstanu. Przyjście Niemców

w 1941 roku oznaczało przekazanie władzy administracyjnej nacjonalistom ukraińskim, rozpoczęło się szykanowanie Polaków. Już w 1943 roku rozpoczęły się napady banderowców i mordowanie ludności polskiej. W 1944 roku za namową łopatynskiego proboszcza ks. Franciszka Byry część rodzin wyjechała w okolice Łańcuta i Tarnowa, zabrali z sobą cudowny obraz Matki Bożej z miejscowego kościoła. W lipcu 1945 roku większość mieszkańców Łopatyna osiedliła się w Wójcicach koło Nysy.

Szeroko w świecie jest znany znajdujący się na miejscowym cmentarzu pomnik polskiego bohatera narodowego gen. Józefa Dwernickiego. Mieszkający od 1848 roku we Lwowie generał miesiące letnie spędzał zwykle w Łopatynie, zapraszany przez hr. Adama Zamoyskiego. Podczas pobytu w 1857 roku zachorował i powrót do Lwowa odłożył do zimy, licząc na lepszą drogę, jednak tam już nie powrócił. Zmarł 23 listopada i po trzech dniach został pochowany na łopatynskim cmentarzu. Staraniem rodziny na mogile położono kamienną płytę, potem obok niej ustawiono ufundowany przez towarzyszy broni imponujący kamienny sarkofag z dominującym elementem – kamiennym lwem.

Całość książki podzielona została na dziewięć rozdziałów, zwracają uwagę szczególną m.in. „Obraz Matki Boskiej Łopatynskiej”, „Znaczniejsze budowle”, „Kwatera i pomnik Żołnierzy polskich poległych w 1920 roku”. Wykorzystując materiały źródłowe, do których Autor

docierał z niemałym trudem, potrafił przekazać w sposób niezmiernie ciekawy dzieje kresowego miasta. Barwne opisy wydarzeń, prezentacja tych wszystkich wartości, które sprawiły, że o Łopatynie pamięć trwa, nie tylko u ludzi, mieszkańców tego miasta, sprawiają, że książkę czyta się przysłowiowym „jednym tchem”. Uważny czytelnik zwróci uwagę również na nie zawsze uświadamiane sobie znaczenie pewnych historycznych wydarzeń. Autor bowiem wyraźnie wskazuje, że rozbiory Rzeczypospolitej w sposób zdecydowany zahamowały rozwój wielu kresowych miejscowości, także Łopatyna. Można tylko domyślać się jakby Kresy Wschodnie wyglądały, gdyby ludziom tam mieszkającym zapewniono pokój i spokój. Już w latach międzywojennych mądra polityka ówczesnych władz polskich skupiała się wokół budowania i tworzenia w miastach i na wsiach przede wszystkim ośrodków oświaty, kultury, wokół których koncentrowało się życie społeczno-kulturalne miejscowej ludności. Inaczej mówiąc pieniądze przeznaczano głównie na budowę pięknych szkół, obiektów „Sokoła” – domów sportu i kultury, natomiast urzędy administracyjne, poczty, posterunki policji budowano jak najtańszym kosztem. Inaczej niż dziś. I o tym też warto pamiętać.

Należy wyrazić najwyższe uznanie i wdzięczność Tadeuszowi Kukizowi niestrudzonemu heroldowi i piewcy piękna Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej za kolejną, znakomitą książkę. Najpiękniej dziękujemy. Oczekujemy na ciąg dalszy! □

† Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Jeszcze o śp. Romanie Chrzastowskim (1906-2005)

Przebieg uroczystości pogrzebowej śp. Romana Chrzastowskiego – udział licznych delegacji ze sztabami i wygłoszone przemówienia pożegnalne – unacznił nam, że Zmarły cieszył się niezwykle autorytetem nie tylko w naszym środowisku kresowym, lecz także w innych środowiskach, w których działał w ciągu swego długiego i niezwykle aktywnego życia. Dotyczy to zwłaszcza harcerzy, weteranów Armii Krajowej, bibliofilów i bibliotekarzy, a także śląskich rzemieślników.

Roman Chrzastowski był człowiekiem niezwykle skromnym i do końca życia w tym względzie nieugiętym, opierając się prośbom swych przyjaciół o spisanie wspomnień ze swego życia, a chociażby tylko wojennego okresu *curriculum vitae*. Stąd też pobeżne choćby zrelacjonowanie jego licznych i wszechstronnych dokonań przez przedstawiciela któregośkolwiek z wymienionych środowisk nie jest praktycznie możliwe. Pan Boleśław Broś, autor wspomnienia pośmiertnego w *Semper Fidelis* nr 3/2005, jako przedstawiciel Kręgu Harcerzy i Lwowskiej Drużyny koncentruje się na działalności harcerskiej i akowskiej druha Romana. Niezbędne jest zatem uzupełnienie informacji o Nim, zwłaszcza w odniesieniu do działalności bibliofilskiej.

Miłość do książki była obok harcerstwa drugą wielką pasją życiową Romana Chrzastowskiego. Dostęp do wspaniałych bibliotek lwowskich, a także licznych księgarń sprawił, że miłość ta znalazła wyraz w pasji kolekcjonerskiej. Już przed II wojną światową stał się nie

tylko posiadaczem znacznego księgozbioru, ale i konsekwentnym zagadnieniem bibliofilskich. Wyniesione z artystycznej atmosfery domu rodzinnego zamiłowanie do sztuki, jak również studia w zakresie grafiki oraz historii sztuki sprawiły, że wielkie znaczenie przywiązywał nie tylko do treści książek, lecz także do ich formy: typografii, papieru i obróbki introligatorskiej.

Szczególne miejsce w działalności bibliofilskiej Romana Chrzastowskiego zajmuje rodowity lwowianin Jan Parandowski. Nawet elementy graficzne zawarte w jego exlibrisie nawiązują do twórczości tego pisarza. Jego ambicją było zgromadzenie wszystkich pierwszych wydań dzieł Jana Parandowskiego, co mu się w końcu udało. W 1999 roku zbiór ten wzbogacony w większości przez kolekcjonera pięknymi oprawami wykonanymi przez znanych artystów introligatorów został przez Niego ofiarowany Bibliotece Śląskiej w Katowicach. Wypowiedział On wówczas znamienne słowa: „*Kocham książki, dlatego nie potrafię ich sprzedać. Mogę jedynie podarować...*”. Przekazany zbiór zawiera również unikalne lwowskie wydanie „Dwu wiosen” z 1939 roku, które nigdy nie ukazało się na półkach księgarskich. Roman Chrzastowski po wieloletnich poszukiwaniach zdobył dwa egzemplarze tego wydania, zapewne cudem uratowane przez komilitonów drukarzy. Jeden z nich ofiarował autorowi. Przez wiele lat korespondował z pisarzem, a nawet zdążył go odwiedzić przed śmiercią.

Roman Chrzastowski zapewne niepokoił się podczas okupacji o losy swego największego skarbu – biblioteki, prowadził przecież niebezpieczną działalność konspiracyjną. Między innymi od czerwca 1940 r. do maja 1944 r.

obsługiwał punkt kontaktowy AK we Lwowie przy ulicy Słowackiego 8. Toteż, gdy nadarzyła się okazja, przekazał nielegalnie najcenniejszą część swych zbiorów, w tym kolekcję dzieł Parandowskiego, do swoich przyjaciół w Krakowie. Jak się później okazało tylko ta część zbiorów została uratowana z zawieruchy wojennej.

Po przybyciu do Katowic w 1946 roku nie mógł żyć bez kontaktu z książką, stąd nawiązał trwającą blisko 60 lat współpracę z Biblioteką Śląską. W 1996 roku dyrektor biblioteki prof. Jan Malicki wręczył Romanowi Chrzastowskiemu dyplom i statuetkę honorowego tytułu *Amicus Librorum*. Rok później w Oddziale Zbiorów Specjalnych Biblioteki Śląskiej zorganizowano wystawę: *Pasje bibliofilskie Romana Chrzastowskiego* obejmującą zbiór książek Jana Parandowskiego i leopoliana. Bo trzeba dodać, że pan Roman w swoim kolekcjonerstwie nie zapomniał o swoim ukochanym *Lwim Grodzie*.

Roman Chrzastowski jeszcze przed wojną był członkiem Lwowskiego Towarzystwa Miłośników Książki. Nie ulega wątpliwości, że musiały istnieć przed wojną kontakty bibliofili lwowskich z ich śląskimi komilitonami zrzeszonymi w Śląskim Towarzystwie Miłośników Książki i Grafiki. Pan Roman szybko odnalazł się w nowym środowisku i stał się niekwestionowanym autorytetem. Jednakże reżim komunistyczny nie dopuszczał przez długie lata do reaktywowania z natury rzeczy elitarnego stowarzyszenia śląskich bibliofilów. Dopiero w 1968 roku udało się powołać Śląski Oddział Towarzystwa Przyjaciół Książki. Roman Chrzastowski był jego założycielem, wieloletnim prezesem i animatorem wszechstronnej działalności. Cenione w środowisku bibliofilskim były wydawane z Jego inicjatywy i przeważnie przez Niego redagowane tzw. komunikaty Śląskiego Oddziału TPK, których okładkę stanowił reprint XVIII-wiecznej publikacji *GAZETY ŚLĄSKIE DLA LUDU POSPOLITEGO*. Z długiej listy działań Oddziału należy wymienić zwłaszcza „czwartki bibliofilskie” z odczytami i wykładami, wyjazdy bibliofilskie, spotkania okolicznościowe, wystawy i aukcje bibliofilskie, wydawanie publikacji bibliofilskich i tzw. druków ulotnych oraz wymiana doświadczeń i pomysłów z innymi oddziałami TPK. Takt i życzliwość ludziom, cechy Pana Romana rzucające się w oczy każdemu, kto się z Nim zetknął, znakomicie torowały drogę śląskim bibliofilom do współpracy z miłośnikami książek w całej Polsce. Działalność bibliofilska Romana Chrzastowskiego została doceniona: Walny Zjazd Towarzystwa Przyjaciół Książki wyróżnił Go tytułem Członka Honorowego TPK, został też odznaczony rzadkim wyróżnieniem bibliofilskim *Orderem Białego Kruka ze Słonecznikiem*. Wyrazem uznania Jego zasług dla śląskiej kultury było przyznanie Mu w 1999 roku przez Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana Nagrody im. Juliusza Ligonja. Jego zasługi dla śląskiej kultury celnie spuentował przy okazji jakiegoś jubileuszu znany bibliofil Michał Hilchen: *Wielkie są Twe zasługi – wszystkich nie wymienię – też śląskie bibliofilstwo lwowskie ma korzenie!*

Roman Chrzastowski po przybyciu do Katowic w 1946 roku przez 5 lat był zatrudniony w biurach handlowych, która to praca nie dawała Mu satysfakcji. Dopiero w 1951 roku związał się „na całe życie” z Izłą Rzemieślniczą w Katowicach. Pełnił tam funkcje Naczelnika Wydziału Oświaty i Kwalifikacji Zawodowych czy Kierownika Rzemieślniczego Ośrodka Postępu Technicznego. Prowadzona przez Niego działalność kulturalno-oświatowa i szkoleniowa wybiegała daleko poza

normalną programową działalność Izby Rzemieślniczej. W pracę włożył zapał, talent i umiejętności doświadczonego instruktora harcerskiego. Wprowadził złoty młodzieży rzemieślniczej, organizował konkursy czytelnice, spotkania z pisarzami, wycieczki krajoznawcze, jak również konkursy sztuki rzemieślniczej połączone z branżowymi wystawami, np. kowalstwa artystycznego, introligatorstwa, fotografii, stolarki itp. Gromadził różne dokumenty i pamiątki cechowe, a także rozproszone księgi i rękopisy, a przede wszystkim zakładał biblioteki. Niektóre z jego działań miały zakres wykraczający poza środowisko śląskiego rzemiosła. Np. w 1956 roku zaproponował ufundowanie nie tylko bibliotek, ale i własnych ekslibrisów dla powstających właśnie tak zwanych Szkół Tysiąclecia. Pomysł ten zaowocował zaprojektowaniem ekslibrisów przez znakomitego śląskiego artystę grafika Edwarda Grabowskiego. Z Jego inicjatywy zostało opracowane przez naukowców na zlecenie Izby dziesięć tomów pomnikowych monografii rzemiosła śląskiego. Zapewne trudno się było rozstać śląskim rzemieślnikiem z Panem Romanem, skoro na emeryturę przeszedł dopiero w 1994 roku, a więc w wieku 88 lat (!), ale kontakt z Izłą Rzemieślniczą utrzymywał właściwie do śmierci, nie odmawiając rady, gdy zachodziła taka potrzeba.

Roman Chrzastowski, chociaż urodzony w Drohobyczu, był wielkim miłośnikiem Lwowa, który często wspominał i do którego tęsknił. Tam przecież skończył szkołę średnią, przeżył całą młodość, tam działał jako harcerz i żołnierz Armii Krajowej, tam wreszcie zrodziła się jego pasja bibliofilska. Jednakże stworzenie jakiegokolwiek ram organizacyjnych dla miłośników Lwowa reżim komunistyczny uniemożliwiał najdłużej. Taka możliwość powstała dopiero w 1990 roku i wtedy Roman Chrzastowski był jednym z inicjatorów i organizatorów powstania katowickiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa, które później rozszerzyło swą nazwę o: „... i Kresów Południowo-Wschodnich”. Pan Roman był przez wiele lat członkiem zarządu katowickiego oddziału, ale nade wszystko był jego bardzo aktywnym członkiem. W ostatnich latach bardzo podupadł na zdrowiu i prawie zupełnie utracił wzrok, co przy zachowanym do końca jasnym umyśle musiało być dla Niego szczególnie bolesne, bo utrudniło Mu kontakt z ukochanymi książkami.

Jeszcze na trzy miesiące przed 99 urodzinami, a także przed śmiercią, pan Roman chciał nam zrobić prezenty gwiazdkowe. Poprosił o aktualną listę członków oddziału TMLiKPW, którzy w miarę regularnie uczęszczają na nasze spotkania poniedziałkowe i dla każdej z tych ponad dwudziestu osób przygotował kopertę z drobnym prezentem w postaci jakiejś publikacji bibliofilskiej. W to przedsięwzięcie organizacyjne musiała być oczywiście włączona małżonka pana Romana pani Janina, lwowianka i członek TMLiKPW.

Pana Romana Chrzastowskiego zachowamy we wdzięcznej pamięci jako naszego mistrza, największy autorytet, erudyte, rozkochanego we Lwowie, a przy tym skromnego i bardzo życzliwego ludziom człowieka.

Tytułem uzupełnienia cytowanej na wstępie publikacji o śp. Romanie Chrzastowskim podajemy Jego wojenne odznaczenia: medal Wojska Polskiego z 1948 r. i Krzyż Armii Krajowej z 1981 r., nadane przez Prezydenta RP w Londynie oraz harcerskie odznaczenie bojowe: Krzyż Zasługi dla ZHP z Rozetą i Mieczami.

Stanisław Grossmann

Śp. inż. Janusz Paszkiewicz (14 VIII 1925 – 21 III 2005)



Inż. Janusz Paszkiewicz zmarł 21 marca 2005 roku, w pierwszym dniu wiosny, i ta data ma swój symboliczny wymiar, był bowiem człowiekiem, który kochał życie, który umiał w tym życiu dostrzegać najlepsze wartości, zawsze promieniował optymizmem i wierzył, że po przejściu zimy, wraz z nastaniem słonecznych, wiosennych dni i jego stan zdrowia

ulegnie poprawie. Los okazał się jednak okrutny, wielki był przeto smutek żegnających Janusza na opolskim cmentarzu licznie zebranych przyjaciół, a miał ich wielu, bo też niezwykle miał życie i niezwykle był człowiekiem, wiele w tym życiu osiągnął, a to co zdobył okupione było wielkim trudem i uporem w działaniu. Należał do pokolenia „Kolumbów”, któremu najlepsze lata zabrała II wojna światowa.

Urodził się 14 sierpnia 1925 roku w Stryju (woj. stanisławowskie).

Wcześniej zmuszony do podjęcia pracy zarobkowej został w 1941 roku pomocnikiem palacza w zakładach kolejowych w Stryju. Po pracy biegł prosto na boisko piłkarskie, jako siedemnastoletni młodzieniec zadebiutował w drużynie „Skały” Stryj, uczestniczącej w rozgrywkach lwowskiej ligi wojewódzkiej, w której brały udział także drużyny z Borysławia, Drohobycza, Lwowa, Sambora i Stanisławowa. Mecze cieszyły się ogromnym zainteresowaniem miejscowej społeczności, były dla niej chwilą wytchnienia od koszmaru okupacyjnej rzeczywistości. Należał do najlepszych zawodników rozgrywek.

W 1944 roku został zmobilizowany, trafił do II zapasowego pułku łączności w Kraśniku Lubelskim. Pułk wchodził w skład I Armii Wojska Polskiego. Po odbyciu kursu w Centrum Szkoleniowym w Sieradzu został skierowany do Garaży Ministerstwa Obrony Narodowej w Warszawie, był kierowcą II wiceministra obrony gen. Karola Świerczewskiego.

W 1947 roku po demobilizacji przyjechał do Opola. Podjął pracę w charakterze kierowcy w Państwowym Przedsiębiorstwie Traktorów i Maszyn w Opolu, pracował tam do 1950 roku. Natychmiast też zgłosił się do klubu sportowego „Lwówianka”, skupiającego byłych zawodników z Kresów Wschodnich. Po fuzji opolskich klubów piłkarskich został zawodnikiem K.S. „Budowlani” Opole. Nowy klub szybko awansował do II ligi, a w 1952 roku po wygraniu meczów barażowych z „Włókniarzem” Kraków (obecnie „Garbarnia”) rozpoczął boje w I lidze. Sportowa prasa uznała Janusza Paszkiewicza głównym bohaterem walki o ekstraklasę, pisano wprost, że to „Paszkiewicz wygrał dla Opola I ligę”. Stał się odtąd sławnym mieszkańcem Opola, idolem nastolatków zachwyconych jego odważnymi, na granicy ryzyka, paradami bramkarskimi.

Nie zapominał jednak o nauce, za namową klubowych kolegów Zbigniewa Strocika i Zdzisława Trojanowskiego zgłosił się do Technikum Mechanicznego dla

Pracujących w Opolu. Tak wspominał ten okres: „... Zajęcia odbywały się cztery razy w tygodniu, po południu od 16 do 20. Dzień mój zaczynał się o szóstej rano, do czternastej pracowałem, potem biegłem na trening, który trwał dwie godziny, a prosto ze stadionu do szkoły. Po powrocie do domu trzeba było się jeszcze uczyć, od słuchaczy wymagano terminowego oddawania rysunków, projektów, ćwiczeń konstrukcyjnych. Nie było żadnej taryfy ulgowej...”. Dyplom technika mechanika zdobył w 1958 roku. Po roku podjął studia w opolskiej Filii Politechniki Śląskiej w Gliwicach zakończone uzyskaniem w 1964 roku dyplomu inżyniera mechanika.

Intensywna nauka, praca zawodowa, a także obowiązki rodzinne sprawiły, że z wielkim wprawdzie żalem, ale musiał jednak podjąć w 1956 roku decyzję o zakończeniu kariery piłkarskiej.

Dzięki niezwyklej pracowitości i talentom menedżerskim szybko awansował, obejmując kierownicze stanowiska w kolejnych zakładach pracy, był: głównym mechanikiem w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Przemysłu Mięsnego w Opolu (1950-1965); prezesem w Zakładach Mechanicznych „Warema” w Opolu (1965-1969) i Budowlanej Spółdzielni Pracy Robót Drogowych i Elektrycznych w Opolu (1970-1972); dyrektorem w Wojewódzkim Zakładzie Urządzeń Pożarniczych w Opolu (1972-1976). Od 1977 roku aż do przejścia na emeryturę w 1990 roku pełnił funkcję dyrektora Opolskiego Oddziału Krajowej Spółdzielni Pracy Usług Kominiarskich w Opolu.

Ważnym doświadczeniem zawodowym była również praca w charakterze nauczyciela przedmiotów zawodowych w Technikum Mechanicznym dla Pracujących w Opolu w latach 1966-1973, w szkole, którą sam ukończył. Po latach wspominał: „... W 1966 roku za namową dyrektora mgr. Jana Matczyńskiego zostałem nauczycielem dochodzącym. Było to dla mnie wielkie przeżycie, miałem uczucie, że spoglądając z wysokości nauczycielkiej katedry na swoich wychowanków, widzę siebie, zmęczonego, utrudzonego, walczącego ze snem. Dlatego starałem się do zajęć jak najlepiej przygotować, wiedząc, że wielu z tych uczniów pracujących, często mających rodziny, nie ma wiele czasu na naukę własną, musi zatem jak najwięcej korzystać z samej lekcji. Wydaje mi się, że ten cel osiągnąłem...”.

Niezależnie od pracy zawodowej aktywnie uczestniczył w życiu społecznym naszego miasta i Opolszczyzny, przez wiele lat był wiceprezesem Opolskiego Związku Piłki Nożnej w Opolu, wchodził w skład władz wojewódzkiego Związku Ochotniczych Straży Pożarnych. Po przejściu na emeryturę z właściwym sobie zapałem włączył się do prac Towarzystwa Przyjaciół Stryja.

Złotymi zgłoskami zapisał się inż. Janusz Paszkiewicz na kartach historii Opola i województwa opolskiego. Na zawsze pozostanie we wdzięcznej pamięci tych wszystkich, którzy go znali i z nim współpracowali.

Za wybitne osiągnięcia w pracy zawodowej i społecznej został odznaczony i wyróżniony m.in. Krzyżem Kawalerskim OOP, Medalem za udział w walkach o Berlin, Odznaką Zasłużonego Działacza Kultury Fizycznej, Złotą Odznaką Polskiego Związku Piłki Nożnej, Złotym Medalem za zasługi dla pożarnictwa.

Jerzy Duda
Franciszek Dzionek

Śp. profesor Zbigniew Stuchły (1907-2005)



W dniu 7 sierpnia 2005 r. zmarł we Wrocławiu w wieku 98 lat profesor Zbigniew Stuchły, lwowianin, długoletni profesor Akademii Medycznej we Wrocławiu, najbliższy współpracownik prof. Rudolfa Weigla, wynalazcy szczepionki przeciwko tyfusowi plamistemu, wybitny naukowiec, jeden z najstarszych harcerzy polskich. Spoczął na Cmentarzu Grabiszyńskim we Wrocławiu.

Urodził się 5 maja 1907 r. we Lwowie. Studia wyższe odbył na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Doktor nauk ścisłych.

Związany z prof. Rudolfem Weiglem, kierownikiem Zakładu Biologii Ogólnej na Wydziale Lekarskim UJK, był w latach 1927-1944 jednym z jego najbliższych współpracowników. Wiązała ich wynaleziona szczepionka przeciwko tyfusowi plamistemu i jej masowa produkcja. Prof. Stuchły wniósł wiele zrealizowanych pomysłów usprawniających masowe jej wytwarzanie.

Produkcja szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu została rozwinięta przed wojną we Lwowie, a potem znacznie poszerzona w okresie wojennym przez kolejnych okupantów: sowieckiego i niemieckiego, mających na względzie groźbę epidemii tyfusu plamistego w warunkach wojennych.

Chruszczow wizytując Instytut we Lwowie zaproponował jego rozbudowę i przeniesienie do Moskwy, co spotkało się z kategorycznym sprzeciwem prof. Weigla.

Szczególny okres działalności Instytutu przypadł na okupację niemiecką we Lwowie, w latach 1941-1944. Po nieudanych próbach przedstawicieli najwyższych władz niemieckich nakłonienia prof. Weigla do podpisania niemieckiej listy narodowościowej, przeniesienia Instytutu do Berlina i intensywnego poparcia rządu niemieckiego o Nagrodę Nobla dla wynalazcy szczepionki, Instytut ostatecznie pozostawiono we Lwowie, podporządkując go najwyższemu niemieckiemu władzom wojskowym. Wojskowe władze niemieckie pozostawiły prof. Weiglowi swobodę w doborze pracowników Instytutu. Praca w Instytucie chroniła przed represjami, przed wywozem na roboty przymusowe, przed innymi sankcjami. Swoboda w doborze pracowników przez polskie kierownictwo doprowadziła do utworzenia w nim swoistego azylu dla lwowskiej inteligencji i dla młodzieży. Znalazło w nim schronienie wielu pracowników lwowskich uczelni akademickich i setki studentów tych uczelni. W okresie pełnego rozwoju Instytutu ilość zatrudnionych w nim osób można ocenić na ok. trzy tysiące. Spośród pracowników Instytutu wywodzi się ponad 80 profesorów wyższych uczelni, przy czym wielu z nich ten tytuł uzyskało już po wojnie. Wielu byłych pracowników Instytutu odegrało w powojennym okresie kluczową rolę w odbudowie i uruchamianiu gospodarki narodowej.

Szczególnie istotną rolę w ratowaniu życia ludzkiego odegrał nielegalny i ryzykowny przeciek szczepionki poza Instytut, z inicjatywy i za wiedzą polskiego kierownictwa. Szczepionka trafiała do oddziałów leśnych AK, do getta warszawskiego i lwowskiego, a nawet do obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu i na Majdanku.

W małym stopniu jesteśmy świadomi tego, co zawdzięcza ludzkość niewielkiej garstce osób z polskiego kierownictwa Instytutu. Szczepionką weigłowską zosta-

ło zaszczepionych ok. 8 milionów osób. Zapobiegło to wybuchowi epidemii tyfusu plamistego wśród żołnierzy stron walczących i wśród ludności cywilnej, odmiennie aniżeli podczas I wojny światowej i wojen wcześniejszych, gdy tyfus plamisty pochłaniał setki tysięcy ofiar.

Te pozytywne i dalekowzroczne działania były również zasługą prof. Zbigniewa Stuchłego, członka warskiego, polskiego kierownictwa Instytutu, bliskiego współpracownika i doradcy prof. Rudolfa Weigla.

Prof. Zb. Stuchły był mimowolnym świadkiem tragicznego mordu lwowskich profesorów i ich rodzin, w dniu 4 lipca 1941 r. na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie. Obudzony o świcie strzałami, wyrzwał przez okno w kierunku Wzgórz Wuleckich, by zobaczyć bestialską egzekucję lwowskich profesorów. Wstrząśnięty do głębi tym dramatycznym widokiem, zdołał się na tyle opanować, by uspokoić obudzoną żonę, wyjaśniając, że to typowe dla wojska przestrelkiwanie broni.

Prof. Zb. Stuchły uczestniczył w tajnym nauczaniu akademickim we Lwowie.

Po ekspatriacji ze Lwowa prof. Zb. Stuchły pracował od 1946 r. w Zakładzie Biologii Ogólnej Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Od roku 1950 znalazł się we Wrocławiu, gdzie obejmując kierownictwo Katedry i Zakładu Biologii Ogólnej Akademii Medycznej, pełniąc je w okresie 28 lat, aż do przejścia w roku 1977 na emeryturę.

Piękną kartę w życiorysie prof. Zb. Stuchłego stanowi Jego działalność w harcerstwie. Od stycznia 1918 r. był On skautem II Lwowskiej Drużyny Skautowej im. Karola Chodkiewicza, jednej z czterech najstarszych drużyn, których powstanie w dniu 22 maja 1911 r. było dniem narodzin harcerstwa w Polsce. W roku 1920 prof. Zb. Stuchły, jako 13-letni skaut II Lwowskiej, był gońcem w Ochotniczej Legii Obywatelskiej.

W 1921 r., podczas Ogólnopolskiego Zlotu Harcerskiego we Lwowie, był zastępowym w IV Lwowskiej Drużynie Harcerskiej. W 1923 r. przechodzi do I Lwowskiej Drużyny Harcerskiej. W latach 1927-28, jako harcerz Rzeczypospolitej i przyboczny drużyny prowadził jej oddział w szkole im. Kordeckiego. Gdy Aleksander Szczęściekiewicz zostaje komendantem Chorągwi Lwowskiej, obejmuje przy nim referat prasowy.

Uczestniczy w wielu obozach harcerskich, w niektórych z nich jako ich organizator.

Powróci do działalności harcerskiej w późnych latach siedemdziesiątych uczestnicząc aktywnie w tworzeniu Kręgu b. Skautów – Harcerzy Najstarszej Polskiej Drużyny Harcerskiej I Lwowskiej im. Tadeusza Kościuszki.

Na spotkaniach tego Kręgu będzie budził podziw uczestników swoimi wystąpieniami pełnymi erudycji i wygłaszanymi w pięknym języku polskim.

Na uwagę zasługuje długoletnia więź pomiędzy mistrzem prof. Rudolfem Weiglem a prof. Zbigniewem Stuchłym, jego najbliższym współpracownikiem. Prof. Weigl widział w Nim swojego następcę, lecz losy wojenne i powojenne zburzyły te plany. Prof. Zbigniew Stuchły, jako biograf prof. Weigla, zrobił wiele, by uratować od zapomnienia dzieła jego życia, pamięć o nim i jego Instytucie.

Prof. Zb. Stuchły odznaczony był licznymi odznaczeniami i wyróżnieniami, w tym m.in. Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Odszedł od nas Człowiek o wielkiej prawości charakteru, wybitnych zasług, znakomity uczyony i pedagog akademicki, gorący patriota, wierny Idei Harcerstwa.

Niech Mu ziemia śląska lekką będzie!

Bolesław Broś

Śp. mgr Marian Roman Wasylenko (20 IX 1948 – 10 VII 2005)

Odszedł od nas mgr Marian Roman Wasylenko, nagle, jakby zatrzymując się niespodziewanie w szybkim marszu, bo zawsze gdzieś się spieszył. Miał naturę społecznika w najlepszym tego słowa rozumieniu, pogodny, uśmiechnięty, posiadał ten nie tak częsty u ludzi dar podtrzymywania na duchu tych wszystkich, którym takie wsparcie było akurat potrzebne. Wiele w życiu przeszedł, Jego biografia może być przykładem losu, jaki dotknął w połowie ubiegłego wieku tak wielu mieszkańców wschodnich Kresów Rzeczypospolitej.

Urodził się w samym sercu Lwowa, na Podzamczu 20 września 1948 roku. Ale rodzinnego miasta nie zapamiętał, bo już w sierpniu 1949 roku wraz z matką i babcią został zesłany do miejsca specjalnego osiedlenia koło Wiazemski, w Kraju Chabarowskim na Dalekim Wschodzie. Tam też w 1955 roku rozpoczął w szkole rosyjskiej szkolną edukację. Pod koniec 1956 roku, wraz z matką został przesiedlony do Workuty w republice Komi, gdzie po zwolnieniu z sowieckiego łagru prawo osiedlenia otrzymał Jego ojciec.

W listopadzie 1959 roku z matką i młodszą siostrą otrzymał „otpusk” – pozwolenie na wyjazd w odwiedziny do Polski, i tu już cała trójka pozostała. Cena za powrót do Ojczyzny była najwyższa, zatrzymany przez sowieckie władze w charakterze zakładnika ojciec, nigdy zgody na wyjazd do Polski nie otrzymał, na Syberii pozostał na zawsze.

Szkolę podstawową, następnie liceum ogólnokształcące ukończył Marian Wasylenko w Opolu. W klasie maturalnej zgłosił akces do Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii działającego pod egidą Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, założył szkolne koło, a w 1974 roku został wybranym prezesem opolskiego oddziału Towarzystwa. Zgodnie ze swoimi zainteresowaniami podjął studia w zakresie fizyki w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. Założył Akademicki Klub Turystyki Kolarskiej „Konus”, któremu przez wiele lat przewodził.

Pracę zawodową w oświacie rozpoczął w 1981 roku, został nauczycielem w Zespole Szkół Rolniczych w podopolskim Prószkowie, od pierwszych dni pobytu w szkole aktywnie włączył się do pracy w Związku Nauczycielstwa Polskiego. W 1983 roku powierzono Mu funkcję prezesa Oddziału ZNP w Prószkowie, sprawował ją do 2002 roku, równoległe z ramienia Zarządu Okręgu ZNP w Opolu był koordynatorem pracy oddzia-

Śp. Antoni Żychiewicz (1919-2005)



W dniu 23 sierpnia 2005 r. odszedł od nas na zawsze mgr inż. Antoni Żychiewicz, lwowianin, harcerz, żołnierz Września, cichociemny, pracownik naukowy. Urodził się 17 stycznia 1919 r. we Lwowie. Szkołę średnią – VIII Gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego we Lwowie – ukończył w 1937 r. Harcerz I Lwowskiej Drużyny Harcerskiej im. Tadeusza Kościuszki. Zastępowy zastępu „Lisów”.

ów ZNP w gminach dawnego, opolskiego powiatu. Nauczyciele szkół rolniczych naszego województwa oddali go godnością przewodniczącego Sekcji Okręgowej Szkolnictwa Rolniczego przy Zarządzie Okręgu ZNP, przewodniczył Sekcji do ostatnich chwil swojego życia, był także wiceprzewodniczącym Zarządu Krajowej Sekcji Szkolnictwa Rolniczego przy Zarządzie Głównym ZNP w Warszawie. Przez dwie kadencje przewodniczył również Komisji Rewizyjnej przy Zarządzie Okręgu ZNP w Opolu.

W 1989 roku, bezpośrednio po reaktywowaniu Związku Sybiraków w Polsce w sposób twórczy i dynamiczny włączył się do tworzenia struktur związkowych, wybrany członkiem, a potem sekretarzem Zarządu Okręgu Związku Sybiraków w Opolu swoją uwagę skupił na zorganizowaniu największego w województwie koła terenowego Związku w mieście Opolu. Przewodniczył Kołu opolskiemu do 2001 roku. Jego osobistą zasługą było niesienie pomocy wielu starszym, tak często bezradnym członkom Związku, dawnym syberyjskim zesłańcom, był zawsze tam, gdzie ktoś pomocy takiej, prawnej czy finansowej potrzebował.

Kiedy w 2001 roku przechodził na nauczycielską emeryturę, zapowiedział, że nie zamierza ani na chwilę zwalniać rytmu swoich społecznych poczynań, emerytura dotyczyła tylko zmniejszenia aktywności zawodowej nauczycielskiej, nadal w sposób zaangażowany spełniał z potrzeby serca swoje powinności zarówno w organizacji związkowej nauczycielskiej jak i w Związku Sybiraków, a w ostatnich latach także w Krajowej Partii Emerytów i Rencistów.

Udział w działalności organizacji społecznych nie przeszkadzał Mu w systematycznym doskonaleniu zawodowym, w trakcie pracy zawodowej ukończył studia podyplomowe z zakresu organizacji i zarządzania oświatą (Uniwersytet Śląski w Katowicach), matematyki (Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Opolu) i informatyki (Uniwersytet Opolski).

Osiągnięcia zawodowe i społeczne mgr. Mariana Romana Wasylenki otrzymały wysoką ocenę, został odznaczony m. in. Srebrnym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką Związku Nauczycielstwa Polskiego, Krzyżem Zesłańców Sybiru, Krzyżem Więźnia Politycznego. Otrzymał Nagrodę Ministra Oświaty i Wychowania.

Zmarł 10 lipca 2005 roku. Pochowany został w Opolu.

Jerzy Duda

Komisja Historyczna przy Zarządzie Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Opolu

W roku 1937/38 odbył szkolenie wojskowe w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. W roku 1938/39 rozpoczął studia wyższe na Politechnice Lwowskiej.

We wrześniu 1939 r. bierze udział w walkach 1 p. mot. ze Stryja i w obronie Lwowa. Po kampanii wrześniowej przedostaje się na Węgry, by już 10 listopada 1939 r. znaleźć się we Francji. Znajdzie się wówczas najpierw w Centrum Wyszczolenia Artylerii, a następnie w 4 pułku, 4 Dywizji Piechoty.

Po kampanii we Francji przedostaje się do Wielkiej Brytanii, gdzie początkowo w 10 dyon art. mot. i 10 p.a.l., a następnie od 1942 r. w szkole dywersji cichociemnych. Skok do kraju w nocy 17/18 lutego 1943 r. i łądo-

wanie na placówce odbiorczej „Lis”, koło Mińska Mazowieckiego. Otrzymuje przydział do Kedywu Obszaru AK Zachód. Zostaje włączony do zespołu dywersyjnego „San”, podlegającego oddziałowi dyspozycyjnemu Kedywowi Komendy Głównej AK. Używa pseudonimu „Przerwa”.

W ramach działalności zespołu „San” wysadzono trzy wojskowe pociągi niemieckie na trasach: Warszawa-Sochaczew oraz Warszawa-Żyrardów. Zespół „San” wykonywał wyroki śmierci na konfidentach Gestapo i na oprawcach hitlerowskich. Oficerowie zespołu „San” przeźnięci do Warszawy dotrwali tam do wybuchu Powstania. W Powstaniu Warszawskim Antoni Żychiewicz zostaje zagarnięty przez Niemców na Mokotowie i wywieziony do Sachsenhausen. Po zakończeniu działań wojennych wraca w 1945 r. do kraju.

Po wojnie odbył jeden rok studiów na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Po przeniesieniu się do Wrocławia studia na Politechnice Wrocławskiej, zakończone w 1950 r. obroną pracy magisterskiej.

Zmienia często miejsca pracy nie z własnej woli. Cięża na nim chlubna przeszłość walki z hitlerowskim okupantem, niemiłe widziana przez służby bezpieczeństwa PRL.

Po ukończeniu studiów na Politechnice Wrocławskiej pracuje na tej uczelni jako starszy asystent i wykładow-

ca. Zwolniony z tej uczelni pracuje w Z.Z.G. „Inco” i „Veritas” jako kierownik działów produkcyjnych na terenie województwa katowickiego. Po październiku 1956 r. pracuje w Głównym Instytucie Górnictwa w Katowicach na stanowisku adiunkta. Po kolejnych wymówieniach ze względów natury politycznej pracował aż do przejścia na emeryturę na Politechnice Śląskiej w Gliwicach na stanowisku kierownika Działu Elektroniki w Zakładzie Doświadczalnym Elektroniki i Mechaniki Precyzyjnej. Ze względów politycznych nie uzyskał zgody na otwarcie przewodu doktorskiego.

Powrócił do harcerstwa włączając się do działalności Kręgu b. Skautów – Harcerzy Najstarszej Polskiej Drużyny Harcerskiej i Lwowskiej im. Tadeusza Kościuszki.

Był odznaczony m.in. Orderem Virtuti Militari, Odznaką „CC”, Medalem za Wojnę 1939 r., Krzyżem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, Krzyżem AK, Krzyżem Partyzanckim.

Odszedł od nas Człowiek wielkiej prawości, wierny Żołnierz Rzeczypospolitej, dla którego nie było granic i przeszkód w walce o niepodległość, wierny Idei Harcerstwa, utalentowany naukowiec, któremu uniemożliwiono ze względów politycznych działalność naukową.

Żegnaj Drogi Antku!
Cześć Twojej pamięci!

Bolesław Broś

Poznań, dnia 01-08-2005

TMLIKPW we Wrocławiu

Po zapoznaniu się ze wspomnieniami Pana Tadeusza Ulrycha pt. „Tadek: życiorys (I)” zamieszczonymi w „Semper Fidelis” nr 2/2005 uważam za stosowne pewne uzupełnienie i sprostowanie, licząc, że Szanowna Redakcja zechce zamieścić je na łamach swego Pisma.

Otóż Pana Pułkownika Józefa Sokala znałem osobiście w latach 1958-1960 w okresie mego pobytu w Nowej Rudzie.

Wspólnie należeliśmy do tego samego Koła Łowieckiego i razem uczestniczyliśmy w wielu zbiorowych polowaniach organizowanych i przeprowadzanych w obwodach łowieckich Koła między Kłodzkiem a Nową Rudą. Podczas tych polowań prowadzący je w ostatnim czasie z uwagi na wiek i stan zdrowia Pułkownika wyznaczał mu i pozostawiał poza losowaniem na pierwszym stanowisku, by oszczędzić Jego wysiłek w chodzeniu, a tereny te obfitowały w różne wzniesienia, a nawet w znaczne wzgórza.

Przepraszam panią Danutę Skalską – prezesa TMLIKPW w Bytomiu za wypowiedziane przeze mnie na Zjeździe Kajowym we Wrocławiu w dniu 16 listopada 2002 roku nieprawdziwe słowa obrażające jej godność.

Andrzej Michniewski
– członek ZG TMLIKPW we Wrocławiu

Informujemy PT Czytelników, że prenumerata dwumiesięcznika „Semper Fidelis” na rok 2006 wynosi 35 zł. Nr konta znajduje się na II stronie okładki.

Redakcja „Semper Fidelis”

Gdzie kupić „Semper Fidelis”

Przypominamy mieszkańcom Warszawy i okolic, że pismo „Semper Fidelis” jest do nabycia w Galerii Myśliwskiej Elite Expeditions przy ulicy Tarczyńskiej 1, której właścicielką jest lwowianka p. Izabela Malec, tel. (022) 8245969 (koło hotelu Sobieski).

Informujemy także PT Czytelników „Semper Fidelis” we Wrocławiu i okolicy, że nasze czasopismo sprzedawane jest w księgarni „Ossolineum”, która obecnie – po przeniesieniu z Rynku – znajduje się przy ul. Kółkarskiej 16 (w pobliżu Dworca Głównego PKP).

Lista Ofiarodawców w miesiącach VIII-IX 2005 r.

- | | |
|--|--|
| 1. Elżbieta i Andrzej Poraj-Malina, Warszawa 200.- | 3. Emilia Madej, Bytom, pomoc świąteczna 150.- |
| 2. Jarosław Skurzyński, Żurawina-Galowice 800.- | 4. Ryszard Madej, Bytom, na wydawnictwo 50.- |

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Contents

Our Protest	1
Tomasz Cieszyński – An open letter to the President of Rep. Ukraine	1
Władysław Łukaszyński – In homage to the Professors of Lwów Colleges murdered by the Nazis and Ukrainian nationalists	3
Leszek Duszeńko – 15th Anniversary of the church in Gródek Jagielloński	8
Piotr Marek Stański – Contest for St Elizabeth Church design in Lwów	10
Czesław Bednarski – My long way from Zimna Woda near Lwów to far-away Gdańsk	11
Eugeniusz Dmytrów – Kosaczów – an interesting quarter of Kołomyja	15
Władysław Bohr (“Sas”) – In the Soviet P.O.W. Camp at Diagilewo	19
Zbigniew Umański – Borderland chronicle	23
Janusz Ragankiewicz – Our expulsion from native Lwów	28
Janusz Ragankiewicz – Off to Lwów! – a poem	32
Zbigniew Kabata – Our Borderland Granada – a poem	32
Zbigniew Grata – XIIIth Meeting of the Brody Lovers' Circle	33
Alicja Wolwicz – News from Sanok	34
Remigiusz Węgrzynowicz – XVIIth Meeting of Veteran Scouts – Lwów Defenders of 1939	37
Remigiusz Węgrzynowicz – Polish youth from Volhynia on a scouts' camp in Poland	40
Maria Jarema – Information from Gdynia	42
Małgorzata Wawrzuta – Activity of the school Lwów Lovers' Centre at Hałcnów in the former Polish Borderland	43
Janina Oparowska – Next meeting of the Hołowica inhabitants + poems	44
Bogusław Maziak – Lwów scientists as major original teaching staff at the Gdańsk Polytechnic	45
Jerzy Stokłosa – J, too, come from Lwów	56
Jerzy Duda – Łopatyn – its history and relics	58
OBITUARY COLUMN	
Stanisław Grossmann – More about the late Roman Ostoj-Chrząstowski	59
Jerzy Duda, Franciszek Dzionek – The late Janusz Paszkiewicz	61
Bolesław Broś – The late Zbigniew Stuchly	62
Jerzy Duda – The last good-bye to the late Marian Roman Wasilenko	63
Bolesław Broś – The late Antoni Żychiewicz	63
Where to buy „Semper Fidelis”	64
List of Donors	65
Jan Lechicki – To the Eaglets of Lwów – a poem	
Jan Lechicki – At Adam Mickiewicz monument in the Truskawiec park	

Jan Lechicki

Orlętom Lwowskim

Na środku cmentarza Orląt Lwowskich
ukraiński nacjonalista powiedział:
Obrońcy Lwowa nie byli żołnierzami
to była tylko garstka chłopców
którzy strzelać zaczęli do siczowej armii
maszerującej od Tarnopola na Lwów
Ich nie można było nazwać Wojskiem Polskim
bo nie było wówczas Polski –
mówił ukraiński przewodnik do grupy Polaków
Nagle równo ustawione na mogiłach krzyże
zamieniły się w prawdziwy żołnierski szereg
który potężnym głosem zaczął śpiewać
„Jeszcze Polska nie zginęła...”
Echo tej pieśni rozeszło się po całym cmentarzu.
Wtedy jak na podane hasło, niby śpiący rycerze
z grobów powstał: Julian Konstanty Ordon,
Seweryn Goszczyński, Artur Grottger,
Maria Konopnicka, Władysław Bełza,
Gabriela Zapolska, Stefan Banach
i tysiące innych Polaków-Lwowiaków.

Przed pomnikiem Adama Mickiewicza w truskawieckim parku

W truskawieckim parku
nieopodal pomnika wieszczu Adama
młody rosyjski trubadur
nucił smętną piosenkę
w słoneczny dzień 17 września 2003 roku
której refren brzmiał:
„Ja nie znaju czto eto jest żyżń”
Drogi druhu w długich włosach
i drucianych okularach
powiedz swojej gitarze
że trudne pytanie zadaje ludziom
dwudziestego pierwszego wieku
Ja przybysz z Polski
radzę ci zapytaj się pana Mickiewicza
może On odpowie na dręczące Cię pytanie
bo On jest poetą.

Truskawiec, 22 września 2003 roku

Naturalna woda źródłana z dostawą do KLIENTA! Zalecana również dla dzieci i niemowląt.



WODA
BONART

Naturalna Woda Źródłana

PIERWSZA WODA
GRATIS!



WODA BONART jest jedną
z niewielu wód w Polsce, która
spełnia wymogi nie tylko polskich
norm, ale również rozszerzonych
norm Unii Europejskiej i jest
eksportowana do Niemiec.

Biuro Handlowe: 54-104 Wrocław, ul. Maślicka 211 c, tel. +48 71 354 04 49
www.Woda.BonArt.com.pl

e-mail: woda@woda.bonart.com.pl



Woda posiada ocenę PZH nr HU/71/99